

JA, BUDDA

JOSÉ FRÈCHES



JA, BUDDA

JOSÉ FRÈCHES

*Zwycięstwo rodzi nienawiść, pokonany żyje w zgryzocie.
Uczyszony i w szczęściu żyje ten, kto wyrzekł się zwycięstwa
i klęski.*

Budda*

*Jak ptak o czerwonym grzebieniu i błękitnej piersi
nie osiągnie nigdy
szybkości ani wysokich lotów dzikiej gęsi,
tak niewierzący nie może dorównać mnichowi,
mędrcowi, który medytuje samotnie w głębi lasu!*

* *Muttâvali*, księga wypisów starobuddyjskich, tłum. Ireneusz Kania,
Oficyna Literacka, Kraków 1999.

Przedmowa

Przez długi czas nie miałem odwagi wśliznąć się w skórę Buddy, by napisać jego pamiętniki.

Wreszcie zdecydowałem się. Poniekąd zachęcił mnie do tego sposób postępowania samego Buddy — tak ludzki i tak nam bliski — zgodnie z którym każdy może zostać powołany, jeśli tylko zapragnie, by stać się Buddą, to znaczy Oświeconym.

José Frèches

1

Jestem tu

Jestem tu, przed wielką rzeką, której błotniste wody rozświetlają złocistobrazowe pasy, utworzone przez promienie wysoko już świecącego słońca.

Stoję tu, pod Drzewem Współczucia.

To olbrzymi figowiec banian, w którego cieniu lubię medytować.

Jego szerokie i poskręcane korzenie zatopione są od wieków w wodach rzeki Ganges.

Jego liany, jedne delikatne jak łodyżki bambusa, inne szerokie jak pień drzewa hebanowego, spływają z gałęzi, by zapuścić korzenie w ziemi.

Drzewo potrzebuje wody, tak jak człowiek pragnie Wyzwolenia.

Wkrótce i ja zostanę uwolniony od mojego ludzkiego ciężaru i osiągnę stan nirwany.

Wtedy zgasnę, by stać się jeszcze mniejszy niż najmniejsze z ziarenek piasku, jeszcze lżejszy niż najlżejsze piórko gila, bardziej przejrzysty od najprzejrzystszej kropli deszczu.

Jestem ostateczną reinkarnacją milionów istnień ludzkich i zwierzęcych, których postać moja dusza przybierała od niepamiętnych czasów.

Dla mnie zatrzymał się nieustanny cykl narodzin, śmierci i odrodzeń samsary. Ja nauczyłem mężczyzn i kobiety, jak postępować, by przestać cierpieć.

Kiedy wiatr śmierci pochwyli moje ostatnie tchnienie, nie będę już potrzebował się odradzać...

Jestem tu.
Na zawsze.
Pośród was.

2

Moje dzieciństwo

Jesteśmy młodzi i niczego nie szanujemy. Obok chłopczyka o ciemnych kręconych włosach, jakim jestem, stoi inne dziecko w tym samym wieku. To Ananda, mój ulubiony kuzyn.

— Boję się ognia! Nie lubię ognia! — krzyczy ten, który jest dla mnie prawie przyrodnim bratem.

Właśnie rzucił wypełniony wodą liść bananowca na rozżarzone polana, co omal nie zagasilo płonącego ognia. Kapłan prawie udusił się z oburzenia.

— Idźcie bawić się gdzie indziej! — wykrztusił.

Radzi z udanego żartu, rzucamy się do ucieczki, wybuchając śmiechem.

— Mało brakowało, a byłby cię uderzył... — mówię do mojego małego towarzysza, który ośmielił się stawić czoło kapłanowi odprawiającemu modły.

U schyłku tego popołudnia, w lasku Lumbini, duszący dotąd upał, od którego falowało niebo i wędły liście cynamonowców, akacji, sali i mangowców rosnących wokół fontanny, zaczął powoli słabnąć pod wpływem lekkiej bryzy.

Pośród wspianiałych drzew wzniesiono kilka stołów ofiarnych, na których pobożni ludzie rozkładają zwykle owoce i girlandy

z kwiatów, by w ten sposób oddać cześć bogom i boginiom roślin i drzew.

Tu i ówdzie, na ozdobnych stolikach, szczodre ręce ustawiły wielkie miedziane tace wypełnione mnóstwem *mithai**.

Razem z Anandą przepadamy za tym przysmakiem.

Kiedy tylko nasza opiekunka nas nie widzi, podkradamy je, nie bacząc na zgorzone spojrzenia pobożnych ludzi, którzy krzyczą, że to świętokradztwo, lecz nie mogą nam nic zrobić, bo należymy do wyższej kasty.

Z drugiej strony lasku, w dniu Holi, święta wiosny i kolorów, podczas którego wierni mają zwyczaj skrapiać się wodą i posypywać kolorowym proszkiem, ubrany w białe szaty bramin zapala święty ogień, by oddać cześć bogowi Agni** oraz bogom drzew.

W głębi ogrodu niewielka grupa mężczyzn i kobiet piele. W czterech rogach wydzielonego kwadratu ustawiają świece i kwiaty lotosu, które pod koniec ceremonii zostaną poświęcone przez bramina cały czas podsycającego ogień.

— Siddhartho Gautamo! Podejź tu, proszę! Przyszła pora na placek z różanym miodem i miseczkę *lassi**** z miąższem jeżynowym.

Głosem, który mnie woła, jest głos mojej opiekunki, pani Udei.

Pani Udea jest matroną równie szeroką jak wysoką jej brzuch przelewa się przez wszystkie załamania bawełnianego kwiecistego sari.

Zatapiam nos w tę masę ciała pachnącego wodą jaśminową i kwiatem pomarańczy. Lubię przytulić się do jej ciężkich piersi i dać się objąć jej olbrzymimi ramionami, tłustymi i miękkimi.

* *Mithai* — wykwintne słodczyce podawane podczas wielkich świąt religijnych.

** Agni — wedyjski bóg ognia,

*** *Lassi* — rodzaj jogurtu.

Kiedy Udea jest w dobrym humorze, nazywa nas, Anandę i mnie, „moi mali wojownicy”. Jak większość chłopców należących do kasty wojowników kszatrija*, nosimy przytroczony do paska mały drewniany mieczyk, a na plecach mamy przyczepioną małą tarczę ze skóry antylopy.

— Gdzie się podział ten nicpoń Ananda?! — krzyczy pani Udea.

Nie mając ochoty wyjawic, że Ananda ukrył się w bżowym lasku, dokąd uciekł przed gniewem goniącego go bramina, postanawiam udawać tego, który o niczym nie wie.

— To pora podwieczorku, tak dla niego, jak i dla ciebie! — dodaje.

Potem wściekła wraca do napełniania kremowym *lassi* dwóch małych miedzianych miseczek z wygrawerowanymi naszymi inicjałami.

— Zdaje mi się, że Ananda próbuje złapać drozda, proszę pani — mówię wreszcie, żeby złagodzić gniew opiekunki.

— Jeśli wiesz, gdzie on się ukrył, to proszę cię, Siddhartho, idź tam i powiedz mu, żeby wracał. Nie lubię, kiedy ucieka w głąb lasku. To miejsce styka się z dżunglą, a tam wysokie trawy wprost roją się od węży!

Wspinam się na ławkę.

Dostrzegam kapłana, który zbiera właśnie swoje utensylia.

— Pani Udeo, jaki jest pożytek z tego bramina, skoro nie potrafi nawet uwolnić parku od gnieżdżących się w nim niebezpiecznych zwierząt?

— Nie wolno podawać w wątpliwość mocy braminów, Siddhartho. Bez nich nikt nie mógłby składać ofiar bogom. Twój ojciec nie byłby zadowolony, gdyby dowiedział się, że mówisz takie rzeczy... — odpowiada opiekunka, rzucając mi groźne spojrzenie.

— Czy powiedziałem coś złego, pani Udeo?

* Kszatrija (sansk.) — wojownik, rycerz, od kszatra — „posiadłość”.

W tej samej chwili dostrzegam Anandę ukrytego w kępie bambusów.

— Anando! Chodź na podwieczorek. Kiedy pani Udea rozzłości się na dobre, nie dostaniemy soku z mango!

Uwielbiam sok z tych owoców o lśniącej czerwonej skórce, zwłaszcza zerwanych prosto z drzewa.

Po podwieczorku gramy w kulki obok ławeczki, na której siedzi pani Udea i jeszcze jedna opiekunka.

Obie panie rozmawiają o mnie.

— To dziecko nie przestaje mnie zadziwiać... Jest tak dojrzałe fizycznie i intelektualnie! Jest radością swojego ojca! — zwierza się Udea swojej koleżance.

— Pamiętam dzień, w którym wyszedł z becika i zrobił pierwsze siedem kroków: na północ, na wschód, na południe, na zachód, w górę, w dół i do środka! — wykrzykuje druga kobieta, opiekująca się trojgiem kłócących się bez przerwy dzieci.

Sześć lat temu, właśnie tu, przy tej samej ławeczce, uczyłem się chodzić, chwiejąc się na chudziutkich nóżkach i małych stópkach, które posuwały się naprzód jak dwie polne myszki, podążające jedna za drugą.

Wzruszona do łez Udea pospieszyła donieść o tym wydarzeniu mojemu ojcu, Śiuddohanie Gautamie.

Opowiedział mi później, że kilka miesięcy po moich narodzinach położył mnie u stóp drzewa jambu*, a sam poszedł wyznaczyć pierwszą brzdę pod zasiew. Kiedy wrócił, żeby upewnić się, że zasnąłem, znalazł mnie siedzącego w beciku w pozycji lotosu z na pół zamkniętymi powiekami.

Po tym wydarzeniu jeden ze starych służących przepowiedział ojcu, że moje życie będzie niezwykle.

— Śiuddhodano, twój syn wszedł spontanicznie w stan medytacji! To nadzwyczajne zjawisko, zważywszy na jego

* Jambu jest drzewem kosmogonicznym, rodzącym wielkich rozmiarów owoce, których pestki zawierają złote bryłki nieocenionej wartości.

młody wiek. Chwała niech będzie bogom! — powiedział ów człowiek i tymi słowami wywołał poruszenie wśród wszystkich innych służących zatrudnionych w naszym domu.

Teraz każdy domownik wie, co zdarzyło się w cieniu drzewa jambu, i od tego czasu wszyscy są przekonani, że posiadam dary i zdolności kogoś w rodzaju półboga.

Jeszcze nie osiągnąłem wieku dziesięciu lat, a już bliscy zaczęli wykuwać moją legendę. Z początku mi to pochlebiało, lecz w miarę jak dorastam, coraz bardziej mnie krępuje.

Udea twierdzi, że potrafię nazwać rośliny, które widzę po raz pierwszy i rozmawiać z ptakami i wiewiórkami w taki sposób, że nie obawiają się zbliżyć się do mnie i jeść mi z ręki. Utrzymuje nawet, że gdyby drzewa w lasku Lumbini potrafiły mówić, całymi godzinami opowiadałyby o moich niezliczonych wyczynach, które upamiętniłem na ich korze, odkąd tu przychodzę. Nie czerpię żadnej dumy z tych rzekomych czynów, które są dla mnie zwykłymi gestami wykonanymi w sposób naturalny i bez wyrachowania.

„Rozkoszny lasek Lumbini” jest przybytkiem przyjemności, ocienionym mangowcami i drzewami cynamonowymi oraz krzewami różaneczników, do którego dzieci i ludzie z dobrego towarzystwa Kapilawastu zwykli przybywać w towarzystwie licznej służby dla zaczerpnięcia świeżego powietrza.

Żeby tu dotrzeć, trzeba wyjść z miasta Kapilawastu, przejść przez most przerzucony nad pełną ryb rzeką, wydostać się na nizinę, na której dwieście lat temu przodkowie mojego rodu urządzili ogród na chwałę bogów i duchów zamieszkujących to miejsce.

Z lasku dostrzegam naszą fortecę i jej główną wieżę, na której powiewa na wietrze prastary sztandar. Prawdę mówiąc, jest to już tylko łachman, który należałoby wymienić. Widnieje na nim herb rodu Gautama; trudno już dojrzeć „dumnego lwa między dwoma straszliwymi mieczami” — symbol siły i wojny, których jest dewizą, ponieważ wymyta deszczem, odbarwiona w słońcu i poszarpana wiatrem tkanina jest cała w strzępach.

Od dwóch lat wszyscy uskarżają się na szczególnie gwałtowne monsuny przerywane okresami suszy, która jest coraz dotkliwsza.

Słońce i deszcz nie chcą o niczym słyszeć, mimo że kapłani odprawiają najważniejszą ze wszystkich ofiar, ofiarę ognia — *Homa*, dzięki której istoty ludzkie mogą cieszyć się zdrowiem, pomyślnością i — o ile bogowie pozwolą — nieśmiertelnością.

Liczni bramini wykorzystują swój status i żądają za odprawienie rytuału tak dużych pieniędzy, że uprawianie kultu Boskich Mocy, religii wywodzącej się od tysięcy hymnów Rygwedy, stopniowo staje się możliwe tylko dla bogatych rodzin...

Sytuacja ta zakrawa na skandal, lecz kto ośmieliłby się zakwestionować hierarchię kast?

Z całą pewnością nie mój ojciec Śiuddohana!

Zresztą prawie jedną czwartą dochodów rodu, któremu przewodzi, przeznaczają na wynagrodzenia dziesięciu braminów niezbędnych dla odprawiania licznych codziennych rytuałów, do których zobowiązana jest nasza rodzina, z uwagi na swoją rangę.

Powstrzymuje się od narzekań na ten stan rzeczy z obawy przed popełnieniem straszliwego świętokradztwa, które niechybnie ściągnęłoby gniew bogów, ci zaś mogliby rzucić kłatwę na wszystkich jego bliskich.

Małe handlowe miasto Kapilawastu rozciąga się za wzgórzem, na którego szczycie wznosi się forteca mojej rodziny, zbudowana z głazów i otoczona pożeranymi przez bluszcz krętymi wałami obronnymi, tworzącymi na tym pagórku przedziwną zieloną girlandę.

Szlachetne kamienne wrota obramowane są pilastrami w kształcie sznurów spiętymi fryzem przedstawiającym scenę walki pomiędzy tygrysami i lwami, która ma symbolizować odwagę niezbędną wszystkim męskim potomkom kasty wojowników — kszatrija.

Kapilawastu liczy około dwóch tysięcy dusz.

W przeciwieństwie do wielu podobnych miejscowości, domy z kamienia są tu liczniejsze niż domy z gliny. Kapilawastu jest stolicą administracyjną gęsto zalesionego i obfitego w faunę regionu. Można tu polować na małpy, antylopy, dzikie świnie oraz dzikie słonie. Zdarza się nawet, że najwaleczniejsi z kszat-rijów mierzą się z tutejszym królem — tygrysem ludojadem.

Wokół naszego miasta pola i łąki zjadają powoli dżunglę. Dzięki pracy, morderczej i niebezpiecznej z powodu mnóstwa węży i skorpionów, mieszkańcom udało się wykarczować obrzeża lasu, na których uprawiają pszenicę, jęczmień i kukurydzę oraz wypasają stada wołów, owiec i kóz.

To tu, na pierwszych uskokach górskich ścian, tak wysokich, że tworzą Dach Świata, rezyduje od pokoleń rodzina mojego ojca, Śiuddhodany.

Jako najstarszy syn został głową rodu Gautama.

Z tego tytułu odziedzyczył fortecę w mieście, a wraz nią obowiązek zapewnienia jej obrony przed wszelkimi napastnikami.

Ojciec stale powtarza, że osoba będąca głową rodu ma różne prawa, ale przede wszystkim liczne obowiązki.

Naszym domem zajmuje się przez cały czas pięć osób: trzy wychowawczynie — z panią Udeą włącznie — i dwóch służących.

Po partii kulek Ananda i ja postanawiamy podzielić się resztkami ciasta z ptakami.

Uwielbiam patrzeć, jak kosy i sroki rzucają się na okruchy placuszków i wafelków.

Zazwyczaj robimy to po kryjomu, ponieważ Udea nam tego zabrania; tym razem z pewnością poszła za nami i musiała nas obserwować, ukryta za gęstym kwitnącym krzewem, zza którego niespodziewanie wypadła.

— Siddhartho! Anando! Wy mali nicponie! Przyłapałam was w końcu na karmieniu kosów okruchami! A ty, Anando, przestań droczyć się ze srokami, bo jak się rozżłoszcą, to cię podziobią! Nie pozwalam wam oddalać się ode mnie!

Wybuchamy śmiechem.

— Nie śmieJCie się! Musicie słuchać Udei. W przeciwnym razie będę zmuszona o wszystkim powiedzieć twojemu ojcu, Siddhartho! — dodaje, coraz bardziej zdenerwowana.

Rzadko się zdarza, by Udea krzyczała na nas tak głośno; jej twarz, która z powodu ściągniętych mocno do tyłu włosów wydaje się jeszcze bardziej okrągła, trzęsie się cała ze złości, a wielki diament zdobiący jej nos groźnie pobłyskuje.

Spuszczamy nosy na kwintę i poważniejemy, po czym wracamy do ławki, na której rozsiadła się już nasza opiekunka.

Żeby uzyskać jej przebaczenie, wspinam się na ławkę obok niej i pokrywam pocałunkami jej nagie ramiona; drży i wybucha śmiechem jak młoda dziewczyna, łaskotana przez swojego ukochanego.

Ponownie nalewa *lassi* do naszych miseczek.

Nagle, z wysokości ławki, dostrzegam na drodze do Kapilawastu coś olbrzymiego i szarego, co posuwa się w naszą stronę.

Zaczynam krzyczeć:

— Popatrz, Anando, na tego słonia, jaki jest gigantyczny! Prawdziwa chodząca góra!

Nie oglądając się na Udeę za nami, rzucamy się z radosnymi okrzykami ku bramie wejściowej do lasu Lumbini. Wybrukowany trakt dochodzi do zbocza wzgórza, na którego szczycie ukazał się słoń, niby święte zjawisko.

Za pomocą specjalnego haka *ankusa* kornak łaskocze policzki wielkiego zwierzęcia.

Słoń trzyma w trąbie wielki pień drzewa, szeroki na całą drogę. Kładzie go na ziemi i zaczyna toczyć w kierunku pochyłości znajdującej się tuż przy wejściu do parku, gdzie stoimy jak wryci i przyglądamy się widowisku.

Z pochyloną głową słoń popycha pień w przód jednym ruchem, używając do tego trąby, której koniuszek zwinął na podobieństwo skorupki ślimaka.

Pień zaczyna zsuwać się po zboczu, najpierw powoli, potem coraz szybciej, wreszcie na naszych oczach nabiera prędkości.

Wychylamy się, żeby zobaczyć, gdzie się zatrzyma.

Zwalnia i nieruchomieje kilka metrów dalej, na wyplasz-czeniu drogi, w miejscu gdzie rośnie stuletni figowiec banian.

Następnie słoń i prowadzący go kornak schodzą wolno po zboczu, by złapać pień i pchać go dalej.

Kiedy zwierzę przechodzi majestatycznym krokiem obok nas, klaszczemy z całych sił; wtedy pozdrawia nas uniesioną i elegancko zwiniętą trąbą.

— Popatrz na tego słonia, jaki jest inteligentny... — mówię do Anandy.

— Chciałbym mieć jednego dla siebie!

— Wracajcie natychmiast! Nie wolno wam wychodzić z lasku Lumbini! — krzyczy Udea, której wreszcie udało się dotrzeć do bramy parku.

Jest spocona i patrzy na nas groźnie. Ja protestuję:

— Ależ pani Udeo, przecież nie wystawiliśmy za bramę nawet czubków butów...

— Siddhartho, zawsze masz na wszystko odpowiedź. Miej litość dla biednej Udei, Kochasiu. Płacą jej za to, żeby nad tobą czuwała. Twój ojciec przypomniał mi o tym nie dalej jak wczoraj — jęczy biedna kobieta.

To prawda. Wczoraj, kiedy Udea nadzorowała moją wieczorną toaletę, mój ojciec Śiuddhodana spytał ją zaniepokojony:

— Czy mogę być pewien Udeo, że czuwasz nad Siddharthą? Staje się taki samodzielny, że tylko patrzeć, jak wymknie ci się, kiedy będziecie szli do lasku Lumbini.

Byłem zaskoczony, ale szacunek, jakim darzę mojego ojca powstrzymał mnie od protestu.

— Szlachetny panie, przysięgam, że pilnuję go jak żrenicy oka! Zawsze opiekowałam się tym dzieckiem jak swoim własnym! — odparła moja opiekunka, po czym skłoniła się nisko i ucałowała dłoń tego, który był tak dobry, że zwrócił się z tym bezpośrednio do niej, mimo że należała do niższej kasty Śiudrów.

— Siddhartha mówi prawdę! Nie wyszliśmy z lasku, pani

Udeo! — protestuje Ananda, zdecydowany, nie mniej niż ja sam, przeciwstawić się słowom wychowawczyni.

— Jakkolwiek było, teraz pora wracać do domu. Pan Śiuddhodana będzie się niepokoił, jeśli spóźnisz się na lekcję strzelania z łuku.

Od czasu gdy moja matka zmarła na febrę trzy miesiące po moich narodzinach, ojciec przelał na mnie całą miłość, jaką żywił do ukochanej małżonki Majadewi.

Pewnego dnia usłyszałem, jak opiekunki opowiadały, że zanim moja matka zaszła w ciążę, opowiedziała ojcu, że we śnie widziała białego słonia, który wszedł do jej brzucha przez prawy bok.

— Pan Śiuddhodana skwitował to śmiechem. Ale tej samej nocy czule przytulił swoją żonę, po czym wszedł w nią z całą siłą — wyjaśniła Udea swojej koleżance.

Nie miałem pojęcia, co oznaczały słowa „wszedł w nią”. Zrozumiałem to dopiero później.

— A rano, po tej miłosnej nocy, która przedłużyła się aż do świtu, Majadewi wyszeptala mężowi do ucha, że jest tak samo zdolny jak słoń z jej snu... — dodała Udea.

— Skąd możesz wiedzieć, że tamtej nocy Majadewi i Śiuddhodana kochali się tak namiętnie? — spytała inna opiekunka.

— Kiedy rozkosz sprawia, że kobieta krzyczy, to można to usłyszeć! — odparła Udea.

Tak więc jestem dzieckiem miłości.

Imię Siddhartha oznacza „ten, który osiągnął swój cel”.

Małżeńskie szczęście moich rodziców nie trwało jednak długo i zostało ucięte przez niespodziewaną śmierć mojej matki.

Bez trudu mogę sobie wyobrazić rozpacz ojca po tak nagłym odejściu żony.

Przez osiem tygodni odmawiał przyjmowania jedzenia.

Po upływie roku, jak każe zwyczaj, pojął za żonę Mahapradzapati, młodszą siostrę mojej matki Majadewi.

Wszyscy tłumaczą mi, że od czasu tych smutnych chwil jedyną pociechą mojego ojca jest patrzenie, jak rośnie jego

wspaniały syn, owoc zrodzony z jego krwi i z krwi ukochanej żony.

Kiedy przed dwoma laty obowiązki wojskowe zatrzymały ojca z dala od Kapilawastu, powierzył mnie opiece swojego brata i bratowej, rodziców Anandy. Mieszkałem z nimi przez sześć miesięcy i od tej pory Ananda i ja jesteśmy jak rodzeni bracia.

Odkąd ojciec powrócił ze swoich wojennych wypraw okryty chwałą, marzy, by uczynić ze mnie walecznego wojownika, swego godnego następcę. Nie szczędzi trudu i — jak każdy szanujący się wojownik — postawił sobie za punkt honoru, że nauczy mnie polować, władać mieczem i strzelać z łuku.

Strzelanie z łuku wymaga długiej nauki i dyscypliny.

Ledwie dotarliśmy do zamku, dostrzegłem ojca oczekującego mnie w fotelu w wewnętrznym ogrodzie fortecy, kilka kroków od tarczy, do której strzelam każdego dnia pod kierunkiem surowego nauczyciela.

Przed tarczą łucznik robi sto kroków. Kiedy mnie widzi, spieszy, by podać mi mały rzeźbiony łuk i wiązkę strzał zakończonych kolorowymi piórami, wbitych w deseczkę z miękkiego drewna.

— Nie zapomnij, Siddhartho, że musisz umieścić strzałę w samym środku tarczy — tłumaczy mi ojciec, całując mnie w czoło.

Wskazuje okrągłą planszę przybitą do pnia drzewa, na której łucznik namalował jaskrawą farbą kilka koncentrycznych kół.

— Ta tarcza jest bardzo ładna, ojczcie! Uważam jednak, że jest trochę za mała...

— Synu, to jest zawsze ta sama tarcza! Strzelanie z łuku wymaga dokładnego celowania. Kiedy cięciwa łuku rozluźni się i zadźwięczy jak trzecia nuta, będzie to oznaczało, że uda ci się strzelić jak należy.

Mówię tak do ojca przed każdą lekcją strzelania z łuku, a on niezmiennie odpowiada mi w ten sam sposób.

Wtedy, tak delikatnie, jak tylko potrafi wojownik w sytuacji,

która dotyczy jego własnego dziecka, ojciec bierze moją rękę i kładzie ją na właściwym miejscu, tam gdzie należy nacisnąć, między kciukiem i palcem wskazującym, kocie jelito, z którego kszatrijowie wytwarzają cięciwy swoich łuków.

Następnie pomaga mi napiąć cięciwę.

W chwilach takich jak ta wiem, że mnie kocha.

Strzała wylatuje.

Czuję, jak melodyjna wibracja powraca wzdłuż mojego ramienia, podobna do fali.

Odczuwam ból.

— Ojcie, nie bardzo lubię strzelać z łuku. Nie mógłbym zamiast tego pograć na sitarze?

— Twoja cięciwa wydała bardzo piękny ton, Siddhartho... To był udany strzał. Strzała utkwiała tuż obok środkowego koła. Ćwicz tak dalej, a staniesz się dobrym łucznikiem.

— To znacznie trudniejsze od władania mieczem!

— Wojownik musi nie tylko umieć napinać łuk i władać mieczem, lecz także wbić lancę w pierś przeciwnika!

Wypuszczam kolejną strzałę, która tym razem trafia w sam środek tarczy.

Ojciec wydaje okrzyk radości.

Lekcja strzelania z łuku dobiegła końca, a ja robię naburmuszoną minę.

Kiedy łucznik zdejmuje cięciwę z łuku, żeby schować go do skrzyni, ojciec pyta, urażony:

— Co ci jest, Siddhartho? Zamiast się cieszyć, wydajesz się niezadowolony...

— Ojcie, po co są wojownicy? Dlaczego wybuchają wojny? W jakim celu trzeba burzyć, niszczyć i sprawiać ból?

Nigdy dotąd, przez szacunek dla jego osoby, nie odważyłem się zadać mu tych pytań tkwiących w moim sercu, ale teraz, kiedy potrafię już strzelać z łuku, uznałem, że nadeszła właściwa po temu chwila.

— Mężczyźni z rodu Śiakjów, mój synu, szczególnie ci wywodzący się ze sławnej rodziny Gautama — „tych najlep-

szych z wołów" — nie zadają sobie takich pytań! Wiedzą, że należy zadowolić się czynieniem tego, do czego się urodzili.

Ojciec wygląda na rozgniewanego, ale to mnie nie onieśmiela.

— Dlaczego ludzie nie mogą zmienić kasty, kiedy tego chcą?

— Dlatego że tak postanowili bogowie.

— A dlaczego bogowie nie chcą, żeby ludzie zmieniali kasty?

— Mój mały Siddhartho, jeśli będziesz zadawał te wszystkie pytania, pięknie ci od nich głowa...

Ojciec jest wściekły.

Nie odpowiedział na moje pytania. Przez szacunek postanawiam nie przypominać mu o tym. Zamiast tego mówię:

— Pewnego dnia, jeśli będzie trzeba, zmienię kastę!

Patrzy na mnie dziwnie, na jego twarzy maluje się coś pomiędzy przygnębieniem i zdziwieniem.

Pewny jestem, że nie traktuje mnie poważnie i z pewnością zastanawia się, jaka mucha mnie ugryzła.

A zresztą, jak wiele w oczach dorosłego człowieka warte są słowa sześciolatniego dziecka?

Nie wiem, co skłoniło mnie do wygłoszenia takiego oświadczenia, ale nie wstydzę się go i wcale tego nie żałuję.

To dziwne, ale pomimo mojego wieku jestem pewny, że wiem, dokąd chcę pójść.

3

Ananda

Tego ranka stwierdziłem, że papuzka nie wyfrunęła, mimo iż służąca zostawiła drzwi klatki otwarte... Można by pomyśleć, że syty ptaszek nie odczuwa ochoty ani potrzeby latania!

Za miesiąc skończę jedenaście lat i od tej pory, odseparowany od świata, za wysokimi murami fortecy Kapilawastu, będę wiódł życie chłopców z kasty wojowników, z której się wywodzę.

Nie wiem, że jest to życie wypełnione próżniactwem i pieszczotami, bo jeszcze go nie doświadczyłem.

Nie mam najmniejszego pojęcia o tym, co dzieje się poza murami, w których obrębie żyję, i dlatego wyobrażam sobie, że — pomimo podziału społeczeństwa na kasty — inni, podobni do mnie ludzie, żyją tak jak ja, że niczego im nie brakuje, że podobnie jak mnie czas upływa im na zabawie, uczeniu się wierszy i lekcjach strzelania z łuku.

Mój ojciec, Śiuddohana, ma tylko jedno marzenie: żebym został jego następcą, większym i silniejszym od niego, żebym był wielkim królem lub wielkim dowódcą, którym jemu nie udało się zostać.

Podczas gdy jego władza nie sięgnęła poza granice regionu Kapilawastu, mnie przepowiada królewską przyszłość i przynosi

na mnie żądę chwały, której sam nie mógł dostąpić. Przeczuwam, że swemu synowi, któremu już życzy władzy i podbojów wielkich królestw, przypisuje ogromne ambicje wojenne.

Zresztą każdemu, kto zechce go wysłuchać, ogłasza, iż mam predyspozycje do bycia wielkim bohaterem, którego imię wyryte będzie na fasadach ważnych budowli.

Ciężko mi z tym żyć.

Mam ochotę powiedzieć mu, że sam znajdę swoją drogę i że będę najszcześliwszym z dzieci, jeśli zostawi się mnie w spokoju...

Prawdę mówiąc, nie widzę lepszego sposobu doskonalenia mojej edukacji. Od rana do wieczora przez fortecę Kapilawastu przewijają się najlepsi nauczyciele i najzdolniejsi fecht mistrze, sownie wynagradzani złotem.

W miarę jak dorastam, moje dni wypełnione są lekcjami, pokazami i ćwiczeniami wszelkiego rodzaju. Niezliczoną ilość razy muszę wyjmować i chować swoje miecze, czyścić je, wyciągać i cofać ramię, by nauczyć je dobrze uderzać, na małej poduszeczce ćwiczyć wiele razy z rzędu nacisk dłoni, żeby potrafiła utrzymać broń w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem.

Źle się czuję podczas tych ćwiczeń wymagających wielkiego wysiłku, mających rozwinąć we mnie instynkt wojownika.

Jednak w miarę upływu czasu coraz trudniejsze wydaje mi się wyznanie ojcu, że nie czuję pociągu do wojennego rzemiosła.

Na szczęście jest jeszcze Ananda!

Ja i on jesteśmy nierozłączni; zawsze razem, jak bracia bliźniacy!

Ananda jest jedyną osobą, przed którą mogę otworzyć serce!

Wiem, że kocha mnie tak, jak ja kocham jego...

Całe godziny spędzamy na marzeniach o świecie bez kast, w którym każdy mógłby żyć tam, gdzie zechce, w którym wszyscy ludzie byłiby sobie równi i gdzie nie byłoby polowań.

Czasami chciałbym być pasterzem prowadzącym owce po zielonych wzgórzach widocznych na horyzoncie, podczas gdy

Ananda widziałby siebie raczej w skórze ptasznika, przemierzającego gęstwiny leśne z klatką w ręce, do której łapałby papugi o wielobarwnych piórach.

Nasze komnaty przylegają do siebie, dzięki czemu z nastaniem nocy spotykamy się w jednej z nich, by powierzać sobie sekrety.

Zupełnie inaczej jest z Dewadattą, dalekim kuzynem, zazdrosnym i mściwym. Ten nicpoń kłóci się ze mną przy każdej nadarzającej się okazji. Kiedy ostatnio odwiedził mnie z rodzicami, walił mnie zniecacka pięścią i szczypał w bok.

Zobaczyła to Mahapradżapati, moja macocha, i zaraz zwróciła na to uwagę rodziców łobuziaka, który dostał klapsa i miał o to pretensję do mnie.

Mahapradżapati rozumie mnie o wiele lepiej niż mój ojciec; dlatego uważam ją za swoją sojuszniczkę.

Pewnego ranka, kiedy nie mogłem już wytrzymać, właśnie jej wyznałem, jak bardzo ciąży mi nieprzejednanie mojego ojca, Śiuddhodany:

- Ojciec zachęca mnie, bym uprawiał wojenne rzemiosło! Jest mi ono zupełnie obce, nie mam też najmniejszej ochoty niszczyć świata i innych ludzi!
- Niszczyć świat, niszczyć bliźnich? Dlaczego tak mówisz, mój mały Siddhartho?
- Ponieważ świat jest piękny, mam!
- Czy jesteś tego pewien?
- A ten zamek, w którym mieszkam, lasek Lumbini, gdzie Ananda i ja bawimy się codziennie, czyż nie są piękne?
- Świat nie ogranicza się do twojego zamku i do tego parku, Siddhartho!

Gorączkuję się coraz bardziej.

— Mamusiu, którą tak szanuję! Kiedy będę mógł zapolewać na daniela lub łapać zające w sidła, jak robią to wszystkie dzieci z Kapilawastu? Dlaczego Śiuddohana zabrania nam, Anandzie i mnie, wysunąć choćby stopę poza obręb parku?

— A czego wam brakuje? Macie tu wszystko! Dwaj Śiakowie, tacy jak wy, nie powinni mieszać się z dziećmi należącymi do innych kast. Nawet gdyby udało ci się przekonać mnie o słuszności twoich żądań, nie mogłabym sprzeciwić się decyzjom twojego ojca. Nie zapominaj, że Śiuddhodana jest głową rodu! — odpowiedziała Mahapradżapati, nieco rozgniewana.

Czyżbym powiedział jakieś głupstwo?

Jej smutne spojrzenie dobrze wyrażało to, co poczuła, słysząc słowa beztróskiego i jeszcze niewiele wiedzącego dziecka.

Moja macocha jest zdecydowanie po stronie dorosłych.

Nagle poczułem wstyd. Nie zwlekając, wsuwam się za czerwoną kotarę zasłaniającą wejście do jej prywatnych apartamentów, kiedy prowadzące do nich drzwi są otwarte w ciągu dnia i ukloniwszy się, pospiesznie opuszczam Mahapradżapati, mówiąc, że za chwilę mam lekcję fechtunku, a na łące czeka na mnie mistrz.

Tego samego wieczoru ojciec wzywa mnie i zmywa mi głowę. Przybrana matka z pewnością o wszystkim mu opowiedziała.

— Siddhartho, wbij sobie do głowy, że zostaniesz wojownikiem. Twoi nauczyciele są jednomyślni: coraz lepiej władasz bronią, a twoje mięśnie z dnia na dzień są silniejsze. Jeśli tylko przestaniesz bujać w obłokach, zostaniesz wielkim wodzem. O wiele większym ode mnie! Czy zdajesz sobie sprawę, jaka otwiera się przed tobą szansa?

Postanawiam nie odpowiadać wprost na jego reprimendę.

- Ojcze, kiedy powiedziałem mamie, że świat jest piękny, wyczytałem w jej oczach, że wcale nie jest tego pewna!
- Jesteś jeszcze zbyt młody, żeby zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz! — odparł oschle ojciec i wezwał Udeę.
- Pani Udeo, począwszy od dziś ani Ananda, ani Siddhartha nie będą chodzili do lasu Lumbini. Zbyt dużo tam dzieci z niższych kast! — oznajmił opiekunce, która rzuciła mi smutne spojrzenie.

Śiuddhodana jest przekonany, że dzieci przychodzące do parku mają na mnie zły wpływ.

Tego wieczoru, oparty o balustradę balkonu zrozumiałem, że kwestionowanie podziału na kasty, podobnie jak porządku rzeczy ustalonego od niepamiętnych czasów przez bogów, nie jest w oczach mojego ojca postawą właściwą.

Ale czego broni tak zaciekle? Dlaczego jest tak wrogo nastawiony do mojego punktu widzenia? Co kryje się pod jego gwałtownością?

Nie potrafię się tego domyślić.

Cokolwiek by to było, wołę nic nie mówić Anandzie, który przyszedł do mnie po swojej lekcji kaligrafii.

Nie darowałbym sobie, gdybym zaszczeplił w nim moje buntownicze myśli. To nie byłoby sprawiedliwe. On tak mnie podziwia, że bez zastanowienia przyjąłby moje poglądy i dostałby taką samą jak ja reprimendę.

Nie zasługuje na to!

Nazajutrz ojciec przyszedł do mnie, gdy ćwiczyłem wiązanie supłów na sznurze napinającym łuk.

— Zastanowiłem się. Aby zrekompensować ci brak spacerów po lasku Lumbini, pozwalam ci chodzić w nieparzyste dni nad źródło czystej wody... Pod warunkiem jednak, że nie będziesz przekraczał strumyka! — powiedział szybko, nie dając mi okazji, bym mu podziękował.

Woda spływa po zboczu fortecy, tuż za niewielkim laskiem.

Dzień w dzień, po zakończeniu nauki, kiedy słońce zalewa jeszcze różowym światłem mury Kapilawastu, Ananda i ja biegniemy co sił w nogach do tego jedyne go źródła wody zaopatrującego fortecę.

O tej porze stada baranów i kóz z pasterzami i psami schodzą do wodopoju ugasić pragnienie.

Baraszkuje w wodzie tryskającej wprost z ziemi i pluskamy się, ile się da, ale nasza skóra momentalnie wysycha w rozpalonym powietrzu.

Z fortecy, od strony drogi, obserwuje nas czujne oko pani

Udei, która słyszy nasze szalone śmiechy, wywołane widokiem niezdarnych koźląt ześlizgujących się do wody i cudem wdrapujących się potem na brzeg.

„Tu jest jeszcze lepiej niż w lasku Lumbini, gdzie nie można się kąpać w fontannie”, powtarza Ananda za każdym razem, kiedy idziemy nad brzeg strumyka.

Jakie to szczęście, że tu jest.

Dzięki Anandzie czas biegnie szybciej, a ja nie czuję się taki samotny w dusznym otoczeniu rodzinnym, z moimi dziwnymi pomysłami.

Jutro skończę jedenaście lat.

Jutro będę duży.

I może wtedy ojciec potraktuje mnie poważnie...

4

Moje jedenaste urodziny

Leżąc wyciągnięty na łóżku o nogach zakończonych rzeźbionymi głowami lwów, poczułem na karku ciepły powiew, który kazał mi otworzyć najpierw jedno, potem drugie oko.

Co za niespodzianka! To ojciec.

— Dziś skończyłeś jedenaście lat, mój synu! Jesteś już młodzieńcem. Za pięć lub sześć lat osiągniesz wiek, w którym będziesz mógł się ożenić. Miałem siedemnaście lat, kiedy Majadewi i ja świętowaliśmy nasze zaślubiny. Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, mój mały Siddhartho, i niech bogowie mają cię w swojej opiece! Dziś możesz dostać od ojca prezent. Wystarczy, że poprosisz!

Jedenaście lat! U kszatrijów jest to wiek, w którym można już towarzyszyć ojcu podczas polowania na tygrysa. Ale nie o taki przywilej pragnę go prosić.

- Tylko jeden prezent sprawiłby mi przyjemność...
- Mów, mój synu.
- Zapewne doskonale wiesz, o co chciałbym cię prosić! Pozwól mi pójść polować na zające tam, gdzie zechcę. To jedyny prezent, o jaki cię proszę w moje jedenaste urodziny.
- Jakże mógłbym ci tego odmówić w dniu urodzin! Proszę cię tylko, żebyś wrócił do domu przed zapadnięciem zmroku.

Jestem szczęśliwy, że w tych okolicznościach ojciec nie mógł postąpić inaczej, niż przystać na moją prośbę.

- A Ananda? Koniecznie musi mi towarzyszyć! On także od dawna czeka na tę chwilę...
- Jeśli zaproponuję to jego ojcu, jestem pewien, że udzieli pozwolenia. Czy nie chciałbyś także zabrać kuzyna Dewadatty, którego rodziców zaprosiłem na urodzinowe przyjęcie?
- O nie! Ten chłopak jest o mnie zazdrosny. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, udało mu się złamać mój łuk. Nie mam do niego zaufania!
- Skoro tak mówisz... Pójdę zatem uprzedzić mojego brata, żeby przygotował ekwipunek Anandy.
- Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć za tak wspaniałą prezent! — mówię do ojca, całując go w rękę.

Kiedy tylko ojciec opuścił moją komnatę, biegnę do pokoju obok, w którym śpi mój stryjeczny brat.

Budzę go łaskotaniem w stopy.

Na mój widok otwiera oczy, ryczy ze śmiechu i życzy mi wszystkiego najlepszego.

- Anando! Ojciec pozwala mi iść polować na zające i zamierza przekonać twojego, żeby pozwolił ci iść ze mną! Oto mój prezent urodzinowy!
- To wspaniale! Obym jak najprędzej skończył jedenaście lat! Kiedy nastąpi ten dzień, Siddhartho, ja też dołożę starań, żeby twój ojciec pozwolił ci pójść ze mną! — krzyczy Ananda, klaszcząc w ręce.
- I pomyśleć, że od moich narodzin upłynęło już jedenaście lat, a ja nadal żyję zamknięty w rodzinnym kokonie, nie mogąc wystawić stopy poza mury twierdzy...
- Zapominasz o lasku Lumbini i o źródélku...

Kiedy myślę o tych dwóch maleńkich przestrzeniach wolności, do których wolno nam chodzić, mam wrażenie, że Ananda jest grzeczniejszy ode mnie, skoro zadowolona się tym, co mu dają, podczas gdy ja mam ochotę na więcej.

Różnimy się od siebie.

Zresztą, czyż jedni nie są różni od drugich?

Z głównego placu fortecy widzę: kryte gontami dachy domów Kapilawastu, stojących ciasno jedno obok drugich, poszarpane górskie szczyty, wznoszące się ponad olbrzymią doliną zalaną słońcem, drogi rozwijające się niby długie węże i wędrujących po nich od samego rana mężczyzn, kobiety i dzieci, niebo, którego kolorowa symfonia jest tak zmienna, że w jednej chwili z lazurowego błękitu przechodzi w ochrę, a z fioleto w zieleń... Kiedy na to patrzę, mam wściekłą ochotę pójść i dotknąć tego wszystkiego.

Podobnie jak pragnę zanurzyć się w strumieniu, kiedy tylko się do niego zbliżam.

Zobaczyć i dotknąć, żeby lepiej uchwycić i lepiej poznać to, co chcę.

Poza tym są przecież inni, tysiące mężczyzn i kobiet, których widzę maszerujących tam i z powrotem po wsi i po drogach, i których spojrzeń ojciec zaleca mi unikać.

Jakże pragnę wyjść im na spotkanie i zatopić swój wzrok w ich oczach...

Jestem pewien, że od nich, od ich ciepła i siły, ich szczęścia i nieszczęścia, nauczyłbym się o wiele więcej niż od moich mistrzów władania bronią.

Nie wiedziałem, jak tego dokonać, ale od miesięcy paliła mnie ochota, by poprosić ojca o pozwolenie opuszczenia zamku pod pretekstem polowania na zające i mangusty, których pełno na polach w czasie zbiorów, a tymczasem on wyprzedził moje pragnienie.

Szybko połykamy owoce i ciasteczka, prosimy Udeę o przygotowanie wałówki, po czym śpiewając na całe gardło, wybiegamy z fortecy Kapilawastu, obiecując solennie powrót o wyznaczonej porze.

Ledwie rozwarły się wrota zamku, wypadamy na zewnątrz jak żrebaki długo zamknięte w zagrodzie, której wrota zdążył właśnie podnieść koniuszy.

W tym cudownym dniu pora roku zechciała, aby przyroda

ukazała się moim oczom ozdobiona mnóstwem kolorowych wiosennych pąków. Ptaki śpiewają wśród gałęzi, a świerszcze, pomimo wczesnej pory, grają ogłuszający koncert.

Świat otwiera przede mną drzwi niewyczerpanego skarbcza.

Jak psy myśliwskie łapiące wiatr w nosy, wietrzące zapachy i goniące jeden drugiego, kto kogo szybciej złapie, zaczynamy biec w kierunku doliny skąpanej w słońcu i rozciągającej się przed naszymi oczami, gładkiej i cichej jak okiem sięgnąć.

Zdyszani, zatrzymujemy się dla wyrównania oddechu w połowie zbocza, na naturalnym tarasie, pośrodku którego kwitnie banian.

Siedzimy sobie teraz na wielkim kamieniu w cieniu tego królewskiego drzewa.

Zachwyca mnie piękno pejzażu, którego formy i kolory potęguje świetlisty kurz leciutki jak szelest.

Wieśniacy i ich zwierzęta pracują w polu, podczas gdy od strony źródła idzie korowód kobiet niosących na ciasno upiętych kokach ogromne skórzane bukłaki pełne wody.

Widzę ich, tych wszystkich, których tak chciałbym odkryć, są przed moimi oczami, na wyciągnięcie ręki, nawet jeśli z daleka wydają się tacy mali.

— Chciałbym porozmawiać z tymi ludźmi — mówię do Anandy.

— I co byś im powiedział?

— Prawdę mówiąc, nie wiem... Pozdrowiłbym ich, a potem uśmiechnąłbym się do nich.

Zbliża się jedna z kobiet trzymająca za ręce dwoje małych dzieci.

Patrzę na nią i pozdrawiam ją skinieniem głowy.

Odpowiada mi nieśmiałym uśmiechem.

Ponownie napotykam jej wzrok, który natychmiast odwraca, lecz nie na tyle szybko, bym nie dostrzegł w jej oczach cienia smutku. Zobaczyłem w nich jeszcze zupełnie nowe dla mnie uczucie, które pewnego dnia zrozumie i które nazywa się cierpienie.

Nieco później zbliża się wieśniak, dźwigający na szczupłych barkach ogromny jutowy worek, nie może nawet podnieść głowy, kiedy go pozdrawiam.

Czyżby życie było dla innych tak ciężkie?

Jeszcze nie wiem, że w rzeczywistości świat jest tylko trudną do rozwikłania mieszaniną piękna i cierpienia.

Siadam okrakiem na jednym z korzeni baniana.

Jak wielkie węże, korzenie *ficusa bananusa** wiją się od samej szerokiej podstawy jego pnia, zanim zagłębią się w ziemię w poszukiwaniu pożywnych pierwiastków, by ponownie wspinać się ku niebu i splatać z gałęziami.

— Przypominasz księcia siedzącego na straszliwym ru maku! Może zabawimy się w jeźdźców? — proponuje Ananda.

Wyjął właśnie z kieszeni kawałek *peitha*** i wyciąga go w moją stronę.

— Weź ten smakołyk, z pewnością doda ci sił! — nalega, odpędzając ręką brudnego susła, który zbliżył się do nas, czując zapach słodczy.

Nie mam zamiaru psuć zabawy mojemu kuzynowi, więc powstrzymuję się przed okazaniem mu, jaką przykrość sprawiło mi jego zachowanie.

— Zejdźmy raczej ku dolinie, Anando — mówię.

Schodzimy, wzbijając tumany kurzu.

Nieco dalej, na tej samej drodze, dostrzegamy całkiem nagiego mężczyznę, który idzie w naszym kierunku.

Jego długie włosy pokryte są kurzem; idzie szybko i mechanicznie. Wydaje się, że ekstatycznym wzrokiem wpatruje się w jeden punkt i nas nie widzi.

Zastygli z wrażenia, patrzymy, jak przechodzi obok nas.

Zaczepiam jakiegoś mężczyznę, zapewne wieśniaka, sądząc

* Kilka lat później Siddhartha dostąpi Oświecenia pod innym figowcem z gatunku *religiosa*, który szczegółowo opisze. ** *Peitha* — dynia kandyzowana w karmelu.

po narzędziach, które niesie na ramieniu, i pytam go, kim jest ten dziwny człowiek.

— Czy wiesz, kto to jest śraman?

Nie wiemy tego ani ja, ani Ananda.

— To asceta, wędrowiec. „Ten, który czyni wysiłki” chodzi w ten sposób po drogach, żebrząc o pożywienie — wyjaśnia wieśniak, którego usta są czarną dziurą bez ani jednego zęba.

Po raz pierwszy widzę całkiem nagiego człowieka, „który czyni wysiłki”, i człowieka, którego usta są całkowicie pozbawione zębów.

Jestem zaskoczony jednoczesnym widokiem tych ust i tego nagiego człowieka.

— Ale dokąd zmierza ten nagi? Czy nie boi się, że się przeziębi, kiedy zajdzie słońce?

— On kroczy po bezkresnych drogach odziany w powietrze... Śraman nigdy nie czuje zimna, podobnie zresztą jak ciepła — mamrocze z poważną miną bezzębny, po czym szybko rusza w dalszą drogę.

Zatrzymuję go i łapię za rękaw.

— Co to oznacza?

— W rzeczywistości ten asceta nie ma żadnego celu poza tym, żeby wciąż iść i żeby znaleźć swoją własną prawdę — wyjaśnia mój nieco zniecierpliwiony rozmówca.

Tak więc istnieją ludzie, którzy wędrują drogami od wsi do wsi, nadzy, z włosami pokrytymi kurzem, i podążają ku Pierwotnej Prawdzie, do której nie wszyscy mają dostęp...

Nikt mi tego nigdy nie powiedział.

Odwracam się.

Człowiek, którego spotkaliśmy, idzie tak szybko, że wydaje się być już tylko małą chmurką kurzu, znikającą na horyzoncie.

— Biedak! Żal mi tego człowieka! Żyć nago! Iść bez celu! Ja bym tak nie mógł! — wykrzykuje Ananda, poruszony widokiem tej istoty o dziwnym wyglądzie i zachowaniu.

— Nie masz racji, mówiąc tak. Ten człowiek niczego nie posiada, ale ma najcenniejszy skarb: wolność wyboru drogi,

którą chce chodzić tam i z powrotem, wolność spotykania tych, których chce spotykać.

— To prawda, że dobrze jest być wolnym! — przyznaje Ananda.

Niczego nie zrozumiał z tego, co powiedziałem, ale mniejsza o to.

Teraz my zaczynamy biegać między kwitnącymi drzewami i pachnącymi krzewami.

Nareszcie świat należy do mnie!

Nie mam już ochoty polować na zające i mangusty. Odtąd będę delektował się nowymi doznaniem. Będę wąchał polne kwiaty, na których siadają ogromne motyle o skrzydłach ozdobionych dziwnymi maskami. Będę zanurzał usta w wodach przejrzystych i chłodnych źródeł. Będę pieścił pnie majestatycznych drzew, w cieniu których mężczyźni i kobiety odpoczywają, a dzieci się bawią. Wszystkimi porami ciała będę wchłaniał to całe bogactwo zewnętrznego świata, który tak mało znam. Dam się pochłonać temu, co jest na zewnątrz i co właśnie odkrywam.

To inne i to gdzieś indziej wzywa mnie, a ja odpowiem: „Tu jestem!”.

Przyroda jest cudownym podarunkiem dla żyjących istot, poczynając od człowieka.

Popołudnie skończyło się tak szybko. Nadeszła pora powrotu.

Na skraju drogi majestatyczna magnolia wyciąga do mnie gałęzie, z których tryskają pachnące kwiaty o nieskazitelnej bieli.

Ananda ma wielką ochotę zerwać najpiękniejszy z nich.

Jednak w chwili gdy zamierza to zrobić, powstrzymuję go jednym gestem.

— Anando, jeśli zerwiesz ten kwiat magnolii, on umrze i przestanie czarować twój nos swym zapachem. Pożałujesz tego! Lepiej mu na tym drzewie, gdzie może cieszyć oczy innych.

— Kim są ci inni, Siddhartho?

- Inni to wszyscy i każdy z nas. Na przykład mężczyźni, kobiety i dzieci, których spotkaliśmy dziś na drodze, i których życie nie jest tak łatwe jak nasze...
- Dlaczego to mówisz?! — wykrzykuje zaskoczony Ananda.
- Przyroda jest piękna, ale ludzie cierpią, Anando! Oto, czego nauczyłem się na naszej dzisiejszej wyprawie!
- Masz rację, Siddhartho! Lepiej nie zrywać tego kwiatu. Niech i innym sprawi przyjemność!

Ananda za nic w świecie nie zrobiłby mi przykrości... Staje więc tylko na palcach i zanurza nos w kielichu kwiatu. W tym momencie wiem, że to, co łączy Anandę i mnie, jest na śmierć i życie...

A kwiat magnolii będzie kwitł przez całe tygodnie, rozsiewając upojny zapach. Jest prezentem, który Budda podarował Światu.'

5

Świat ludzi ubogich i niskiego stanu

Nasza pierwsza wyprawa w świat wywołała w nas chęć, by ją powtórzyć. Jednak po powrocie do fortecy, gdy opowiedziałem ojcu o wędrownym ascecie, który tak mnie zadziwił, nasze stosunki o mało się popsuły.

- Ojcze, dlaczego nigdy nie powiedziałeś mi o istnieniu śramanów? — spytałem, nie zważając na zasady, według których powinienem był zaczekać na jego pytanie.
- Chodzenie nago po drogach do niczego nie prowadzi. Śramani są tylko nawiedzonymi ludźmi. Takich zawsze należy się obawiać.
- Tak bardzo chciałbym porozmawiać z którymś z nich! Gdzie mógłbym ich znaleźć? Czy są tacy w Kapilawastu?
- Masz co innego do roboty niż szukanie nawiedzonych. Jeśli chcesz wiedzieć więcej o roli bogów, mogę sprowadzić tu starego bramina, który wyjaśni ci, co należy robić, żeby wejść w kontakt z bogami.
- Chandogya Upaniszada* opowiada o tym, jak pewien

* Upaniszady — ich nazwa pochodzi od sanskryckich słów *sad* — siedzieć i *upani* — obok, w pobliżu; najpóźniejsze, bo pochodzące z VIII—III w. p.n.e. teksty, należące do wedyjskiego objawienia o treści religijno--filozoficznej, z początku recytowane przez braminów, później zapisywane.

bramin nie był w stanie wytłumaczyć królowi Waranasi, na czym polega natura absolutnego umysłu, podobnie jak joga i samsara *!

— Czy jesteś pewny tego, co mówisz, mój synu?

Ojciec wyglądał na zażenowanego i rozdrażnionego, ale postanowiłem nie ustępować.

— Nie dalej jak wczoraj nauczyciel kazał nam czytać na głos wyjątki z Chandogyi Upaniszady.

— Jak dotąd bramini są jedynymi, którzy potrafią rozmawiać ze słońcem, księżycem i piorunem — odparł mój ojciec zniecierpliwionym głosem.

Trwał niezłomnie przy starych wierzeniach wedyjskich, które leżą u podstaw naszego porządku społecznego, i według których tylko bramini mogą kontaktować się z bogami...

— Ojczy, bramini spędzają czas na udowadnianiu swojej ważności. Czyż nie jest to z ich strony oznaka słabości?

— Zabraniam ci mówić w ten sposób o kapłanach, Siddhartho! Jeśli nie będziesz okazywał im szacunku, ściągniesz na siebie zemstę bogów.

Mimo gwałtowności jego słów zdecydowałem się wyrzucić z siebie to, co leżało mi na sercu.

— Nie boję się bogów! Upaniszada mówi, że umysł przewyższa materię i że miłość jest silniejsza od śmierci.

— Nie oznacza to bynajmniej, że bogowie nie istnieją, ty uparciuchu!

— Ojczy, inni ludzie, istoty podobne do mnie, interesują mnie bardziej niż bogowie. Nigdy nie zdołałem odwzajemnić ci się za to, że pozwoliłeś mi wyruszyć na ich spotkanie!

Moje słowa uspokoiły ojca, jego gniew nagle opadł i głaszcząc mnie po głowie powiedział:

* Samsara lub sansara (sansk.) — dosł. „przejście” — *sam* — „razem”, „zupełnie”; *sarati* — „biegnie”, „pływie” — w hinduizmie i buddyzmie wędrówka duszy ludzkiej w cyklach narodzin, nieszczęścia i śmierci wyznaczona przez karmę. W przypadku niewłaściwego postępowania istniała groźba odrodzenia się pod postacią uniemożliwiającą osiągnięcie oświecenia lub choćby przybliżenie się do niego, np. mrówki, węża czy innego zwierzęcia.

- Inni! Inni, mój mały Siddhartho! Wciąż mówisz tylko o tym. Lepiej pomyśl trochę o sobie!
- Ojczy, kiedy znów pozwolisz mi wyjść na zewnątrz?
- Wrócimy do tej rozmowy, kiedy uda ci się trzykrotnie umieścić strzałę w samym środku tarczy.

Mówiąc to, ucałował mnie.

Wróciłem do swojej komnaty, żeby jak najprędzej spotkać się z Anandą.

A nazajutrz, od samego rana, rozpocząłem intensywne ćwiczenia.

— Postanowiłem zostać najlepszym łucznikiem! — oznajmiłem mojemu nauczycielowi.

— Daleko ci jeszcze do tego — odrzekł.

— Zrobię wszystko, co konieczne.

— W takim razie musisz mnie słuchać i przestać marzyć!

Odtąd jestem najpilniejszym uczniem, który dokłada wszelkich starań i zgadza się zacząć wszystko od początku jak nowicjusz.

Przez całe tygodnie ćwiczę postawy, jakie należy przybierać, uczę się dostosowywać oddech do tempa wymaganego przez mistrza, dokładnie celować, wstrzymując oddech, zanim puszcze cięciwę ściśniętą między kciukiem i palcem wskazującym, śledzić lot strzały w nadziei, że grot trafi w środek tarczy.

Setki razy zaczynam wszystko od początku, aż moje ciało opanowuje wreszcie rytuał, dzięki któremu łucznik za każdym razem oddaje celny strzał.

Dzięki tym ćwiczeniom staję się doskonałym strzelcem i w wyznaczonym dniu, na oczach ojca, który przybył, by obserwować moje wyczyny, po trzykroć umieszczam strzały w samym środku tarczy.

— Ojczy, stałem się dobrym łucznikiem. Obiecałeś, że kiedy to się stanie, pozwolisz mi wyjść.

Zachwycony moim wyczynem ojciec, z radością się zgadza.

Spłodził mistrza, któremu, zgodnie z daną obietnicą, może pozwolić na opuszczanie fortecy Kapilawastu każdego ostatniego dnia miesiąca księżycowego.

Jestem tak samo szczęśliwy jak on.

Wreszcie nadchodzi ostatni dzień miesiąca.

Razem z Anandą postanawiamy odwiedzić osady, których setki rozrzucone są w olbrzymiej uprawnej dolinie, wydartej dżungli, co kosztowało ludzi niemało trudu.

Z początku odkrywam prawdziwą nędzę, o którą nie zdążyłem się otrzeć za pierwszym razem. Widzę brudne dzieci, których smutne oczy mnie zdumiewają. Kiedy się do nich zbliżam i podaję im rękę na powitanie, one też wyciągają rączki, ale szybko orientuję się, że robią tak w nadziei otrzymania czegoś do jedzenia...

Na początku wsi trafiamy na człowieka, którego prawe ramię jest uniesione i który stoi na jednej nodze, podczas gdy stopa drugiej opiera się o udo. Jeśli wierzyć temu, co mówią, trwa w tej pozycji od czterdziestu lat.

Pytam go:

— Dlaczego to robisz?

Odpowiada mi:

— Jestem joginem. Poszukiwanie prawdy wymaga umartwienia się. Niektórzy z moich braci przebijają sobie brzuch szablą, albo przekuwają język długimi szpilami, na jakie rzeźnicy nabijają szaszłyki. Jeszcze inni uprawiają hatha-jogę lub jogę ashtangę, które uwalniają organizm od wszelkich nieczystości.

Wieczorem udaję się do ojca.

- Ojcie, tam na zewnątrz widzieliśmy z Anandą małe dzieci, które wyciągały do nas ręce, a kiedy pytałyśmy je, dlaczego to robią, odpowiadały, że są głodne. Najmniejsze z nich podobne było do karłowatych akacji, które nieszczęśliwym trafem wyrosły na pustyni. Czy to normalne, ojcie? Dlaczego bogowie na to pozwalają?
- Są głodne, ponieważ ich rodzice nie dają im dość pożywienia! Być może także nie modlą się do bogów o dobre zbiory!
- Kiedy skończę podwieczorek, a taca nadal będzie pełna

ciasteczek z miodem i różaną konfiturą, dlaczego nie miałbyś mi pozwolić zanieść ich tym dzieciakom?

— Mój mały Siddhartho, jeśli zamierzasz w ten sposób ulżyć losowi wszystkich ludzi i nakarmić wszystkich głodnych, powinieneś wstawać bardzo wcześnie, a i tak nie starczyłoby ci na to całego twojego życia.

Tego samego wieczoru podsluchuję jego rozmowę z żoną.

— Czy możesz sobie wyobrazić, Mahapradżapati, że Siddhartha, niezadowolony z odkrycia ascetów odzianych w po wietrze, odpowiada teraz na prośby żebraków, od których aż roi się na każdym skrzyżowaniu dróg?

Macocho bierze mnie w obronę.

— Siddhartha jest bardzo inteligentny i dojrzały jak na swój wiek. Miej do niego zaufanie! Nie zrobi nic lekkomyślnego.

— Zaufanie! Zaufanie! Nie chciałbym, żeby wszystko, co nasza rodzina zbudowała przez całe lata, zostało zniweczone pod byle pretekstem.

Ojciec opowiada jej historię niejakiego Sogdy, syna bogatej rodziny z sąsiedniego regionu, który nie zawahał się roztrwonić swojego spadku na ofiary i wsparcie dla biednych.

Nie chce — jak mówi — „u siebie drugiego Sogdy”!

— Mam nadzieję, że nie zrobi niczego takiego! — dodaje, tak mocno uderzając pięścią w stół, że rozbija śliczny wazon, do którego Mahapradżapati wkłada zawsze jedną różę.

Zszokowany i smutny stwierdzam, że ojciec obawia się, iż splodził wyrodnego syna, buntownika, który właśnie zaczyna wymykać się spod jego wpływu. Znacznie gorzej — syna zdolnego w porywie hojności wyrzec się społecznej i materialnej rangi swojej kasty.

Postanawiam nie wspominać więcej w jego obecności o śramanach, mieszkańcach wioski i głodujących dzieciach.

Czas płynie, a ja czuję się jak ptak zamknięty w klatce, a w niektóre dni jak orzeł, któremu obcięto skrzydła, pozbawiając tego ptaka o niezawodnym wzroku podniebnych lotów, co stopniowo stępiło ostrość jego widzenia.

Im głębiej się zastanawiam, tym częściej dochodzę do wniosku, że porządek kastowy, który przeszkadza mi na przykład przyglądać się — choćby kątem oka — młodej ślicznej praczce, co tydzień przynoszącej do zamku upraną bieliznę, i wzruszać się na widok jej piersi falujących pod przezroczystą i mokrą sukienką we wzory oznaczające przynależność do kasty Śudrów, kasty podludzi, jest absurdalna.

Pewnego dnia, nie mogąc dłużej wytrzymać, stoję przed nią i pozdrawiam najpiękniejszym z moich uśmiechów, żeby wiedziała, że nie jest mi obojętna. A ślicznotka, bynajmniej nie zmieszana, robi uroczą i lekko kpiącą minkę, która zdaje się mówić: „Żal mi ciebie, biedny chłopcze, niewolniku twego społecznego statusu, który nie masz nawet prawa zalecać się do ładnej dziewczyny...”.

Z nas dwojga to ona ma nade mną przewagę.

Spuszczam oczy i pienie się z wściekłości. Mam wrażenie, że jestem pięknym wazonem stojącym na wysokiej półce, skazanym na przyglądanie się innym.

Wiem już jednak, że pewnego dnia zejść z tej półki, na której powinienem, zdaniem mojej rodziny, pozostać.

Nie jestem drogocennym wazonem.

Jestem istotą ludzką.

Taką samą jak inni.

6

Polowanie na tygrysa

Strach mnie upaja.

Jutro ojciec zabiera mnie na polowanie na tygrysa.

Prawo do zabicia tego drapieżnika mają wyłącznie mężczyźni potomkowie kasty kszatrijów, którzy osiągnęli wiek dwunastu lat, a wraz z nim posiadli ponoć cnotę odwagi i biegłość we władaniu bronią.

Ojciec uprzedził mnie, że wyprawa będzie trwała kilka dni, które spędzimy na grzbietach słoni opancerzonych jak olbrzymie żółwie, na okoliczność polowania na te wielkie drapieżniki, licznie występujące nad brzegami rzek, w bambusowych zagajnikach, wśród których poruszają się bezszelestnie w poszukiwaniu zdobyczy.

Niestety po przeszukaniu dżungli i jej siekących jak ostrza zarośli wracamy jak niepyszni; w tym roku, nie wiedzieć czemu, tygrysy stały się bojaźliwe i uciekają na widok człowieka.

W drodze powrotnej indaguję Śiuddhodanę:

- Ojcze, czy bramin ma prawo zabić tygrysa?
- Zadaniem bramina jest zajmować się bogami i modlić się do nich. Dlaczego o to pytasz, Siddhartho?
- Powiadają, że kasta kszatrijów jest niższa od kasty braminów! Biorąc ten fakt pod uwagę, bramin powinien móc zabić tygrysa...

— Pod słońcem króla bogów, Indry, każdy winien pozostać na swoim miejscu. Już ci to mówiłem Siddhartho!

Dokładnie tego dnia, siedząc między uszami wielgachnego słonia kroczącego przez pole trzciny, po raz pierwszy odczuwam pewność, że nikt i nigdy nie powinien pozostać na swoim miejscu, wprost przeciwnie, człowiek powinien zacząć od tego, by być wolnym i móc wybierać, dokąd chce pójść, kogo spotkać, z kim chce rozmawiać, jeśli tylko pragnie odnaleźć Prawdę.

Nabrałem wewnętrznego przekonania, że człowiek powinien wyjść z siebie, jak i z roli narzuconej mu przez społeczeństwo.

Nagle powietrze przeciął potężny ryk.

Wystraszony słoń położył po sobie uszy i zamarł bez ruchu na podobieństwo pomnika boga Ganesza. Zdawać się mogło, że jego wielkie nogi wrosły w ziemię. Tygrys jest jedynym drapieżcą zdolnym zaatakować słonia. Jego pazury mogą przebić bardzo grubą skórę zwierzęcia. Jedna tygrysia rodzina pożera całego słonia, zostawiając tylko jego szkielet i strzępy szarej skóry.

Można by pomyśleć, że świat jest tak urządzony, żeby wszystko, co silne i groźne, trafiało pewnego dnia na silniejszego od siebie oraz że życie potrzebuje śmierci, a budowanie — destrukcji.

Wiem już, że dany stan potrzebuje stanu przeciwnego, by móc istnieć, ale nie mogę pogodzić się z tą okrutną zasadą. Pamiętam, kiedy to do mnie dotarło, jakby to było wczoraj.

Tamtego dnia mój ojciec, Śiuddhodana, był w wyśmienitym humorze.

Żeby nie popsuć naszych wzajemnych relacji, od miesięcy nie mówiłem mu o żebrakach i wieśniakach, śramanach, braminach, rolnikach i praczkach, jednym słowem o ludziach żyjących poza twierdzą.

— Dzisiaj zabiorę cię na pola, gdzie odbywa się pierwsza rytualna orka — oznajmił mi wesołym głosem.

Pierwsza rytualna orka, wyprzedzająca o kilka dni porę

siewu, jest okazją do błagania bogów czuwających nad zbiorami, by okazali hojność.

Szedłem za ojcem, który kroczył za pługiem kapłana.

Wtedy, w otwartej ranie, jaką lemiesz świętego pługa zadaje ziemi, ujrzałem obraz rozpaczy.

Młode posiekane pędy trawy służące za legowiska owadom pokryte były trupami poszarpanych żyjątek, których jaja zostały zniszczone pracą kapłana-oracza. Było tam nawet rozcięte na pół pisklę.

Przeorana bruzda stała się spektaklem rozpaczy; prawdziwym miniaturowym cmentarzem.

W jaki zatem sposób rzekomo dobroczynny rytuał mógł być tak barbarzyński?

Z trudem powstrzymałem łzy.

Dlaczego po to, by umożliwić wzrost jęczmienia, człowiek zmuszony jest zadawać śmierć roślinom i zwierzętom?

Przybity, zdałem sobie sprawę, że cykl życia jednych odbywa się za cenę zniszczenia innych.

Pochyliłem się nad bruzdą, by zaczerpnąć z niej garść ziemi zmieszanej z kępką wyrwanej trawy, po której wlokła się żałośnie biedronka pozbawiona jednego skrzydła.

— Co robisz, Siddhartho? To niebezpieczne kucać jak pies czekający na swojego pana. Wiele stóp nieostrożnych ludzi zostało odciętych przez lemiesz pługów! Wyjdź natychmiast z bruzdy! — krzyknął Śiuddhodana.

— Mój ojcie, dlaczego to młode i piękne źdźbło trawy musi być ścięte, by można było coś zasiać?

Zdałem sobie sprawę, że moje pytanie jest śmieszne, niegodne dziecka potrafiącego czytać, pisać i liczyć, któremu nauczyciel przekazał już wiedzę z zakresu historii, geografii i nauk przyrodniczych.

Kapłan-oracz przerwał pracę, żeby się obejrzeć. Patrzył na mnie zdumiony.

— Przecież ludzie muszą jeść, Siddhartho! — odparł mój ojciec.

Śiuddhodana dał znak kapłanowi, żeby kontynuował orkę. Jednocześnie wznosił oczy ku niebu, dając mu do zrozumienia, że należy wybaczyć mi te nieodpowiedzialne słowa.

Bramin podjął przerwana pracę i po zaoraniu długiej rytualnej bruzdy zaczął rozpalać święty ogień *Homa* na kawałku poświęconej ziemi znajdującym się na końcu pola. Kiedy zniknął nam z oczu, ojciec powiedział do mnie przez zaciśnięte zęby:

- Siddhartho, nigdy więcej tak się nie zachowuj! Zwłaszcza w obecności kapłana.
- Ależ ojcze, co z tymi wszystkimi unicestwionymi jajami owadów, które nie prosiły o nic więcej jak tylko o to, by móc się rozwinąć! Życie wydaje mi się zbyt cenne, by miało być w taki sposób marnowane.
- Tak to już jest, synu! Kiedy orze się pole, przeszkadza się różnym żyjątkom i wrywa się trawę. Idź i posiedź sobie w ciszy pod drzewem jambu! W przeciwnym razie sprawisz, że pożałuję tego, iż zabrałem cię tu z sobą! — rzekł ojciec oschłym tonem.

Posłuchałem go i poszedłem w kierunku drzewa jambu, pod którym usiadłem, oparty o pień, i przyglądałem się zakończeniu rytuału.

Właśnie tam, pod tym drzewem, jasno zdałem sobie sprawę z koła życia, tego powolnego procesu konstrukcji i destrukcji, wspinania się i schodzenia, wchłaniania i wydalania, pełni i próżni, bez których nasz świat nie byłby tym, czym jest.

Wtedy właśnie zrozumiałem, że powinno się pogodzić ze śmiercią, ponieważ bez niej nie byłoby życia. Zrozumiałem też, że według prawa natury, które tak mnie oburzyło, słabszy musi zostać zjedzony przez silniejszego.

Z wyjątkiem być może tego, co zachodzi pomiędzy tygrysem i słoniem, dwoma królewskimi zwierzętami; jednym — ze względu na swój rozmiar i ciężar, drugim — z uwagi na siłę jego szczęk o kłach ostrych jak sztylety...

Zapewne zaraz dowiem się, który z tych dwóch ksiąząt lasu jest silniejszy, ponieważ szpaler trzciny cukrowej i zarośli zaczął drzeć.

Słoń lekko rozstawił przednie nogi, żeby lepiej odeprzeć ewentualny atak tygrysa. W związku z tym, mimo że ojciec z całych sił ściska łydkami szyję zwierzęcia, podczas gdy ja czepiam się kurczowo jego pasa, obaj niebezpiecznie pochylamy się do przodu i omal nie spadamy na ziemię.

— Nie bój się, Siddhartho! Wystarczy, że będziesz się mnie mocno trzymał... — mówi ojciec, z trudem ukrywając trwogę.

— Ja nie boję się śmierci!

— A kto tu mówi o śmierci?

Po raz pierwszy widzę mojego ojca zdjętego niepokojem. Jego ręce są tak zaciśnięte na uprzęży słonia, że knykcie stały się zupełnie białe.

Strach ojca zdaje się narastać w miarę wzmagania się trzasków w zaroślach, zrazu dalszych, potem bliższych.

Słoń pochyla łeb tak nisko, że jego kły sięgają ziemi, gotowe unieść się nagle, by w razie potrzeby nabić tygrysa, kiedy ten wyskoczy znienacka.

Nigdy w życiu nie widziałem tygrysa ani martwego, ani żywego.

Znałem jedynie trofea, którymi ozdobiona jest sala uczt naszej fortecy. Jest ich około dwudziestu. Łby pozbawione są zębów. Obdarowuje się nimi zwycięskich wojowników powracających po walkach. Noszą je na szyi w postaci wisiorów lub naszyjników, w zależności od stopnia swojej odwagi. Pamiętam, że kiedy byłem mały, lubiłem bawić się takim spiczastym kłem w kolorze kości słoniowej, zawsze wiszącym na szyi ojca na złotym łańcuszku, nawet podczas rytualnych ablucji i codziennej toalety.

Niespodziewanie słoń skacze w bok i zwała nas na ziemię, po czym ucieka na drogę, zostawiając nas samych, Śiuddohanę i mnie, naprzeciwko ściany bambusów, za którą czai się niebezpieczeństwo.

Ojciec wyszarpuje z pochwy sztylet.

Nie mając jeszcze wymaganego wieku, nie noszę broni, więc w tym momencie mój ojciec z pewnością żałuje, że musi uszanować przepisy, którym podlegają wszyscy członkowie jego kasty, nie zastanawiając się nad ich sensem.

Staję przed ojcem, chcąc służyć mu za tarczę.

Przed nami stoi tygrys odziany we wspaniałą trójkolorową szatę, a mój ojciec drży.

W tym momencie zdaję sobie sprawę, że futro tygrysa żywego jest o wiele piękniejsze niż futro martwego.

Głowa zwierzęcia przypomina rytualną maskę. Jego oczy patrzą na mnie i widzę w nich pobłażanie. Mrużę oczy, by dać mu do zrozumienia, że nie mam wobec niego złych zamiarów. Z kolei on, ten książę lasów, niedostrzegalnie opuszcza jedną powiekę. Rozpoznaliśmy się; odtąd możemy porozumiewać się za pomocą znaków.

Dżungla jest tak cicha, jakby wszystkie stworzenia wstrzymały oddech w oczekiwaniu na to, co nastąpi... Na ramieniu czuję spojrzenie ojca. Robię krok w kierunku tygrysa. Nie porusza się. Powoli wyciągam rękę z dłonią odwróconą w jego stronę. Jest to *abhaja mudra** — gest uspokojenia.

Tygrys rozumie, że nie tylko nie mam wobec niego złych zamiarów, ale że staram się ukoić jego strach, który jest jedynym czynnikiem powodującym, że zagrożone zwierzę staje się niebezpieczne i gotowe zabijać dla ratowania własnego życia.

Tygrys wydaje z siebie głuchy ryk i truchtem oddala się za bambusową zasłonę.

— Dumny jestem z ciebie, mój Siddhartho! Odniosłeś zwycięstwo nad tygrysem. Jeśli twój umysł nie zejdzie na manowce, zostaniesz wielkim przywódcą rodu! — mówi ojciec.

Nie chcąc go martwić, nie odpowiadam, że wcale nie odniosłem zwycięstwa nad tygrysem, tylko z nim poroz-

* *Mudra* (sanskryt) — „gest”, symboliczny układ dłoni i palców.

mawiałem, i że mój umysł —jak on to nazywa — będzie coraz bardziej schodził na manowce.

Do tego stopnia, że pewnego dnia nie rozpozna się już w swoim synu.

A to dlatego, że Prawda wezwie mnie do siebie, podczas gdy on — biedny człowiek — będzie nadal trwał w błędzie...

7

Być i mieć

Nikt nie obetnie mi skrzydeł.

Nikt nie będzie mógł stąpić ostrości mojego wzroku.

Dziś zdecydowałem, że Ananda i ja wydostaniemy się z fortecy przez okalający ją mur.

Uciekniemy, nie pytając o pozwolenie.

Z początku, kiedy powiedziałem mu o tym planie, mój miły kuzyn nie wydawał się zbytnio przekonany do tego pomysłu.

— Nie boisz się być nieposłuszny swemu ojcu?

— Czym jest nieposłuszeństwo wobec absurdalnych zasad. Za kilka dni skończysz jedenaście lat. Czy uważasz za rozsądny zakaz wychodzenia poza fortecę, wydany pod pretekstem chronienia nas przez światem, w który wcześniej czy później wejdziemy, ponieważ skazani jesteśmy na życie w nim?

— A co powiesz, jeśli Śiuddhodana zażąda wyjaśnień?

— Prawdę! Jestem mu ją winien. O ile, co na próżno staram ci się wytłumaczyć, nieposłuszeństwo nic nie znaczy, o tyle kłamstwo nie byłoby niczym dobrym.

— W każdym razie, Siddhartho, to ty decydujesz. Postąpię tak jak ty... — zakończył z uśmiechem ten, który zawsze będzie mi ufał i towarzyszył do końca.

W umówionym dniu zjeżdżamy po olbrzymim pniu bluszczu, pnącego się po murze od góry do dołu.

Wkrótce jesteśmy na zewnątrz, w rzeczywistym świecie, poza ramami iluzji i nakazów, w których mój ojciec pragnął mnie zamknąć dla mego dobra.

Biegniemy w stronę źródła, przy którym o tej porze nie ma żadnych zwierząt, i po raz pierwszy przekraczamy rzekę, krzyżując z radości, jakbyśmy przekraczali granicę wymarzonej krainy, do której dotąd wzbraniano nam wstępu.

Teraz wystarczy tylko pokonać wzniesienie i znajdziemy się na drodze prowadzącej do najbliższej wsi.

Na początku drogi natrafiamy na zaciętą twarz jakiegoś egoisty, wędrownego handlarza tkanin, który odmawia wyspania do miseczki podstawionej przez ascetę odrobiny ryżu z zupy, podczas gdy sam właśnie napycha się do syta, siedząc na ziemi obok swojego wózka.

Mówię do Anandy:

— Ten człowiek pozbawił się właśnie okazji spełnienia dobrego uczynku! Nieszczęsny nie zrozumiał, że dawanie jest szczęściem. Naprawdę, żal mi go z całego serca.

Kuzyn wygląda na zaskoczonego moją uwagą i patrzy na mnie z dziwną miną, na jego twarzy zdumienie miesza się z niedowierzaniem.

— Gdzie się tego nauczyłeś?

— Nie uczyłem się tego. Sam do tego doszedłem. To, co dajesz, staje się twoim bogactwem. To, co zachowujesz dla siebie, czyni cię biednym. Ten, który w samotności upaja się widokiem swojego skarbcza wypełnionego pod samo sklepienie złotem, z którego nikt nigdy nie skorzysta, jest najbiedniejszym człowiekiem na świecie.

— Rozumiem... I zgadzam się z tobą. Dawanie jest szczęściem.

— Człowiek może wybierać między dwiema postawami: być i mieć...

— Być i mieć?

- Są to dwie postawy niemożliwe do pogodzenia.
- Skąd wiedzieć, którą z nich wybrać?
- Najczęściej nie dokonuje się wyboru. Kiedy „masz”, trudno jest „być”, ale dla tych, którzy niczego nie mają, być jest bardzo łatwo. Podobnie jak człowiekowi, który niczego nie posiada, łatwiej jest wspiąć się po linie niż temu, którego kieszenie wypchane są monetami z brązu.
- Czy to oznacza, że lepiej jest być biednym niż bogatym?
- Wszystko zależy od tego, czego szukamy.
- A którą z tych dwóch możliwości ty wolisz?
- Rzecz jasna, że „być”! Ponieważ jeśli ludzie nie mają świadomości, kim są, nie mogą być szczęśliwi! Jeśli nie Jestem”, skąd mam coś wiedzieć? Jeśli niczego nie „wiem”, poruszam się na oślep! Jeśli poruszam się na oślep, w końcu się zagubię. A kiedy się zagubię, stanę się nieszczęśliwy...

Świadomy tego, że takie rozważania mogłyby obrazić zastygłe w tradycyjnym myśleniu duchy przodków, zachowywałem je dotąd dla siebie, ale teraz jestem zadowolony, że mogłem się nimi podzielić z Anandą.

Ruszamy dalej.

Po kilku krokach napotykamy majestatyczny mangowiec, którego gałęzie wspinają się pod samo niebo, a owoce pozwalają nam zaspokoić głód. Podłużne i miłe w dotyku owoce są dojrzałe i rosną w zasięgu naszych rąk.

Zwracam uwagę Anandy na fakt, że niczego od tego drzewa nie żądaliśmy, co nie przeszkodziło mu nakarmić nas do syta.

Przyznaje mi słusność.

Po jego oczach widzę, że zrozumiał, na czym polega różnica między „być” i „mieć”.

Upał jest o tej porze tak nieznośny, że wprawia w drgania niebieskawą linię horyzontu, oddzielającą pustynną dolinę położoną na wschód od Kapilawastu.

— Ale się nam oberwie, kiedy Śiuddhodana dowie się, że złamaliśmy jego zakaz... — wzdycha Ananda.

Nieszczęśnik wygląda na przerażonego.

Wyrzucam sobie, że posunęliśmy się zbyt daleko; że zmusiłem go do pójścia w moje ślady, że wywarłem na niego nacisk, który może zmienić jego sposób myślenia. Nie powinien uważać mnie za swego guru, przecież jestem tylko jego bratem i jesteśmy sobie całkowicie równi!

— Gdyby mój ojciec pozwolił nam wychodzić, nigdy by do tego nie doszło! — mówię, starając się dodać mu otuchy.

— Dobrze ci tak mówić, Siddhartho, ale to, co zrobiliśmy nazywa się nieposłuszeństwem!

— Nie w znaczeniu dojrzałości naszego czynu...

— Co nazywasz „dojrzałością czynu”, Siddhartho?

Oczy Anandy stają się coraz większe, aż przypominają ofiarne czarki z brązu, do których pobożni ludzie wysypują płatki róż na chwałę bogów.

Czy pamiętasz, Anando, słonia, którego widzieliśmy na drodze do Kapilawastu i który pchał olbrzymi pień drzewa?

— Jakżeby nie! Był wielki jak góra! A pani Udea nie była zadowolona, że wymknęliśmy się spod jej skrzydeł...

— To zwierzę pokazało nam, co oznacza wyrażenie, którego właśnie użyłem, i co się za nim kryje...

— Mówisz o czynach, Siddhartho, jakby były owocami z drzewa!

— Czyn można porównać do rośliny, której ziarno, od kiedy znalazło się w ziemi, kiełkuje i się rozwija, stając się nową rośliną, która z kolei wytwarza owoc. A kiedy ten jest dojrzały, odrywa się od gałęzi, która go żywiła, i spada, czasem na głowę tego, kto posiał ziarno... Przypomnij sobie tego słonia: to dzięki jego pchnięciom tam, na górze, pień potoczył się w dół, aż do miejsca, w którym się zatrzymał. Czyn osiągnął dojrzałość w chwili, gdy zwierzę popchnęło pień; a jeśli o czyn chodzi, to dokonał się wtedy, kiedy kawał drewna się zatrzymał. Podobnie było z nami, Anando. Zostaliśmy zmuszeni do przejścia przez mur dlatego, że Śiuddhodana zabronił nam wyjść z forticy przez główną bramę.

— Jak ty to wszystko wykoncypowałeś, mój drogi kuzynie?

— Sam wymyśliłem, Anando. Nie przekonuje mnie to, co na ten temat opowiada Rugła, nasz nauczyciel religii. Dobrze wiesz. Ta historia o piekle i raju, według której wystarczy składać ofiary bogom, żeby znaleźć się we właściwej przegródce... Na przykład wcale nie mam pewności, czy rytualna orka wystarcza do zapewnienia dobrych zbiorów...

— A więc nie wierzysz w skuteczność ofiar? Nie wierzysz, że bogowie są wszechmocni?

— Bogowie! To my decydujemy o ich rzekomej mocy...

Przechodzimy właśnie obok świeżo zaoranego poletka, na którym pracują nisko pochyleni ogrodnicy.

— Spójrz przez chwilę na to pole! Kiedy je orano, plóg zabił tysiące roślin i owadów, nie licząc setek myszy i piskląt! To dopiero jest ofiara!

— Bramini bez przerwy tłumaczą nam, że człowiek musi składać ofiarę bogom, jeśli chce doświadczać ich łask...

— Nie wierzę, żeby dzięki owocom i martwym kurczakom człowiek uniknął samsary, mój kochany Anando!

— Czy masz na myśli cykl śmierci i odradzania się, Siddhartho?

— Owszem. Czynię właśnie aluzję do tego błędzenia, które wiedzie istoty żywe z jednego życia ku drugiemu. Mówię o tym potężnym kole, które nigdy się nie zatrzymuje! Mówię o tych nieskończonych istnieniach, będących konsekwencją czynów rozpoczętych nieświadomie w poprzednim życiu, które dopiero później przyniosą efekty, Anando! Tak! To o samsarze pragnę mówić!

— Jaki jest związek między samsarą, na którą człowiek jest nieodwołalnie skazany, a tym, co nazywasz „dojrzałością czynów”?

— Zastanów się! Jestem pewny, że sam możesz znaleźć odpowiedź na swoje pytanie.

— Chcesz powiedzieć, że czyny, które przez swoją dojrzałość są złe, mogą sprawić, że ci, którzy się ich dopuścili, źle się odrodzą?

- Jestem tego całkowicie pewien. Czy to nie byłoby naturalne? Co o tym sądzisz?
- Co w takim razie będzie z nami, którzy uciekając z zamku, właśnie sprzeciwiliśmy się twojemu ojcu?
- Już ci to wyjaśniłem, Anando. To nie był zły czyn. Nasza egzystencja jest tak chroniona, że nasze pole do działania ogranicza się do złotego więzienia, w którym dobrze jest żyć, podczas gdy na zewnątrz większość mężczyzn i kobiet cierpi! Czy zraniliśmy kogoś, uciekając z fortecy?
- Ale postąpiliśmy wbrew zakazowi...
- Też mi przestępstwo!
- Ja także pragnąłbym czynić dobro! Chciałbym zrobić coś, by ulżyć cierpieniom biednych dzieci, które nie mają co jeść... — wzdycha Ananda.
- Tu, gdzie żyjemy, jest to zupełnie niemożliwe. Dlatego właśnie nasza ucieczka nie jest złym czynem. Wprost przeciwnie, to czyn zbawienny...

Wracamy do zamku tą samą drogą i udaje nam się prześliznąć niepostrzeżenie w tłumie zebranych na dziedzińcu tylko dzięki grupie handlarzy tkanin, przybyłych, by zaprezentować moim rodzicom swoje wyroby.

W chwili gdy żegnamy się na progu naszych komnat, ściskamy się mocno.

Bez potrzeby uzgadniania tego między sobą wiemy doskonale, że miejsce naszego przeznaczenia jest gdzieś indziej niż w fortecy Kapilawastu.

Leżę na posłaniu i czuję się szczęśliwy.

Nauczyłem Anandę, że lepiej jest „być” niż „mieć” i że jedyną drogą do tego, żeby „mieć” jest „być”...

8

Staję się buntownikiem

O ile między złotem i popiołem istnieje zasadnicza różnica, o tyle, jestem teraz pewny, pomiędzy braminem i dalitem * nie ma żadnej!

Mija już kilka miesięcy, odkąd Ananda i ja po kryjomu przeskakujemy przez mur fortecy.

Pani Udea, która w międzyczasie bardzo się zestarzała, wróciła do swojej rodziny, dzięki czemu możemy teraz znacznie swobodniej chodzić sobie tam i z powrotem.

Ojciec jest często nieobecny; nadzoruje działania mające na celu utrzymanie porządku, ponieważ głód spowodowany długotrwałą suszą wywołuje liczne zamieszki, w wyniku których nasze wsie i miasta płoną i sphywają krwią.

Dzisiaj proponuję Anandzie, żebyśmy poszli obejrzeć, jak wygląda Kapilawastu.

Jeszcze nigdy nie postawiliśmy nogi w tym mieście, nad którym ród Gautama sprawuje opiekę administracyjną i zapewnia mu obronę. Pomimo że niektóre z domów przylegają praktycznie do północnej części murów fortecy, ilekroć wyra-

* Dalit (sansk.) — niedotykalny.

ziłem przed ojcem chęć udania się tam, spotykałem się z jego zaciętkim oporem, co bardzo mnie dziwiło.

Przez szacunek dla ojca dotychczas respektowałem ten zakaz, ale z upływem czasu i wzrostem mojej hardości uznałem, że nadszedł właściwy moment, by przestać się do niego stosować.

Wczoraj po południu po raz kolejny, mimo iż moja cierpliwość powoli się wyczerpywała, starałem się zrozumieć wywód nauczyciela na temat Dharmy*.

— Zapamiętajcie dobrze! Istnieje dobro i zło. Jest piekło i jest raj. A zwłaszcza są bogowie, których należy się obawiać i których pragnienia musicie we własnym interesie zaspokajać.

Stary i łysy profesor o wychudłej twarzy, któremu Siudhdodana powierzył moją edukację religijną, po raz któryś skandował piskliwym głosem dogmaty wiary, po czym kazał nam je powtarzać, by się upewnić, że Ananda i ja dobrze je sobie przyswoiliśmy.

Ręką jak zwykle uzbrojoną w pałeczkę, nauczyciel, recytując, wystukuje rytm, wymagając powtarzania słowo w słowo każdego zdania, a my wiemy, że przy najmniejszej pomyłce nie zawaha się dzielić nas linijką po palcach.

W taki właśnie sposób, chcąc nie chcąc, musiałem recytować z pamięci opis świata według Dharmy.

Nie wierząc ani jednemu jego słowu, udawałem zainteresowanie, i napawało mnie to obrzydzeniem.

Świat podobny jest do wielkiej cylindrycznej kadzi, wewnątrz której poruszają się w górę i w dół lub stoją bez ruchu — co zdarza się dużo rzadziej — wszystkie istoty, a ich ruch zależy od czynów, których już dokonały lub których dopiero zamierzają się dopuścić.

— A jak ty nazywasz ten mechanizm, Siddhartho? — zagadnął mnie nauczyciel, unosząc krzaczastą brew.

Mechanicznym tonem, zapożyczonym od uczniów recytujących lekcję, odparłem:

* Dharma (sansk.) — doktryna, nauka.

— To suma czynów dobrych i złych! W zależności od swoich czynów, istoty żywe mogą zostać powołane do odrodzenia się w pięciu postaciach, od najokropniejszych do najbardziej satysfakcjonujących: piekielnych, głodujących duchów, zwierzycy, ludzkich i boskich.

To dziwne, ale kiedy recytuję tę część Dharmy, nieuchronnie przeszywa mnie lekki dreszcz i nie mogę przestać nerwowo mrugać.

— Wyrecytuj mi listę głównych bogów!

Jako że znam na pamięć imiona wszystkich bogów — a nawet potrafię szczegółowo opisać ich zdolności i atrybuty — wyrzucam z siebie ich listę jednym tchem, co zabiera mi około piętnastu minut.

— Dobrze! — mówi zadowolony profesor. Właśnie wtedy, na gorąco, ja zadałem mu pytanie:

— Mistrzu, czy piekło jest tak palące, jak powiadają? Spojrzałem na mnie zdumiony. Jak mogłem ośmielić się zadać mu pytanie w chwili, gdy sam byłem pytany? Takie zachowanie oznaczało z całą pewnością brak szacunku.

Ananda był przekonany, że długa trzcina nauczyciela zaraz spadnie z suchym trzaskiem na moje plecy.

Jednak ku mojemu wielkiemu zdziwieniu nauczyciel bramin raczył mi odpowiedzieć.

— Palące albo lodowate! To zależy! W Awici, które jest najstraszliwszym ze wszystkich piekieł, potępieni poddawani są torturom takim jak rozszarpywanie ciał tnącymi liśćmi piekielnych drzew lub żelaznymi dziobami żyjących tam straszliwych ptaków. W innych przypadkach ich ciała są gotowane i smażone, zgniatane i rozrywane! Te ponure miejsca nawiedzane są przez złego boga Marę.

Biedny Ananda, trzęsąc się, zajączał:

— Wyobrażam sobie, że los głodujących duchów też jest nie do pozazdroszczenia!

— Zmarli błakają się po przestrzeniach położonych między piętrami cylindra w poszukiwaniu pożywienia, ale ponieważ

ich usta nie są większe od igielnego uszka, ciągle są głodni, bo nic i nigdy nie może zaspokoić ich głodu. Dlatego właśnie nazywa się ich głodującymi duchami. Taki opis mógł wywołać koszmary.

— A jaki jest najgorszy los czekający nas w samsarze? — spytałem odważnie, pragnąc dać nauczycielowi do zrozumienia, że niczego się nie boję.

Od czasu gdy wyjaśniono mi zjawisko błędzenia dusz między jedną egzystencją a drugą, w zależności od kaprysów losu, nie mogę się od tej myśli uwolnić.

Kiedy byłem mały, wyobrażałem sobie, że dusze podobne są do pływaków, którzy płyną bez przerwy, nie mogąc wydostać się na brzeg, w związku z czym płyną ponownie w przeciwną stronę, aż wyczerpanych pochłonie wreszcie wir.

- To los owada spotykającego się oko w oko z ropuchą! Lub ptaka, do którego celuje myśliwy! Tylko wąż nag pochodzący od boga noszącego to samo imię posiada moc, która od czasu do czasu pozwala mu opuścić ciało gadziny i przybrać ludzką postać — odrzekł profesor, zachwycony przerażeniem, jakie wywołuje u swoich młodych uczniów.
- Jeśli dobrze zrozumiałem, ludzka egzystencja jest w samsarze najbardziej godna pozazdroszczenia! — stwierdził Ananda.
- Posunę się dalej i powiem, że tylko człowiek jest zdolny wydostać się z cyklu samsary... — dodałem z uporem.
- Nie należy mówić takich niedorzeczności, Siddhartho! Nikt nie może wyjść z samsary! Samsara była, jest i będzie! — oburzył się profesor i zaczął walić pięścią w stół.
- Co jest złego w tym, że chce się wybawić bliźniego od strachu przed tym niekończącym się cyklem?
- Mam nadzieję, że twoje słowa wyprzedzają twoje myśli. W przeciwnym razie będę zmuszony widzieć w tobie zbudowanego świętokradcę... — oświadczył ten, który nauczał Dharmy.
- A czy ludzie są szczęśliwi? Takie właśnie pytanie należy sobie postawić. Mój ojciec, Śiuddhodana, stara się ze wszystkich

sił chronić mnie przed światem zewnętrznym, jakby obawiał się mojej reakcji na widok strasznych rzeczy, których w nim pełno... Skoro tak bardzo się boi, że zacznę okazywać litość, to z pewnością nie jest na tym świecie tak różowo.

Nie czekając, aż skończę, profesor rozjątrzony faktem, że taki jak ja żółtodziób odważył się stawić mu czoło, wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

— Chyba trochę przesadziłeś... — parsknął Ananda.

Byłem zarazem wściekły i smutny.

— Gdyby samsara była tak przyjemna, jak mówił profesor, nie uciekłby stąd.

Nazajutrz zadałem Anandzie pytanie:

— Czy jesteś gotów pójść ze mną do Kapilawastu? Chcę na własne oczy przekonać się, czy jest tam tak strasznie, jak sobie wyobrażam.

— Dlaczego nie? — odparł bez wahania, zawsze gotowy uczestniczyć w naszych tajemnych wyprawach.

Tak więc, ledwo połknęliśmy kolację, zamiast udać się do swoich komnat, przedostajemy się przez mur okalający fortecę i poganiani podnieceniem, przyspieszamy kroku, kierując się w stronę bram miasta.

Obliczyliśmy, że mamy do dyspozycji dwie dobre godziny na spenetrowanie wszystkich zakamarków Kapilawastu, zanim zamknięte zostaną okute brązem bramy, znajdujące się w czterech krańcach otaczających je murów.

Płonę z niecierpliwości, żeby wreszcie dowiedzieć się, jak wygląda to handlowe miasto, bo dotąd widziałem tylko jego dachy.

Kiedy wkraczamy w miejski świat, doznaję szoku, tak bardzo wydaje się brudny i odpychający.

Najpierw zaskakuje mnie ohydny odór, który ściska za gardło i zapiera dech. Potem piekielny hałas. Nikt nie jest w stanie usłyszeć drugiego człowieka, więc ludzie mówią w próżnię. Płacz i jęki, śmiechy i wyzwiska, wszystko miesza się w tym dźwięczącym tygłu i sprawia, że muszę zatykać uszy.

Na wszystkich rogach ulic pełno jest żebraków; albo siedzą w kucki pod ścianami, albo nie mając sił utrzymać się w pozycji stojącej, leżą wprost na ziemi.

Jeśli chodzi o zapachy, do tej pory znałem tylko delikatnie i subtelnie pachnące kwiaty i aromatyczne zioła, używane do sporządzania pachnideł dla kobiet wywodzących się z kasty wojowników: jaśmin i róże, laur i dziki tymianek, magnolię i geranium.

Tutaj odkrywam, że te najohydniejsze mieszają się z najpiękniejszymi.

Pośród tego smrodu zauważam wynędzniałe dzieci z wydętymi brzuskami, pochylające się nad stertami rozkładających się odpadków wyrzucanych przez mieszkańców wprost na ulicę. Biedactwa! Z pewnością mają nadzieję na znalezienie jakichś ogryzków jabłek lub innych jadalnych resztek.

Jestem wstrząśnięty rezygnacją malującą się w ich oczach, jakby akceptowały los, który czyni z nich istoty znacznie bardziej nieszczęśliwe od zwierząt.

Zasmuca mnie także obojętność innych mieszkańców, krzątających się przy swoich zajęciach, jakby nic się nie stało.

Nie potrafię określić, co szokuje mnie bardziej — rezygnacja czy obojętność. Kiedy jest się człowiekiem, akceptacja takiego życia jest niemożliwa, a bierność innych wobec kogoś skazanego na taki los jest trudna do zniesienia.

Przygnębia mnie niesłychane ubóstwo i egoizm.

— Jakie to wszystko straszne, Anando! Popatrz tylko na to cierpienie wokół! Świat ludzi niskiego stanu jest bezmiarem bólu. Oto straszliwa prawda, którą mój ojciec, Śiuddhodana, usilnie stara się przede mną ukryć...

Jednak najgorsze mieliśmy dopiero zobaczyć.

Im dalej się posuwamy, tym uliczny spektakl staje się tragiczniej szy.

Tu i tam asceci i medytujący jogini, którzy pokazują przechodniom swoje rany i blizny po cierpieniach zadawanych

swemu ciału. Niektórzy wbijają sobie sztylet w bok, inni siedzą na stołkach nabitych gwoździami i rozdrapują sobie piersi pękami kolczastych roślin, jeszcze inni kładą sobie na języku jadowitego skorpiona. Jest też taki, który twierdzi — jak głosi napis na tabliczce — że od dziesięciu lat trzyma rękę wysoko uniesioną nad głową. Większość z nich stawia przy swoich stopach miseczkę, do której przechodnie wrzucają drobne monety i kłaniają się z szacunkiem.

Narasta we mnie bunt.

To nie jest mój świat.

I nie chcę w nim być...

— Nie sądzisz, że ci ludzie zrobiliby lepiej, dając jedzenie głodnym dzieciom, zamiast rzucać datki tym joginom, którzy z całą świadomością ślubowali, że nie będą jedli? — pytam Anandę.

— Masz rację!

— Oto świat prawdziwy, świat miast, który ojciec chciał przede mną ukryć, i nie bez powodu. To świat, w którym na każdym kroku widać ból, zadawany lub odczuwany; to świat, w którym ludzie otaczają czcią tych, którzy postanowili sami zadawać sobie ból, a pogardzają tymi, którzy są ich ofiarami. To świat rozpaczy, wyobcowania i wściekłości.

— Dlaczego oni zadają sobie tyle bólu, Siddhartho?

Te okrucieństwa zadawane sobie, te małe dzieci żyjące tylko dzięki temu, co znajdują w stosie odpadków, ten hałas, niepozwalający ludziom mówić i słyszeć tego, co mówią inni, wszystko to budzi we mnie bunt.

— Nie wiem dlaczego. Być może myślą, że to dobry sposób na wzbudzenie litości bogów. Gdyby tak rzeczywiście było, oznaczałoby to, że bogowie ich nie kochają. W przeciwnym razie, po co kazaliby im tak cierpieć?

— Jak to się dzieje, że bogowie pozwalają, aby na ziemi było tyle nieszczęścia?

— Dobrze pytanie! Bogowie są egoistami; dobrze im tam, gdzie są, daleko od ludzi!

— Ja jednak trochę się boję bogini Durgi. Ma taką przerażającą twarz! — szepce Ananda, zaszokowany zapewne moimi słowami.

Biedak! Gdyby wiedział, że nie dbam o boginię Durgę. Gdyby wiedział, że wcale nie boję się czarnej bogini wojny, która żywi się wyłącznie krwią swoich ofiar. Podobnie jak straszliwego Sziwy, absolutnego władcy zniszczenia, któremu towarzyszą duchy i wampiry.

Oczy Anandy i moje spotykają się. Chyba uważa mnie za Oświeconego, lecz jego uśmiech zachęca mnie do wbicia ostatniego gwoźdźca.

— Jak, patrząc na to wszystko, można utrzymywać, że bogowie kochają ludzi? Czyżby postanowili bawić się naszym strachem, a nawet wykorzystywać go, jakbyśmy byli tylko słomianymi kukielkami, które muszą być im powolne, jeśli pragną odrodzić się w innej postaci, przyjemnej i godnej?

— Nie sądzisz, że przesadzasz?

— Biada temu, kto nie przestrzega boskich nakazów! Nieszczęśnik odrodzi się, ale w ciele szczura lub pod postacią owada! Ty uważasz, że to sprawiedliwe?

— Czas wracać, Siddhartho. Wszystko, co tu widzimy sprawia, że popadasz w przesadę — mówi nagle Ananda, rozgoryczony i bliski płaczu.

Żeby go pocieszyć, biorę go za rękę.

— Wybacz, jeśli się uniosłem... ale bunt we mnie aż huczy!

Przed powrotem do fortecy postanawiamy przejść jeszcze naokoło murów jak psy, które tropiąc zwierzynę, chcą dobrze poznać teren. W chwili gdy przechodzimy pod sklepieniem wschodniej bramy miasta, omal nie przewracamy jakiegoś mężczyzny, którego nie dostrzegliśmy w ciemnościach.

Jego plecy są pochylone jak gałęzie wierzby płaczącej, w prawej ręce trzyma koślawą laskę.

Człowiek ten, o włosach białych jak piana na piersi spoconego konia, wydaje się tak wątły, że sprawia na mnie wrażenie piórka unoszonego podmuchami wiatru.

— Czy już kiedyś widziałeś tak kruchego człowieka, Anando?

Zaczepiam jednego z przechodniów:

— Dlaczego ten człowiek wygląda tak, jakby za chwilę miał upaść? Dlaczego jego włosy są białe jak śnieg na szczytach gór?

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że nigdy nie widziałeś starca!
— odpowiada mężczyzna zdumiony moją ignorancją.

Starość!

Nie wiedziałem, czym jest starość, ten znak upływu czasu, spoczywający na ramionach ludzi jak coraz większy ciężar, a tu odkrywam ją w człowieku zniszczonym życiem. A więc istoty ludzkie więdną jak najpiękniejsze kwiaty, a ja nie miałem o tym pojęcia!

Nic nie zostaje, wszystko odchodzi i ulega przemianie, by powrócić i ponownie odejść; wszystko więdnie i gnije, nawet to, co najlepsze...

W pobliżu południowej bramy Kapilawastu dostrzegam jakiś kształt okryty łachmanami i oparty o kamienne wrota. Jest chudy jak szkielet, oddycha z wielkim trudem. Jego twarz o przepastnych oczodołach zrasza pot, mimo że wcale nie jest gorąco, a słońce już dawno zaszło.

Podchodzi do nas jakaś kobieta.

— Co się stało temu człowiekowi, proszę pani?

— Jest chory na febrę i zbyt biedny, by kupić lekarstwa.
Pewnie wkrótce umrze — odpowiada matrona.

Choroby! Nigdy dotąd nie widziałem skutków tego rozchwiania równowagi organizmu, na które czasem mogą pomóc różne lecznicze zioła, lecz jeśli cierpi się na chorobę nieuleczalną, wtedy nic nie pomaga i człowiek umiera.

Wszystko ulega rozchwianiu, bo wszystko jest kruche.

Wszystko, co jest proste, pochyla się: białe w końcu staje się czarne, to, co pełne, staje się puste. Najdoskonalsza równowaga i najpiękniejsza harmonia jest na łasce ziarnka piasku...

Kilka kroków od zachodniej bramy Kapilawastu zatrzymuje nas orszak żałobny. Płaczkę wyprzedzają nosze, na których leży małe dziecko. Jego skóra jest szara i pomarszczona, dziecko nie porusza się.

Chyba nie żyje.

Nigdy nie widziałem śmierci, ale wydaje mi się, że wiem, na czym ona polega; przecież sam straciłem matkę.

Śmierć otacza zewsząd świat, który jest tak urządzony, że nie może istnieć bez śmierci. Wszystko, co zostało zbudowane, będzie wcześniej czy później zburzone i odbudowane.

Tak właśnie urządzony jest świat, lecz ja o tym zapomniałem.

Zaglądam do budki balwierz, małego przysadzistego człowieczka, który właśnie obcina paznokcie bogato ubranemu mężczyźnie.

— Czy ci ludzie niosą zmarłego?

— To pogrzeb. Nigdy nie widziałeś pogrzebu? Codziennie trzy albo cztery żałobne kondukty przechodzą przed moimi drzwiami!

— Wiesz, niewiele widziałem, odkąd się urodziłem.

Przedstawiam się.

— Ja nazywam się Upali — mówi balwierz, mile połączony faktem, że członek wyższej kasty zwraca się do niego w tak uprzejmy sposób. — Jesteśmy balwierzami od pokoleń. Szczęśliwy jestem, że cię poznałem, Siddhartho! Twój ojciec, Śiudhdodana, opiekuje się tym miastem. To dlatego rzadko zaglądasz tu złodzieje.

Wychodzę, by dołączyć do Anandy, który grzecznie czeka na mnie na zewnątrz.

Czuję gorycz.

To, co tutaj odkryliśmy, jest jeszcze straszniejsze, niż sobie wyobrażałem. Mój ojciec źle postępuje, odcinając mnie od świata.

Przybici tym, co zobaczyliśmy, przyspieszamy kroku. Podjąłem decyzję: zaraz po powrocie ojca pójść do niego i zmuszę go do zmiany postępowania wobec mnie.

A jeśli się nie zgodzi, zerwę z nim wszelkie stosunki.

Przekraczamy teraz północną bramę miasta, tę przylegającą do drogi prowadzącej do fortecy, i widzę zbliżającą się do mnie dziwną sylwetkę, odzianą w szatę koloru ochry, trzymającą w ręce miskę na jałmużnę.

To bardzo dziwny mężczyzna, wygląda jak nie z tego świata.

Z jego niebieskich oczu, wciśniętych w oczodoły głębokie jak kratery, emanuje promieniowanie, które zdaje się przenikać mnie na wskroś, obnażając moją duszę.

Zafascynowany widokiem tego człowieka o gorejącym spojrzeniu, podchodzę do niego i prosto z mostu pytam, kim jest. Wygląda, jakby dopiero zszedł na ziemię i patrzył na tego, kto zagadnął go w taki sposób.

— Jestem wędrownym mnichem, śramanem, który opuścił swój dom.

— Co to znaczy „opuścić swój dom”? Kiedy ma się dom, zachowuje się go! A jak ma się rodzinę, którą się kocha, to się w nim zostaje!

— Kiedy mówię „opuścić dom”, mam na myśli pokonanie samego siebie, żeby lepiej się odnaleźć.

Asceta uśmiecha się do mnie.

— Pokonać samego siebie! Jakie to dziwne... — dodaje Ananda.

— Postanowiłem poświęcić życie dla świętości i dobroczynności. Chodzę po drogach. Od tej pory mój świat to tylko kurz i wiatr! — mamrocze śraman, po czym odchodzi.

Zafascynowany spokojem bijącym od tego człowieka, mówię do Anandy:

— Anando, świat, jaki nam od zawsze opisywano, nie jest prawdziwym światem! Nasza egzystencja jest sztuczna! Mój ojciec pragnie za wszelką cenę uchronić mnie przed nieszczęściem i bólem, ale prawda jest po stronie tego śramana.

W chwili gdy przekraczamy mur, by wrócić do kokonu, w którym oddycha się tylko wonią kwiatów i perfum, gdzie

wszystko jest luksusowe i wyrafinowane, gdzie panuje wspaniałość form i kolorów, zyskuje pewność:

Nadejdzie dzień, w którym ja także dokonam takich samych rzeczy, jak człowiek odziany w powietrze.

Ja także opuszczę swój dom i wyzwolę się od swego "ja.

Mówię wam: w taki właśnie sposób przewycięzę samego siebie, podobnie jak ten śraman z Kapilawastu.

9

Moje piętnaste urodziny

Dziś są moje urodziny.

Wkoło rozlegają się śmiechy radosne i beztroskie.

Szeleszczą materie, pobrzękują bransolety na nadgarstkach, pojawiają się wykwintne potrawy, podawane z rąk do rąk.

Sitary grają w rytm tabli i bębenków mridangam o podwójnych membranach.

Kadzidło, ten subtelny woal bogów — jak utrzymują bramini — rozsiewa w powietrzu oszłamiające smugi, rozwiewające się pod kasetonowym sufitem, pośród tańczących tam rzeźbionych ptaszków.

Dzisiaj świętujemy moje piętnaste urodziny!

Leżąc w niedbalej pozie na wspaniałej sofie pokrytej brokatem haftowanym srebrnymi nićmi, z zainteresowaniem obserwuję trzy młode dziewczęta tańczące przede mną leniwie.

Jestem zadowolony.

Wszyscy zresztą uważają, że wyglądam na zadowolonego, i mówią mi o tym.

Nie zapomniałem czterech spotkań: ze starością, chorobami, śmiercią i człowiekiem odzianym w powietrze, ale z upływem czasu obrazy te, choć na trwałe wyryte w mojej pamięci, stały się mniej bolesne.

Jednak to, co mnie zasmuca od miesięcy i tłumaczy komplementy padające na widok mojej wreszcie uśmiechniętej twarzy, to Ananda, mój drogi Ananda, mleczny brat, którego tak kocham i który mnie opuścił.

Tak! Pół roku temu mój ukochany kuzyn Ananda został, po odbyciu przeszkolenia wojskowego, wysłany do północnego garnizonu, oddalonego od Kapilawastu o trzy tygodnie marszu.

Na nic zdały się moje błagania, żeby ojciec wysłał tam także mnie, choćby dlatego, by nie rozdzielać mnie z tym, którego kocham jak brata. Śiuddhodana pozostał niewzruszony.

— Masz tu coś lepszego do roboty, mój synu! Zbliża się chwila, kiedy przekażę ci niektóre insygnia władzy. One pozwolą ci zastąpić mnie w ważnych działaniach mających na celu utrzymanie porządku, które od jakiegoś czasu są dla mnie zbyt absorbujące.

Ważne działania mające na celu utrzymanie porządku to te, które wymagają wysłania dziesięcioosobowego oddziału żołnierzy. Taka potrzeba zachodzi coraz częściej, bo coraz częstsze są gwałtowne zamieszki zagrażające łajdakom i bogaczom.

Ten sam odwieczny dialog głuchych na powrót zagościł w naszych rozmowach. Ale już po raz ostatni ojciec przypomniał mi, czemu zawdzięczam leżenie na tej sofie i podziwianie tańczących wokół mnie dziewcząt.

- Dlaczego jesteś taki ponury, mój synu?
- Ojcze, chciałbym dołączyć do Anandy na północy, na granicy Krainy Śniegów!
- Siddhartho, wkrótce skończysz piętnaście lat. Twoja edukacja dobiegła końca. Jesteś przyszłym wojownikiem i potrafisz czytać oraz liczyć. Dla mężczyzny to wiek, w którym powinien znaleźć odpowiednią kobietę i ożenić się z nią!
- Ależ ja nie znam żadnej dziewczyny...
- Zostaw to mnie. Wrócimy do tego w dniu twoich piętnastych urodzin. Wtedy będziesz mógł wybrać spośród wielu księżniczek szlachetnego rodu.

Powstrzymałem się od komentarza i pozostawiłem inicjatywę ojcu, który nie dalej jak wczoraj rano powiedział:

— Zobaczysz, Siddhartho... Mam dla ciebie niespodziankę, która z całą pewnością cię nie rozczaruje...

Tego samego wieczoru, nieco zdziwiony słowami ojca, przed pójściem spać rozpiąłem tunikę i zauważyłem ze zdziwieniem i satysfakcją, że słaby puszek rosnący od kilku tygodni powyżej mojego członka staje się coraz gęstszy.

Staję się mężczyzną!

Tego ranka ojciec oznajmił mi:

- Siddhartho, wybrałem dla ciebie trzy najpiękniejsze księżniczki prowincji. Wybranki zatańczą dziś przed tobą. Wybierzesz tę, która spodoba ci się najbardziej.
- Ależ te dziewczęta nawet mnie nie znają!
- Jesteś piękny, a ród Gautama jest wystarczająco bogaty, by wszystkie szlachetne rody Kapilawastu i całego regionu marzyły tylko o jednym: żeby któraś z ich córek poślubiła mojego jedyne go spadkobiercę, przyszłego wielkiego żołnierza, który już teraz potrafi zmusić tygrysy do ucieczki!

Wielka duma, brzmiąca w słowach wypowiedzianych zdecydowanym tonem przez mojego niepoprawnego ojca oznaczała, że nie zniesie on sprzeciwu.

Święto zorganizowane przez niego z tej okazji zapowiada się dość przyjemnie.

Kiedy wchodząc do sali audiencyjnej, w której Śiuddhodana sądził przestępców, odkryłem te trzy piękności, tańczące teraz dla mnie, nie unikałem dreszczy wesołości, choć byłem bardzo speszony.

Wszystko to dla mnie, dla tego, który już zdecydował, że pewnego dnia opuści bliskich, by odnaleźć samego siebie.

Przed moją sofą, na długim stole udekorowanym girlandami z kwiatów hibiscusa, piętrzyły się góry smakołyków, miodowych cukierków z cytrynowką oraz pierników, które służący wciąż wnosili na olbrzymich miedzianych tacach.

W rogu sali ulokowała się niewielka orkiestra, grająca czarowną muzykę.

Miałem dużo czasu na przyjrzenie się trzem dziewczętom, wybranym na moje narzeczone.

Ich włosy natarte zostały oliwką z migdałów, a miedziany odcień ich skóry odbijał blask naszyjników z pereł na ich szyjach. Obrysowane czernią oczy wpatrywały się we mnie tak intensywnie, jakby każda z nich chciała wyrzucić na mnie jak największe wrażenie i zapewnić sobie moją łaskawość.

Pod bufiastymi spodniami z muślinu widać było ich brązowe smukłe nogi o kostkach ozdobionych ciężkimi bransoletami z brązu, do których przyczepione były srebrne dzwoneczki. Obcisłe gorsety odsłaniające pępek z trudem mieściły przyprawiające o drżenie piersi, przypominające dojrzałe owoce mango.

Jaka szkoda, że nie ma tu Anandy!

Mój członek zaczyna nabrzmiwać.

Taniec, z początku powolny i leniwy, staje się coraz bardziej rytmiczny i prowokujący, odmierzany dźwiękiem srebrnych dzwoneczków, wprawianych w ruch przez kostki dziewczęcych stóp.

Dym kadzideł unosi się kłębamii z wielkich pojemników z brązu wachlowanych przez służących.

- Spośród trzech wybierzesz najpierw dwie, które wydadzą ci się najpiękniejsze. Potem wybierzesz jedną, tę, która zostanie twoją żoną — wyszeptał mi ojciec do ucha.
- Wybór jest bardzo trudny, ojcie. Wszystkie wydają mi się takie piękne...
- W takim razie nie pozostaje ci nic innego, jak losować! — odparł Śiuddhadana i wybuchnął śmiechem.

Im dłużej patrzę, tym bardziej podobają mi się dwie tancerki. Trzecia ma wdzięki zbyt obfite, a spojrzenie nie tak otwarte.

Po pierwszym tańcu bez namysłu wybieram te dwie dziewczyny.

Pierwsza nazywa się Jaśiodara, a druga Gopa.

Obie są piękne; można by rzec dwie bliźniaczki.

Różnią się tylko kolorem oczu.

Oczy Jaśiodary są niezwykle niebieskie, mieniające się fioletem niby skrzydła motyla, podczas gdy oczy Gopy są czarne jak atrament.

Kiedy znowu zaczynają tańczyć, moje oczy podążają od jednej do drugiej, starając się dokonać wyboru, ale bez skutku.

Jednak w miarę jak się im przyglądam, odnoszę wrażenie, że nie zachowują się w taki sam sposób.

Podczas gdy Gopa kręci biodrami, trzęsie pupą i co chwila puszcza do mnie oko, Jaśiodara tańczy z wdziękiem i wcale na mnie nie patrzy.

Jedna mnie pragnie i chce dać temu wyraz, druga czeka, żebym to ja jej zapragnął i jej to okazał.

Gopa pragnie, Jaśiodara czeka.

Nie mam trudności z wyborem. Wybiorę tę, która cierpliwie czeka, nie chcę tej, która tak wyraźnie okazuje, czego pragnie.

Kiedy taniec się kończy, dokonuję wyboru. Wstaję, podchodzę do Jaśiodary i biorę ją za rękę.

Ciepła i wilgotna skóra dziewczyny pachnie kwiatem poma-
rańczy i upaja moje zmysły.

— Teraz musisz przekonać ojca Jaśiodary, żeby zechciał oddać ci swą córkę za żonę — wyjaśnia ojciec po zakończonym konkursie piękności.

— Co mam zrobić?

— Wystarczy, że zwyciężysz w zawodach w strzelaniu z łuku, które organizuje w celu wyłonienia pretendenta do ręki córki.

Czuję przygnębienie. Już myślałem, że osiągnąłem cel, a tymczasem muszę stanąć do zawodów, w których wszystkie chwytaki będą z całą pewnością dozwolone!

Wpadłem w pułapkę, ale jest już za późno, by się wycofać. Jaśiodara tak bardzo mi się podoba, że jeśli jej ręka ma taką cenę, to mniejsza o to! Dołożę wszelkich starań.

Jakież jest moje zdziwienie, kiedy kilka dni później na placu miasteczka zarządzanego przez ojca Jaśiodary, wśród księżcych synów mających wziąć udział w zawodach, dostrzegam mojego dalekiego kuzyna Dewadattę gotowego do uczestnictwa w rywalizacji.

Nie widzieliśmy się parę ładnych lat.

Pewny siebie Dewadatta spogląda na mnie z wywyższością i wbija mi pierwszą szpilę:

— Nigdy nie umiałeś strzelać z łuku. Dziś zapewne także nie będzie inaczej!

Zaciskam zęby i nie odpowiadam, żałując jednocześnie, że ostatnio nie ćwiczyłem za wiele.

Mówię więc sobie: Jeśli naprawdę kochasz tę dziewczynę, uda ci się zwyciężyć. Zaufaj sobie, Siddhartho! Nawet jeśli nie jesteś w tej sztuce wojennej najlepszy, wola zwycięstwa przeważa nad twoją niezręcznością. Zresztą wtedy, gdy trzeba było trzykrotnie umieścić strzałę w samym środku tarczy, by uzyskać pozwolenie ojca na opuszczenie fortecy, to ci się udało!

— Przede wszystkim nie trać wiary w siebie, a wszystko pójdzie dobrze! — szepce ojciec, by dodać mi odwagi.

Stoimy teraz wszyscy w jednym szeregu przed tymi, którzy będą nas oceniali. Ustawiony dalej, na strzyżonym trawniku, rząd tarcz ze skóry bawolej wydaje mi się wyjątkowo mały.

Koncentruję się.

Potem, starając się zapanować nad oddechem, napinam łuk, zamykam jedno oko i staram się mierzyć w cel najlepiej jak potrafię, jak mój mistrz, który uczył mnie od najmłodszych lat, i którego każdą wskazówkę przypominam sobie w tej chwili. Jednocześnie wydaję gardłowy okrzyk, mający wyzwolić wewnętrzną energię, i puszczam cięciwę.

Strzała ze świstem przeszywa rozpalone powietrze, leci idealnie prosto i trafia w sam środek bębna, który miała przebić.

Pozostali łucznicy nie trafili oprócz Dewadatty, który, jak wiadomo, całe dnie spędza na strzelaniu z łuku.

W celu ostatecznego rozstrzygnięcia ma zostać zorganizowana druga tura zawodów. Tym razem tarcze zostaną ustawione kilka kroków dalej.

Proszę, żeby przyniesiono mi szklanę wody. Biegnie po nią ojciec. Po raz pierwszy widzę, że jest gotowy służyć swemu synowi, jak uczyniłby mistrz fechtunku dla swojego faworyta.

Nie przywołam boga dokładności, mimo iż przez moment taka myśl przyszła mi do głowy.

Jestem sobą i takim pozostanę.

Nie jest tak z całą pewnością w przypadku Dewadatty, który mamrocze podpowiedziane mu właśnie przez ojca magiczne formułki, mające zamienić strzałę w ptaka. Ja natomiast oddaję się medytacji. Wywołuję pustkę w mojej głowie. To ja jestem celem, staję się strzałą, mierzę w tarczę obciążoną bawołą skórą, nakładam jedno na drugie, krótko mówiąc, staram się przywołać wszystkie sposoby, które sprawią, iż nie chybię.

Wszystko po to, wyznając szczerze, by piękna i słodka Jaśiodara w żadnym wypadku nie trafiła w ramiona Dewadatty.

Głęboko wciągam powietrze.

Jednocześnie siłę mojego umysłu z siłą ramion, chodzi mi o to, by połączyć obie te energie i umieścić je w tym cienkim drewnianym patyczku, którego zaostrzony żelazny koniec potrafi przebić na wylot szyję jelenia.

Celuję, wstrzymując oddech.

Ja jestem strzałą, a Jaśiodara celem; są siebie godne.

Spokojnie puszczam cięciwę i zamykam oczy. Nie mam już władzy nad strzałą. Oddałem jej swoją energię i ufam jej. Poleci jak orzeł, pewny, że doścignie ofiarę dzięki ostrości swojego wzroku, którym potrafi z wysoka wypatrzeć polną mysz. Kiedy moja strzała wbije się w sam środek koła narysowanego na napiętej skórze tarczy, będę wiedział, że zdobyłem serce dziewczyny.

Stojący obok mnie Dewadatta właśnie chybił i z wściekłości łamie swój łuk na trzy części.

Sprawiedliwość jednak istnieje. Niektórzy nazywają to szczęściem. Lecz kiedy wierzy się w siłę woli, nie wierzy się w szczęście...

Szala przechyliła się po prostu we właściwą stronę, i tym lepiej dla mnie.

— Moja córka należy do ciebie, o Siddhartho! — woła do mnie ojciec Jaśiodary, po czym bierze jej rękę i zbliża do mojej.

Zgromadzeni ludzie klaszczą ze wszystkich sił, a lenni książęta, których synowie wrócą do domu, niczego nie wskórawszy, robią dobrą minę do złej gry. Chwała zwycięzcy i biada zwyciężonym... Z pierwszego rzędu widzów patrzy na mnie ojciec promieniejący radością.

Jest dumny ze swojego syna.

Miłość do kobiety sprawiła, że buntownik powrócił do szeregu.

Mam zaledwie piętnaście lat i trzy dni, a już kocham kobietę.

Ścieżka mojego życia wydaje się być wytyczona.

Jednak buntownik nigdy nie umiera...

10

Jaśiodara

Lot jaskółki wydaje mi się jakiś urywany i mechaniczny.

Wrzucam ostatni kwiat lotosu do trójkątnej czarki ustawionej obok zwłok mojej ukochanej Jaśiodary spoczywającej na nieskazitelnym całunie.

Jej śmierć uświadamia mi, że wciąż drzemiący we mnie buntownik znajduje się na właściwej drodze.

Te lata, w czasie których starałem się jak mogłem powrócić do szeregu, wywołują w moich ustach i na języku gorzki smak.

A jednak były to lata spokojne, lata szczęśliwe i beztrudne, lecz także lata zapomnienia i zamknięcia się w sobie. Lata, których właściwie nie przeżyłem!

Patrząc teraz na twarz mojej martwej żony i jej zamknięte oczy, przywołuję z pamięci naszą noc poślubną.

Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj, mimo że wydarzyło się cztery lata temu.

Po zawodach w strzelaniu z łuku pobraliśmy się na samym początku miesiąca księżycowego.

Jak należało się spodziewać, mój ojciec zażyczył sobie, by ślub był niezwykle uroczysty. Dla niego była to również okazja do uczczenia powrotu syna na pełne konwenansów rodzinne

łono, syna, który o mało mu się nie wymknął. To było święto ulgi i pojednania, ceremonia, którą pragnął zadedykować bogowi Indrze, w przekonaniu, że to on sprowadził mnie na właściwą drogę.

Przez trzy dni i trzy noce w fortecy Kapilawastu jedliśmy i piliśmy na chwałę tego boga; tańczyliśmy i śpiewaliśmy; śmiało się — oni na całe gardło — a ja bez większego przekonania, ponieważ byłem świadom nieskuteczności tego bezużytecznego hołdu składanego bogu, w którego nie wierzyłem. Również płakaliśmy — oni z radości, a ja ze smutku — aż do samego końca święta.

Kiedy po raz pierwszy wszedłem do łoża Jaśiodary, nie wiedziałem, jak wyglądają intymne zakątki kobiecego ciała, podobnie jak ona nie miała pojęcia o ciele mężczyzny.

W naturalny sposób nauczyliśmy się nawzajem wspólnie odkrywanych muzycznych gam, i kiedy mój członek, napięty jak cięciwa łuku, dostał się do wnętrza Jaśiodary, a moje usta łapczywie całowały jej wargi, odniosłem wrażenie, że jestem strzałą wbijającą się w cel w pamiętnym dniu wygranych przeze mnie zawodów w strzelaniu z łuku...

W całkowitym oddaniu moja żona zagryzła wargi i wydała długie westchnienie.

Mój lingam i jej joni zawarły właśnie znajomość, co utrwaliło nas w przekonaniu, że byliśmy sobie przeznaczeni, że potrafimy odtworzyć cudowny związek ziemi i nieba, na podobieństwo boga Sziwy i bogini Parwati, kiedy wzruszeni do łez odkryli, jak teraz Jaśiodara i ja, na czym polega różnica między ciałem kobiety i ciałem mężczyzny.

Maleńka jaszczurka, przyklepiona do sufitu naszej komnaty, zamarała bez ruchu i przygląda nam się.

Zrozumiałem, czym jest miłość fizyczna pomiędzy mężczyzną i kobietą, ta nieunikniona mieszanina szorstkości i delikatności, która powstaje w tajemnym tyglu i wymyka się jakimkolwiek opisom i kontroli. To cudowne schronienie, którego klucz doskonale pasuje do zamka, w chwili gdy

uwolnieni z pęt uprzedzeń i przesądów dajemy z siebie wszystko, bez żadnych zahamowań.

Dziesięć miesięcy później Jaśiodara wydała na świat nasze dziecko.

Rahula był owocem naszej miłości; jego przyjście na świat zamiast oddalić nas od siebie, jak to się czasami zdarza w przypadkach, gdy kochanka zostaje po raz pierwszy matką, jeszcze bardziej nas ze sobą związało.

Od tej pory stałem się innym człowiekiem. Byłem przecież ojcem.

Jaśiodara nie pozwoliła żadnej mamce karmić naszego syna, więc przez całe miesiące spaliśmy we troje w jednym łożu.

Nikt nie miał dostępu do utworzonego w ten sposób świętego trójkąta.

Żyliśmy w nim złączeni ze sobą nierozzerwalnie.

Kiedy Rahula nauczył się chodzić, jego oczy były naszymi oczami. Podobnie jak on odkrywaliśmy urodę drzew i śpiew ptaków; kiedy krzyczał z radości, po tym jak po raz pierwszy zamoczył palec w ogrodowej fontannie, zdawało mi się, że to ja krzyczę.

Patrzając, jak rośnie nasz syn, zabijamy w sobie poczucie, że czas płynie...

Przekonany, że skupianie uwagi na naszym synu jest najlepszym sposobem na utrzymanie mnie w miejscu, które uważał za jedyne właściwe, ojciec unikał proszenia mnie o najmniejsze nawet przysługi. Z uwagi na mój wiek powinienem był już zacząć zastępować go w pełnieniu niektórych obowiązków, ponieważ byłaby to doskonała okazja, by udowodnić innym, że jestem tego godny. Śiuddohana wołał czekać, zakładając, że nadejdzie dzień, w którym i tak będę musiał go zastąpić.

Miesiące i lata mijały jak koraliki modlitewnego różańca, przesuwane niewidzialną ręką czasu.

Szczęśliwe czasy sajednak tak pomyślane, że nie zauważamy, kiedy mijają, i dopiero wielkie nieszczęście powoduje, że zdajemy sobie sprawę, iż istniały.

Pewnego ranka Jaśiodara zachwiała się, wstając z łóżka.

Nie zwróciłem na to uwagi.

Poprzedniej nocy połączyliśmy się jak zwykle i nie zauważyłem niczego szczególnego w jej zachowaniu.

Nazajutrz po raz pierwszy od swojego przyjścia na świat Rahula zaczął płakać, co nie wróżyło niczego dobrego.

— Chcę do mamy! Chcę do mamy!

— Dziś mama leży w łóżku. Jutro wszystko będzie dobrze, synku.

Było to pobożne kłamstwo, ponieważ Jaśiodara bardzo cierpiała. Prosiła tylko, żebym o niczym nie mówił Rahuli.

— Ja chcę do mamy... — nie przestawał jęczeć nasz syn.

— Poczekaj troszkę... Mama czuje się dobrze, jest tylko zmęczona.

Kłamstwo za kłamstwem... W taki sposób, działając w dobrej wierze, brniemy coraz dalej, aż wszystko zmienia się w maskaradę.

Lekarze przemykali się chyłkiem, zmieniając się u wezglowia mojej żony, której energia malała, w miarę jak ogień bólu przejmował panowanie nad całym jej ciałem, od stóp do głowy, lecz żaden z nich nie potrafił ulżyć jej cierpieniom. Tylko moja obecność przynosiła jej ulgę. Kiedy wślizgiwałem się do łóżka, przytulała się do mnie, jak pisklę przytula się do swojej żywicielki, i stojąc na progu śmierci, mówiła:

— Czuję się lepiej.

Ja jednak wiedziałem, że okłamuje mnie, żeby dodać mi otuchy.

Postanowiłem umieścić Rahulę z dala od zamku i uniknąć w ten sposób jego kłopotliwych pytań, w odpowiedzi na które zmuszony byłbym kłamać. Wysłałem go na wieś, co pogłębiło rozpacz jego matki.

My, którzy przez cały czas żyliśmy w zgodzie z prawdą, teraz byliśmy zmuszeni uciekać się do kłamstw tylko po to, by przeżyć, żeby po prostu nie patrzeć sobie w twarz i nie przyznać, że wszystko zmierza ku najgorszemu.

Żona skonała w moich ramionach, nieprzytomna i rozpalona, z zamglonym wzrokiem i otwartymi ustami, jak ryba wyjęta z wody. Jej ciało zeszytywniało z bólu.

Już poprzedniego wieczoru miała tak wysoką gorączkę, że kiedy brałem ją w ramiona, jej ciało mnie parzyło.

Mimo iż trzeba pogodzić się ze śmiercią, strata ukochanej osoby pogrąża nas nieuchronnie w otchłań buntu i niezrozumienia.

Sprowadziłem więc syna i oznajmiłem mu okrutną nowinę:

— Twoja kochana mama wyjechała w długą podróż.

— A kiedy wróci, tato?

Biedaczek nie wie, że jego mama nie żyje i że spoczywa w komnacie obok. Skąd miałby to wiedzieć, skoro jego ojciec zrobił wszystko, żeby to przed nim ukryć?

Na razie nie mam siły powiedzieć mu, że już nigdy nie zobaczy swojej matki.

Teraz mój ojciec Śiuddhodana przybrał wyraz twarzy, który przybiera, gdy nastają złe dni, ponieważ obawia się, że śmierć mojej żony sprawi, iż zerwę z wartościami, które dotąd zatrzymywały mnie tu jak psa uwiązanego przy budzie.

Smutek nie pozwala mi dalej mówić.

Pragnąłbym pocieszyć tych, którzy płaczą i wrywają sobie włosy z głowy, ale nie potrafię tego dokonać.

Ból zbytnio osłabia ludzi i uniemożliwia im walkę z nim. Pogrąża ich w wartkim potoku, z którego wydostanie się wymaga ogromnego wysiłku. Trawi ich od wewnątrz jak termit drążący drzewo, które rozpada się w pył za najlżejszym dotknięciem palca, mimo iż wydawało się zdrowe i mocne.

Należy strzec się pozorów.

Radosne zachowania mogą skrywać wielką rozpacz.

Jutro, zgodnie z tradycją naszego klanu, spalimy ciało Jaśiodary. Ganges jest zbyt daleko stąd, byśmy mogli zawieźć tam jej stos żałobny. W najlepszym razie zabrałoby to nam około dziesięciu dni, pod warunkiem że mielibyśmy do dyspozycji parę silnych wołów i wóz z solidnymi kołami, a i tak

z powodu straszliwego upału ciało mojej żony nie zniosłoby długiej podróży.

Wielka szkoda.

Nie miałbym nic przeciwko temu, by ciało mojej drogiej i słodkiej Jaśiodary zostało pochłonięte przez tę ogromną królową rzek.

Byłbym obecny przy trawie, na której złożylibyśmy jej ciało na łożu z suchych gałęzi, które wkrótce zapłonęłyby jak pochodnia. Prąd rzeki najpierw porwałby płonący stos, potem pochłonęłyby go odmęty. Przy odrobinie szczęścia delfiny przybyłyby oddać jej ostatni hołd, a to, co zostałoby z ciała mojej żony, zjadłyby gawiale.

Wówczas najdrobniejsze cząsteczki naszej miłości stałyby się posiłkiem dla wodnej fauny, by niedługo potem powrócić do ludzkich żołądków i je nasycić.

Byłbym wtedy o wiele spokojniejszy niż teraz, gdy widzę tę małą kupkę popiołu — wszystko, co zostało z Jaśiodary — leżącą na ziemi i wciąż się tłącą.

Od ognia, który rzekomo wszystko oczyszcza, zawsze wolałem wodę.

11

Powrót Anandy

Prawą dłoń opieram na kamiennej balustradzie.

Jak każdego wieczoru o tej porze, chodzę po kolistym tarasie, skąd lubię obserwować, jak promienie zachodzącego słońca pieszczą grzbiety gór rysujących się na horyzoncie.

Na widok sylwetki, którą rozpoznałbym wszędzie, wydaję głośny okrzyk radości.

W oddali, na drodze, widzę mojego kuzyna Anandę wracającego do domu!

Nareszcie powraca szczęście.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy mam ochotę się śmiać i doznaję niewysłowionego uczucia radości, którego smaku zapomniałem od chwili śmierci żony. Wołam Rahulę bawiącego się z innymi dziećmi przy ogrodowym basenie stateczkami z drewna tekowego.

— Rahulo, czy potrafisz zgadnąć, kto do nas idzie?

— Kto to taki, ojczu?

— To twój wuj Ananda! Wraca z Krainy Śniegów. Dostrzegłem go na drodze. Mam nadzieję, że dotrze tu przed nocą.

Kiedy Ananda się pojawia, stwierdzam, że się nie zmienił, tylko jego twarz nieco wychudła. Padamy sobie w ramiona,

placząc z radości i ściskając się serdecznie. Mam pewność, że jego niespodziewany powrót dobrze mi zrobi.

— Anando! Mój drogi Anando! I pomyśleć, że nie sądziłem, że jeszcze kiedyś cię zobaczę... Opowiadaj o Krainie Śniegów! Nie masz pojęcia, jak spieszno mi dowiedzieć się o niej czegoś bliższego.

— W zimie jest tam bardzo zimno, zupełnie inaczej niż tutaj... Potrzebowałem wielu miesięcy, żeby zejść z gór Północy, których najwyższe szczyty sięgają, jak mówią, Dachy Świata.

— Co tam robiłeś? Czy szybko płynął ci czas tam wysoko? Nie masz pojęcia, jak się martwiłem. Bez ciebie dni były jak wieki...

— Ze mną nie było inaczej. Siłą wcielony do armii młodych ludzi, którym kazano wierzyć w rychłą wojnę, spędziłem całe miesiące w obozie, czekając na wrogów, których twarzy nigdy nie ujrzeliśmy!

— Jakże mi ciebie żal! Opowiedz mi, jak tam jest!

— Wyobraź sobie, że przemierzyłem krainy, gdzie pod każdą skałą rosną goryczki, a w gęstych lasach żyje jednorogie zwierzę zwane nosorożcem.

Obejmuję go. Jego włosy pachną cynamonem.

— Musiałeś widzieć tyle pięknych krajobrazów... Gdybyś tylko wiedział, jak ci zazdrozczę, mój Anando!

— Dla mnie ten okres był jak nawias, w którym zatrzymał się czas. Ty, jak widzę, jesteś żonaty... Czy masz dzieci? — pyta mnie mój kuzyn, patrząc na srebrną obrączkę zdobiącą mój prawy kciuk.

— Mam syna.

— Jak ma na imię?

— Rahula!

Słyszac swoje imię, dziecko biegnie w naszym kierunku, trzymając w ręczce bambusowy kijek.

— Ależ on jest piękny! Jak bóg! A jaki do ciebie podobny! To twój portret, taki byłeś w jego wieku — stwierdza Ananda,

kiedy mój synek podchodzi do nas i go pozdrawia. — Pilno mi poznać twoją żonę!

Przyparty do muru jego słowami, potrafię tylko głucho milczeć.

— No to jak będzie? Czy przedstawiś mi swoją żonę, Siddhartho? — pyta mój kuzyn, patrząc na mnie wymownie.

— Moja ukochana Jaśiodara zmarła na febrę, kiedy Rahula miał zaledwie dwa lata. Rozmawiasz z wdowcem, Anando. A jeśli chodzi o to dziecko, prawie nie poznało swojej matki! — dodaje, wskazując syna.

— Strasznie mi przykro, Siddhartho! Ależ byłem grubiański i nietaktowny... Musiałeś bardzo cierpieć — szepce Ananda, rzucając się do moich stóp i całując mnie po rękach.

Podnoszę go. Z trudem powstrzymuję łzy. Wyznam Anandzie to, czego dotąd nie powiedziałem nikomu:

— Mój ból był ogromny. Czuję się tak, jakbym stracił połowę siebie. Jestem teraz cieniem tego, kim byłem.

— Takie słowa są do ciebie niepodobne!

— Przecież ci mówię, że się zmieniłem...

— Nie można zmienić się aż tak. Charakter człowieka pozostaje taki sam od narodzin do śmierci.

— To cierpienie i ból zmieniają charakter.

— Ale tylko pozornie. Urodziłeś się jako buntownik, Siddhartho, i zawsze nim będziesz!

— Wyobraź sobie, że teraz interesuje mnie tylko Rahula. Sam czuвам nad jego edukacją, jeszcze pilniej, niż robił to mój ojciec.

— Nie poznaję mojego kuzyna, który chciał przemierzyć świat...

Patrzę na Anandę. Jego słowa dobrze mi robią. Tylko on może przestrzec mnie przed niebezpieczeństwem zamknięcia się w sobie, które czyha na mnie i mogłoby sprawić, że stałbym się przeciwieństwem wszystkiego, o czym zawsze marzyłem: istotą niemającą żadnych planów, żyjącą z dnia na dzień.

— Nie obawiaj się! Staram się tylko uczynić z Rahuli

człowieka wolnego i szczęśliwego. To wcale nie jest proste. A ty, Anando, nie masz zamiaru się ożenić?

— Czy ja wiem? Przecież nie znam żadnej dziewczyny, która chciałaby mnie poślubić! Tam, w górach, można spędzić całe miesiące i nigdy nie napotkać spojrzenia jakiegokolwiek kobiety... — wzdycha kuzyn.

Idziemy teraz wzdłuż muru okalającego wewnętrzny ogród fortecy. Każdego wieczoru, przy małej marmurowej fontannie, ojciec każe ustawiać stół z owocami, ciastami i *ladoo**. W kącie ogrodu, pod olbrzymim krzewem pnącej róży, orkiestra przygrywa lekko odzianym tancerkom, które — kiedy tylko znajdziemy się w zasięgu ich wzroku — rzucają znaczące spojrzenia w stronę Anandy.

— Widzę, że tutaj świętuje się codziennie — szepce Ananda, olśniony.

— Śiuddohana robi wszystko, żeby mnie rozerwać. Chciałby, żebym powtórnie się ożenił, ale ja wcale nie mam na to ochoty!

— Są piękne — dodaje Ananda, wskazując dziewczęta.

Bierze do ust cukierka i żuje go powoli.

— Wystarczy, że wykonasz jeden gest... Są do twojej dyspozycji.

— Dlaczego nie? Poczekam do jutra. Dzisiejszy wieczór chcę spędzić w twoim towarzystwie. Porozmawiać o przeszłości, teraźniejszości, a zwłaszcza o przyszłości.

Podaję mu szklankę soku z owoców mango i guajawy i zadaję pytanie, które aż pali mi wargi:

— A gdybym postanowił opuścić zamek i pójść w świat, poszedłbyś ze mną?

— Z ulgą stwierdzam, że nie zmieniłeś zdania od czasu naszego spotkania z ascetą „odzianym w powietrze"! Spodziewałem się tego zresztą. Przyznaj jednak, że dobrze ukrywałeś swoje zamiary.

* *Ladoo* — okrągłe cukierki z mączki z ciecioriki i kaszki.

Gdyby tylko wiedział!

- Tutaj spalam się na wolnym ogniu. Niedługo będę jedynie kupką popiołu, taką samą, jaka została po kremacji Jaśiodary. Muszę się stąd ruszyć, Anando! Na szczęście nakłaniasz mnie do tego. Musimy szybko się zdecydować. Życie jest takie krótkie!
- A co z małym Rahulą? Co z nim zrobisz?
- W stanie, w jakim jestem, wkrótce nie będę mógł przekazać mu niczego wartościowego. Jeśli nadal będę w tym trwał, a on tymczasem dorośnie i zacznie logicznie myśleć, zobaczy we mnie leniwego ojca, który stracił chęć do życia, ponieważ ono straciło dla niego sens.
- Czyżbyś malował swoje życie tylko czarnymi barwami?
- Przedstawiam ci rzeczy takimi, jakimi je widzę. Przed tobą moje serce jest przejrzyste jak woda w fontannie. Usycha, bo zmuszone jest żyć zamknięte w czterech ścianach, z dala od świata i chronione przed nim. Powoli tracę nadzieję, popadam w rutynę. Wszystko wydaje mi się mdłe. Żywy trup, oto, kim się staję, Anando... Żywym trupem! A jeśli chodzi o słowa śramana na temat sposobu odnalezienia się przez zapanowanie nad sobą samym, wydaje mi się, że słyszę je każdej nocy, kiedy przewracam się w łóżu, bezskutecznie próbując znaleźć spokój w pokrępiającym śnie, lecz nie mam siły ich słuchać.
- A gdybyś miał odejść, dokąd byś poszedł, Siddhartho?
- Wyruszyłbym na poszukiwanie Prawdy, szukałbym samego siebie, a w konsekwencji tego, co najistotniejsze. Następnie, kiedy już bym siebie odnalazł, mógłbym pomagać innym i wskazywać im, jak mają tego dokonać. To, co widziałem na świecie, świadczy o tym, że trzeba koniecznie ukoić to nieustające cierpienie, jakim przepojona jest ich egzystencja. Strata żony jest tylko dodatkowym tego dowodem.
- To bardzo szlachetne zamierzenie, zasługujące, by je podzielać. Dlaczego jednak nie urzeczywistniłeś go do tej pory?
- Nie miałem sił. Śmierć żony mi je odebrała. Poza tym nie potrafiłem wyrwać się stąd sam. Ale teraz ty jesteś ze mną

i to wszystko zmienia... Wielkie mosty przerzucone nad rzekami potrzebują przynajmniej dwóch podpór. Dzięki tobie, Anando, znów jestem gotowy.

Mój ukochany kuzyn patrzy na góry oświetlone słońcem, odwraca się w moją stronę i uśmiecha się.

— Ledwie zdążyłem przybyć do Kapilawastu, a ty już prosisz mnie, żebym stąd wyjechał.

Odciągam go w kierunku źródła, przy którym tak niedawno rozdziły się nasze plany. Rahula, ucieleśnienie przyszłości, idzie za nami. Kiedy docieramy do tej żywej wody, tryskającej i cudownie chłodnej, jak niegdyś siadamy na skale, na której strzępki porostów mieniają się żółcią i szarością.

Dziecko napełnia wodą czarękę z brązu i ochlapuje się nią.

W rączkach trzyma teraz jeden z tych doskonale gładkich kamyków, przyczajonych w głębi źródelka, z którego sączy się strużka przejrzystej wody, wypływająca bezszelestnie z głębi ziemi.

Daję mu znak, żeby mi go przyniósł.

- Spójrz na tego otoczaka, Anando, i zobacz, jaki jest gładki i zarazem twardy! Oto, czym staje się ludzkie serce, kiedy żyje z dala od świata i innych ludzi, w lenistwie i obojętności wobec tych, którzy cierpią: małą nędzną rzeczą, niedostępną dla innych i zasklepioną we własnym cierpieniu!
- A jednak ten kamyk, bezustannie obmywany świeżą źródlaną wodą, wydaje się być bardzo kształtny w porównaniu z innymi, po których stąpamy i które bezlitośnie prażą rozpalone promienie słońca.
- Brak mu najważniejszego, Anando!
- A co według ciebie jest najważniejsze, Siddhartho?
- Odnalezienie Szlachetnej Prawdy, choćby była okrutna, po to, by powiedzieć ludziom, jak wyjść z trudnej sytuacji.
- A więc nadal zamierzasz ratować ludzi, Siddhartho?
- Nawet jeśli wydają ci się zarozumiały, wciąż myślę, że istnieje Szlachetna Ścieżka prowadząca do wyjścia z impasu, w którym tkwią ludzkie istoty.

- Nie pozostaje mi nic innego, jak ci wierzyć. Ale czy jesteś pewny, że ją odnajdziesz?
- Jeśli nie spróbuję, kto inny tego dokona?
- Kiedy zamierzasz wyruszyć?
- Teraz, kiedy tu jesteś, mogę to zrobić choćby jutro, jeśli to możliwe. Co o tym sądzisz?
- Ojcze, o czym rozmawiałeś z Anandą? — pyta Rahula, odbierając błyszczący wypolerowany kamyk.
- Rozmawialiśmy o przyszłości.
- A co to jest przyszłość, ojcze? — ponownie pyta chłopczyk i wybucha śmiechem.

Odpowiadam mu tak:

- To jest to, czym ty jesteś, mój kochany!
Dziecko zaczyna się śmiać i śpiewać na całe gardło.
To zupełnie normalne.

Odkąd bowiem Rahula jest świadom swojego istnienia, po raz pierwszy widzi ojca szczęśliwego.

12

Odchodzę

To już postanowione, odchodzę, a raczej odchodzimy obaj, Ananda i ja.

Zamykam małą podróżną torbę z jutowego płótna, do której włożyłem jedynie prostą miedzianą miseczkę.

Jest jeszcze ciemna noc, ale tylko patrzeć, jak świt rozbłyśnie ponad leżącymi na wschodzie wzgórzami, na niebie, które od barwy żółtej stopniowo przejdzie w błękit.

Już wkrótce zapieją koguty i rozszczekają się bezdomne psy, rozlegnie się też coraz bardziej ogłuszający świergot ptaków, siedzących na gałęziach mangowców i sali.

Wieśniacy wyjdą wówczas ze swoich chat i ruszą, jedni drogami wiodącymi na pola, inni w stronę targowiska, żeby w trudzie zdobywać środki niezbędne do przeżycia.

Ten właśnie moment wybraliśmy, by opuścić fortecę Kapilawastu.

— Zanim wyruszę w tę wielką podróż, przytulę do serca mojego małego Rahulę, starając się go nie obudzić — mówię do Anandy.

— Ojcze, dlaczego jesteś już na nogach?

Ku mojemu zdziwieniu, dziecko podskoczyło niczym sprężyna, ledwo usłyszało, jak zbliżam się do jego łóżka.

Moje serce zamarło: czy mam skłamać, że wyruszam na polowanie, czy powiedzieć prawdę, że opuszczam wszystko, świadomy, że będzie rozpaczal?

Nie zastanawiam się długo. Mój syn ma prawo znać prawdę.

- Odchodzę, mój mały Rahulo! Wyruszam na poszukiwanie Prawdy. Kiedy ją odnajdę, wrócę do ciebie. Obiecuję!
- Chcę iść z tobą, ojcze! — woła chłopiec, tupiąc i płacząc.
- Jesteś za młody, mój kochany. Taki mały chłopczyk jak ty musi jeszcze trochę poczekać, zanim zostanie śramanem odzianym w powietrze...
- Ależ ojcze, chcę iść z tobą! Jestem już duży! Chcę iść z moim tatą! — wrzeszczy mój zrozpaczony syn.
- Obiecuję ci, że wrócę po ciebie i wtedy nie pożałujesz tego, co dzisiaj robię. Kiedy dorośniesz, będziesz mógł nawet towarzyszyć mi w moich wędrówkach po drogach.

Z przygnębienia i poczucia winy zaczynam tak mocno ścisnąć synka, aż omal go nie duszę.

- Ojcze, powiedz mi przynajmniej, dokąd idziesz!
- W świat, na spotkanie wszystkich cierpiących istot. Idę szukać Prawdy, której istnienie przeczuwam i którą objawię ludziom, gdy nadejdzie czas. Po tym życie każdego stanie się łatwiejsze, ponieważ odzyska wreszcie sens.

Z wielkim trudem wypowiadam te słowa przed własnym synem, którego smutne oczy świadczą o tym, że nic z tego nie rozumie.

Wyciąga do mnie małą rączkę, którą tak często trzymałem w swojej dłoni podczas naszych wspólnych spacerów. Jeśli ją chwycę, to będzie mój koniec, bo jestem pewny, że zostaną tu i już nigdy nie odejdę.

To musi się stać teraz albo nigdy, i dobrze o tym wiem.

Zrozum mnie, mój mały Rahulo!

Robię to także dla ciebie, ale nie mam odwagi ci tego powiedzieć, bo nie rozumiałbyś. Naprawdę jesteś jeszcze za mały. Jak wytłumaczyć ci, że doszedłem do przekonania, iż życie ludzkie jest tylko cierpieniem dla tych, którzy nie chcą ze

wszystkiego zrezygnować, i że tylko oderwanie się od dotychczasowego życia — co właśnie chcę zrobić i co sprawia ci tyle bólu — może to cierpienie ukoić?... Jakich słów użyć, żeby ci powiedzieć, że gdybym tu został, moje serce skurczyłoby się jak usychający krzew, a ty nie zostałbyś uratowany?

Zbawić świat!

Czy mogę utrzymywać, że chcę być właśnie kimś takim, nie myśląc o żadnej chwale i nie mając poczucia, że dokonuję nadzwyczajnego wyczynu, i nie marzę, że pewnego dnia przed moim wizerunkiem będą kłaniały się w skupieniu setki milionów wiernych?

Kocham cię, Rahulo!

Uwierz mi, synku, odejść — to znaczy oderwać się od tego, co się kocha!

Mój mały Rahulo, opuścić swoje dziecko — to oderwać się podwójnie!

Daję znak Anandzie, żeby uciszył chłopca, a sam wychodzę z jego komnaty, nie odwracając się, i zaczynam biec korytarzem, żeby nie słyszeć szlochania owocu mojej miłości do Jaśiodary.

Czy słusznie postępuję, zamierzając posłuchać wezwania innych, podczas gdy teraz robię wszystko, by nie słyszeć wołania własnego syna?

Jednak decyzja została już podjęta i wymykamy się w czerń nocy, poza fortecę, w której spędziłem całe życie.

Pod koniec tej pory monsunowej gęsta jak skóra bawołu ciemność okrywa nas wilgotnym płaszczem. Leje jak z cebra, słychać pomrukiwanie burzy, błyskawice przecinają niebo.

Pusta i lśniąca droga tonie w ciemnościach. Wielki figowiec, obok którego spiesznie przechodzimy, zdaje się płakać gorącymi łzami. Ludzie pozamykali się w ruderach pokrytych ociekającymi wodą strzechami, spod których nie błyska najmniejsze światełko.

Niebo rozplywa się, a porywy wiatru smagają nas po twarzach tak mocno, że chwiejemy się jak walczący zapaśnicy. Stawiamy czoło siłom natury.

— Jak to dobrze, że wróciłeś! — mówię do Anandy, żeby dodać mu otuchy, a zwłaszcza podziękować. — Bez ciebie, bez twojej pomocy, nie miałbym dość siły, by oderwać się od rodziny.

— Pójdę za tobą wszędzie, dokąd się udasz, Siddhartho! — odpowiada, jak gdyby nigdy nic.

Po godzinie marszu w deszczu i wietrze nasze haftowane płaszcze i pasiaste turbany są nasiąknięte wodą.

— Pewnie myślisz, że oszalałem — mówię do Anandy.

— Ja nie zostawiłem dzieci. Dla ciebie, Siddhartho, jest to z pewnością o wiele trudniejsze niż dla mnie.

— To, czego się podjęliśmy, mój drogi Anando, przyniesie korzyść Rahuli. Pewnego dnia będzie uratowany! Jak wszystkie ludzkie istoty.

— Uratowany? Masz na myśli zbawienie? — pyta mój zdumiony kuzyn.

— Tak! I wydaje mi się nawet, że mówię ci o tym nie po raz pierwszy. Taka jest cena poszukiwania Prawdy.

— A dlaczego wyruszyliśmy w nocy?

— Tak jest lepiej. Rozdzierające pożegnania pogłębiają tylko smutek i tęsknotę. Kiedy opuszczamy swoich bliskich, lepiej zrobić to, stąpając na palcach, jak te błądzące cienie z opowieści braminów, które na cmentarzach wędrują od grobu do grobu, starając się pocieszyć zmarłych.

Tymczasem droga zmieniała się w rzekę błota, w której aż do świtu brodzimy po kolana.

W pierwszym miasteczku spotykamy grupę żebraków.

— Witajcie, bogacze! — krzyczy jeden z tych ludzi, których chudości nie mogą ukryć mokre łachmany przyklejone do skóry.

Zaskoczony pytam go, dlaczego uważa nas za bogatych.

— Macie na sobie ubrania i klejnoty bogaczy! Mówię, co widzę — odpowiada.

— Weź to! — mówię, zdejmując wszystkie ozdoby z włosów i piersi, w tym kolczyki i pierścienie.

Ich zdumienie nie ma granic.

— Żyj długo, panie! Niech Brahma i Indra opiekują się tobą przez cały czas! — krzyczą chórem ci ludzie, którzy nigdy nie widzieli z bliska tyle złota, srebra i szlachetnych kamieni, po czym oddalają się szybko w obawie, że mogą się rozmyślić.

— Zaczekajcie! Weźcie także moje klejnoty! — krzyczy Ananda i rzuca się za nimi.

— Dobrze zrobiłeś — mówię do mojego ukochanego kuzyna.
— Te klejnoty tylko nam przeszkadzały. Ci ludzie będą za nie mogli jeść do syta przez cały rok.

Kiedy nastał mglisty dzień i rozświetlił nieco pejzaż tak przesycony wilgocią, że nie sposób było dojrzeć zarysów wzgórz, kładziemy się na ziemi pod wielkim drzewem, z nadzieją, że uda nam się pospać parę godzin i dać wytchnienie naszym ciałom, zmęczonym tą pierwszą nocną wędrówką.

Okazuje się jednak, że w tym miejscu jest to zupełnie niemożliwe.

Przeszkadza nam hałas wydawany przez okute żelaznymi obręczami koła wózków, przejeżdżających obok nas po brukowanych ulicach, w miarę jak coraz więcej ludzi wychodzi z domów i udaje się do pracy.

Nigdy dotąd nie zauważyłem, jak bardzo ulice mogą być hałaśliwe, zwłaszcza dla takich jak my włóczęgów, nieprzyzwyczajonych do zgiełku i krzyku. W chwili gdy wreszcie zasypiamy, prawie najeżdża na nas wóz wypełniony po brzegi drewnem i nie pozostaje nam nic innego, jak uciekać przed razami bata i wyzwiskami woźnicy.

— Spójrz na tego wspaniałego sumana! — wykrzykuje Ananda, gdy nieco dalej przechodzimy przed straganem z różnymi gatunkami jaśminu o wielkich kwiatach, których zapach wypełnia powietrze.

Tuż za nim dostrzegam olbrzymie nożyce, służące z całą pewnością za sztyld fryzjera. Uprzedzam Anandę:

— Zaczekaj tu na mnie, nie zajmie mi to dużo czasu.

Wewnątrz balwierz właśnie kończy namaszczać czerwoną pomadą długie włosy klienta.

— Czym mogę ci służyć? — pyta mnie głosem, w którym wyczuwam, że nie bardzo wie, do jakiej kasty mnie zaliczyć, i jest z tego powodu zażenowany.

— Czy mógłbyś ogolić mi głowę?

— A do jakiej kasty należysz?

— Jestem kszatrija, ale to nie ma znaczenia!

— Po sposobie, w jaki nosisz głowę, rozpoznałem w tobie wojownika! — wykrztusił fryzjer służalczym tonem.

I bardzo zdziwiony dodał:

— Kszatrijowie nigdy nie golą głów. Noszą długie włosy, upięte w kok na czubku głowy.

— Rób to, o co proszę!

— Ludzie z twojego rodu nie będą zadowoleni, kiedy wrócisz do nich z ogoloną głową jak niewolnik! — rzuca w moją stronę mężczyzna z wąsami.

Na widok monety z brązu fryzjer zmienia zdanie i po obcięciu moich upiętych w kok włosów zaczyna przesuwając brzytwę po mojej potylicy, która staje się gładka jak kamień wypolerowany płynącą wódką.

— Bez koka wyglądasz znacznie młodziej! — woła na mój widok Ananda.

— Nie to było moim celem.

— Wyglądasz młodziej co najmniej o dziesięć lat — dodaje ze śmiechem, po czym sam wpada do budki balwierza, skąd po chwili także wychodzi z ogoloną głową.

— Przy tym upale i braku możliwości dokładnego mycia się lepiej mieć łysą głowę — stwierdza mój kuzyn, i w tej samej chwili znowu zaczyna padać.

Po całym dniu wyczerpującego marszu zauważamy jakąś

opuszczoną budowlę, której prawie całą fasadę zasłania ogromny krzew kasji.

Jest to zapewne albo jakaś hala targowa albo karawanseraj, wykorzystywany wyłącznie przy okazji świąt przesilenia, a w międzyczasie służący za schronienie nieszczęśnikom pozbawionym dachu nad głową. W środku śpią zebracy leżący jedni na drugich. Pod zdobytym gdzieś namiotem, ustawionym pośrodku podwórza, rozgościła się liczna rodzina. Jest ojciec, matka, jej matka i około dziesięciorga dzieci o wynędzniałych twarzyczkach. To nie post ani dobrowolne wyrzekanie się pokarmu są powodem ich chudości, ale głód osaczający ich każdego dnia, od kiedy przyszli na świat...

Wyczerpani długim marszem w strugach deszczu, osuwamy się pod ścianę i starcza mi sił, by wyszeptać do Anandy:

— Jutro będziemy musieli zmienić ubrania. Teraz, kiedy mamy ogolone głowy i nie nosimy żadnych ozdób, nasze haftowane tuniki, bufiaste spodnie i pasy są doprawdy zbyteczne.

— Masz rację! Są nawet trochę śmieszne!

Ananda uśmiecha się, a mnie zalewa fala ciepła.

Mimo iż w nocy spaliśmy, nadal drzemiemy i spędzamy ponad połowę dnia w tym samym miejscu. Po południu jedna z dziewczynek o wychudzonej buzi z rodziny koczującej pod namiotem podchodzi do nas i podaje nam czarkę z wodą. Przygląda się uważnie mojemu pasowi haftowanemu złotymi i srebrnymi nićmi w herby naszego rodu. Odpinam go i podaję jej. Nie ma odwagi go przyjąć. Kiedy nalegam, łapie go szybko i biegnie na swoich cienkich jak patyczki nóżkach w stronę rodziców, by pokazać im tę niewiarygodną zdobycz.

— Upał jest teraz mniej dotkliwy, więc możemy ruszyć w dalszą drogę — proponuję Anandzie.

Kiedy przechodzimy przekraczamy próg starego krytego targowiska, unoszą głowę, słysząc coś w rodzaju ćwierkania.

Na jednej z gałęzi drzewa samica małpy iska właśnie swoje młode.

Ciężko jest znowu ruszać w drogę, kiedy nogi są zupełnie zeszywniałe.

— Kiedy zamierzasz wrócić do Kapilawastu, żeby zobaczyć się z Rahulą? Każde dziecko tęskni za ojcem, zwłaszcza kiedy nie ma matki — zaryzykował Ananda, gdy przystanęliśmy na chwilę, by ugasić pragnienie przy studni, której koło wprawiane jest w ruch przez wielbłąda popędzanego pokrzykiwaniem dozorczy.

— Nie wiem. Podobnie jak nie potrafię przewidzieć pory kwitnienia figowca udumbara.

— Jeszcze nigdy nie widziałem takiego kwiatu.

— Ten kwiat jest niezwykle rzadki, bo taki figowiec ma za każdym razem tylko jeden kwiat, zawsze złotego koloru i dziwnego kształtu. O, spójrz, dokładnie taki jak ten!

To niewiarygodne!

Właśnie w tym momencie, kilka kroków dalej, zauważam wznoszące się ku niebu gałęzie majestatycznego figowca udumbara, bardzo rzadkiego drzewa. Z jednej z nich zwiesza się olbrzymi złoty kwiat, podobny do misternie wykonanej latarni.

— Ależ jest piękny! — wzdycha mój kuzyn.

— Można by pomyśleć, że to drzewo zostało zasadzone w tym miejscu specjalnie dla ciebie, Anando!

— Mówisz poważnie, Siddhartho Gautamo?

— Czyżby taki pomysł nie przypadł ci do gustu?

Ananda nie odpowiada. W jego oczach widzę niedowierzanie.

O czym teraz myśli? Trudno powiedzieć. Może uważa mnie za oświeconego albo chwalipiętę?

Będę musiał powiedzieć mu nieco więcej o moim sposobie patrzenia i myślenia...

Posuwamy się teraz z trudem drogą zatarasowaną stadami baranów i kóz, wyganianych przez chłopów z obór, w których schroniły się przed burzą. Wszystkie te zwierzęta

utrudniają poruszanie się wózkom wypełnionym warzywami i owocami, ciągniętym przez osiołki o łagodnych oczach, których pochylone głowy zdają się z pokorą oddawać chwałę niebu.

Grupa bezdomnych przykucniętych na ziemi i grających w kości musi zmykać przed atakiem dużego żółtego psa, szczerzącego wielkie kły i gotowego rzucić się na ich brudne łydki.

Zdejmuję płaszcz i rzucam go w ich stronę.

— Odgońcie nim tego psa!

Ananda bez słowa szybko robi to samo.

Kiedy pies się oddala, piszcząc jak kot i strasznie śmierdząc, grupa żebraków zaczyna tańczyć z radości i życzy nam długich lat życia teraz, jutro i zawsze, również w naszym przyszłym wcieleniu.

Gdyby ci biedacy wiedzieli, co myślę na temat samsary!

Teraz mamy na sobie tylko bawełniane tuniki bez rękawów.

Pozbycie się ubrań dobrze działa na umysł, który nagle zaczyna pracować znacznie sprawniej.

— Jakże chciałbym być jednym z tych żebraków, żeby dostać od ciebie jakiś dar! — szepce Ananda.

— Przyrzekam ci, Anando, że w dniu, w którym poczuję się gotowy, ty będziesz pierwszym, któremu wyjawię Szlachetną Prawdę!

— Ten dzień, o Siddhartho Gautamo, będzie dla mnie prezentem równie drogocennym, jak kwiat udumbara!

Jego słowa wzruszają mnie do łez. Wzrusza mnie jego wielkie zaufanie. Szczęśliwi ludzie czysti i dobrej woli, którzy podobnie jak Ananda obdarzają innych zaufaniem.

Oby szczęście nigdy nie opuściło jego matki!

— Nie mam co do tego wątpliwości, Anando, mój bracie w cierpieniu i mój niezawodny towarzysz w tej wędrówce w poszukiwaniu Prawdy, która od tej pory mobilizuje całą moją energię. Pewnego dnia ty również osiągniesz nirwanę i po czujesz się szczęśliwy, że nie będziesz musiał się odradzać.

Słońce ukazało się ponownie i wodę zastąpił ogień.

Przed nami droga rozwija nieubłaganie swoją wstęgę w kolorze ochry, podobną z oddali do cienkiej żółtej strużki, rozplywającej się w błękicie nieba.

W dniu, w którym nasze pragnienia rozplyną się całkowicie na podobieństwo tej drogi, zapewniam cię, Anando, poczujemy się szczęśliwi i spokojni.

13

Jak podniebne ptaki

Prowadzę prowizoryczny kalendarz: robię nacięcia na kawałku drewna i skreślam te, które złożyły się na tydzień, a potem na miesiąc.

Dzięki temu mogę nieomylnie określić, że jesteśmy w drodze już od trzech miesięcy, co do dnia.

Za każdym razem, kiedy wyruszamy rankiem po nocy spędzonej na gołej ziemi, Ananda zadaje mi to samo pytanie:

— Dokąd chcesz dzisiaj pójść, Siddhartho?

Ponieważ nigdy nie wiem, dokąd skierujemy nasze kroki, odpowiadam niezmiennie:

— Jak pszczoła fruwa z kwiatka na kwiatek, wypijając tylko tyle soku, ile potrzebuje, nie robiąc przy tym krzywdy kwiatu, tak mędrzec podąża przed siebie, z miasteczka do miasteczka!

Dla nas stało się to pewnego rodzaju zabawą.

Z czasem przyzwyczajamy się wyruszać o świcie i zatrzymujemy się dopiero o zachodzie słońca: wędrujemy z miejsca na miejsce, by spotykać ubogich ludzi.

Dziś jest jeszcze goręcej niż zwykle, co zmusza nas do przystawania co dwie godziny, żeby ugasić pragnienie i dać odpocząć obolałym stopom. Od kiedy zrezygnowałem z noszenia sandałów, podeszwy moich stóp są jedną raną.

Zauważam mały pionowy kamień, na czubku którego dopała się kilka świec; pewnie jacyś pobożni ludzie umieścili je tu na chwałę miejscowego boga.

— Co się stało, Siddhartho? Dlaczego się zatrzymujesz? — pyta Ananda.

— Popatrz uważnie, a zrozumiesz...

Przed tym prowizorycznym ołtarzem klęczy z twarzą przy ziemi mężczyzna.

Ma na sobie tunikę i getry z grubej tkaniny koloru ochry, jakie noszą lowcy gazeli.

Starając się robić jak najmniej hałasu, zbliżam się do niego wolno.

— Chciałbym zamienić się z tobą na ubranie — mówię.

— Czyżbyś nie widział, w jakim stanie jest moja tunika? Straciłbyś tylko na tej zamianie! — odpowiada myśliwy, pokazując poję ubrania tak zniszczoną, że aż przezroczytą.

Zdejmuję długą haftowaną koszulę i wyciągam ją w jego kierunku. Stoję zupełnie nagi, ale wcale mnie to nie krępuje. Przechodzący obok nas ludzie również nie zwracają na mnie uwagi. Ludzie ubodzy zazwyczaj przemykają się chyłkiem. A ponieważ roi się tu także od śramanów, moja nagość nikogo nie szokuje, zwłaszcza że na czole nie mam wypisanej przynależności do kasty wojowników.

Po chwili wahania myśliwy wreszcie się rozbiera. Wymienia swoją pomarańczową tunikę na moje drogie ubranie i oddala się pospiesznie, o nic nie pytając.

— Ja także chciałbym mieć takie ubranie jak ty! — wzdycha Ananda.

— Ubranie tego człowieka w zupełności wystarczy dla nas dwóch, po kawałku materiału dla każdego. Będziemy nosili te tuniki przez całe nasze życie. Wypierze je deszcz, wysuszy wiatr, a wyprasują nasze pośladki, kiedy będziemy spali.

Od strugacza lasek pożyczam długi nóż i rozcinam tunikę myśliwego na dwie części, następnie zarzucam jeden koniec na ramię Anandy, a sam owijam się resztą materiału.

- Dobrze się czuję w tej tunice i lubię ten kolor! Również lekkość materiału. Dotknij go! — wykrzykuje Ananda, wglądając materiał tak zniszczony, że błyszczy jak jedwabna satyna.
- Zużycie nadaje tkaninie szlachetności na podobieństwo patyny. Tak samo jest z owocami: dojrzałe zawsze są lepsze od zielonych. Nie ma nic brzydszego od tego, co nowe i błyszczące! Wszystko, co gładkie, wygląda jak wypolerowane.

Nazajutrz koło południa trafiamy na kram garncarza, łatwy do rozpoznania po piecu w kształcie piramidy.

Podchodzę do mężczyzny siedzącego przy garncarskim kole i ugniatającego glinę, pozdrawiam go uprzejmie. Wygląda na sympatycznego i serdecznie odpowiada na moje pozdrowienie.

Przechodzę do rzeczy:

— Potrzebna mi jest miska, ale nie mam pieniędzy. Czy możesz coś dla mnie zrobić? — pytam rzemieślnika.

Moja prośba jest raczej śmiała, więc jestem przygotowany na odmowę. Od kiedy opuściłem rodzinny dom, nie obawiam się złego traktowania, a nawet obelg. Biorę rzeczy takimi, jakimi są.

- Wyglądasz mi na wędrownego ascetę. Jeśli więc zgodzisz się modlić w mojej intencji, cały mój zapas naczyń jest twój — odpowiada garncarz, pochylając się przede mną z szacunkiem.
- Będę się modlił za zbawienie twojej duszy.
- Czy moja przyszła reinkarnacja będzie korzystniejsza w porównaniu do warunków, w jakich teraz żyję? Tak bardzo boję się, że zostanę jaszczurką, którą kopytem rozdeptę jakiś bawół! — jęczy garncarz i wręcza mi dwie miski ozdobione kwiatem lotosu, które zdejmuję z półki.
- Właśnie pracuję nad powstrzymaniem cyklu reinkarnacji. Kiedy już będę gotowy, dam ci znać — mówię do mężczyzny, który pada do moich stóp.
- Obiecay mi to! Już od tylu lat czekam na człowieka takiego jak ty! — wykrzykuje, nieprzytomny z wdzięczności.
- Skoro tak mówię, to możesz mi wierzyć.

- A w jaki sposób cię odnajdę?
- Nosząc te pomarańczowe tuniki, mój przyjaciel i ja jesteśmy dobrze widoczni... A ponieważ nigdzie nie mieszkamy i całymi dniami wędrujemy po drogach, spotykamy wielu ludzi. Nietrudno ci więc będzie zasięgnąć wieści na nasz temat.
- Dlaczego wziąłeś od niego tę miskę? — pyta Ananda, kiedy wychodzimy od garncarza z zamiarem udania się w dalszą drogę w palących promieniach słońca.
- Przecież nie mielibyśmy do czego zbierać pożywienia, które ktoś zechce nam ofiarować jako jałmużnę.
- Będziemy więc nadal zebrali? — pyta bardzo zaniepokojony i skonsternowany Ananda, u którego taka perspektywa zdaje się wywoływać panikę.
- Będziemy jak te podniebne ptaki, które nigdy nie są pewne jutra ani tego, czy znajdą coś do zjedzenia. Są jednak szczęśliwe, bo ich bogactwem jest wolność. Latają tam i z powrotem, dokąd tylko zapragną. Niepewność jutra pozwala poświęcić się temu, co najważniejsze. Dobra materialne wypaczają tych, którzy je posiadają. Bogacze spędzają cały swój czas na ich ochronie i gromadzeniu dóbr, przez co Prawda uchodzi ich uwagi...
- Wydajesz się przekonany, że lepiej jest być biednym niż bogatym! — stwierdza Ananda w chwili, gdy wkraczamy do wspaniałego tekowego lasu.
- Nic nie przeszkadza bogaczowi, zwłaszcza jeśli chce zarobić na lepszy wizerunek, uwolnić się od bogactwa przez rozdanie swoich dóbr biednym!
- Już kiedyś mówiłeś mi, że lepiej jest „być” niż „mieć”... — dodaje Ananda, który jak widać dobrze zapamiętuje usłyszane lekcje.

Nagle dobiegają do nas dziwne dźwięki, jakby ktoś uderzał rytmicznie dłońmi w drewniane naczynia.

— Co to za odgłosy?! — krzyczy Ananda. — Można by pomyśleć, że jakaś orkiestra ukrywa się wśród drzew...

— To małpy odwiedzające ten tekowy las. Popatrz tylko, jak uderzają łapami w pnie.

— Pewien jestem, że robią to na twoją cześć, Siddhartho.

Kilka chwil później, kiedy wyczerpani upałem siadamy, opierając się o czerwony pień jednego z drzew, małpka kapucynka kradnie moją miseczkę wypełnioną po brzegi spadziowym miodem.

— Widzisz, Anando, zostałem królem małp!

— Te zwierzęta mają doskonały węch, Siddhartho. Wyczuły w tobie kogoś szczególnego. Sprzymierzeńca.

— Przecież dobrze wiesz, że uważam się za kogoś zupełnie zwyczajnego.

— Co w takim razie powinienem powiedzieć o sobie? Że jestem łąkowym motylem?

— Skrzydła tych owadów są jeszcze piękniejsze od szat największych królów!

— Kiedy droga wyda się nam zbyt trudna, a nasze obolałe stopy z trudem będą dotykać ziemi, zawsze będziemy mogli pomarzyć, że jesteśmy motylami fruującymi leciutko ponad światem! — proponuje mój kuzyn.

Jesteś cudownym stworzeniem!

Jakże wielkie mam szczęście, że mogę na ciebie liczyć, Anando.

14

Choroba Anandy

Chodzenie, które stało się prawdziwym cierpieniem, nadal jest mi niezbędne.

Kiedy idę, mogę rozmyślać. Podczas marszu przyglądam się uważnie światu. Idąc, zaczynam dostrzegać ogólne zarysy tego, czym okaże się Prawda.

Więc nadal muszę wędrować.

Muszę posuwać się do przodu, zarówno po drogach, jak i w myślach.

Kamienie na drogach wydają się wędrowcom ogromne i niezliczone.

Niektóre z nich są ostre jak noże, więc postanawiamy założyć sandały na nasze pokrwawione stopy.

Mija już rok, odkąd idziemy tam, gdzie nas nogi poniosą. Nasze tuniki w kolorze ochry były na przemian to prane przez deszcze, to suszone przez słońce i wiatr.

Pewnego ranka Ananda budzi się, krzycząc z bólu. Jego noga jest spuchnięta, czerwona jak rzodkiewka i rozpalona jak żarząca się głownia.

— Nie wiem, co mi się stało, ale bardzo mnie boli! Coś takiego zdarza mi się po raz pierwszy. W Krainie Śniegów mogłem przemierzać wielkie odległości i nigdy nie czułem

zmęczenia... — tłumaczy, pokazując mi na swojej sieni i podobnej teraz do nogi słonia końcynie miejsce pulsujące bólem nie do zniesienia.

— Może ugryzł cię jakiś pajak albo jadowity wąż! Chyba że skaleczyłeś się o jeden z tych piekielnie ostrych kamieni, po których zdarza nam się chodzić!

Ananda nie odpowiada i widać wyraźnie, że dalszy marsz w tym stanie bardzo go wyczerpuje.

Idę po wodę do rzeki płynącej poniżej drogi i obmywam mu nogę. Następnie sadzam go pod mangowcem, żeby sokiem z owoców rozmasować mu mięśnie łydki.

Ananda kuleje, lecz próbuje iść dalej.

Wieczorem jego noga wygląda jeszcze paskudniej niż rano, a ciało od pasa w dół jest obolałe i rozpalone.

— Zostaw mnie tutaj! Przeze mnie tylko tracisz czas. Nie możesz przedłużyć poszukiwania Prawdy. Poproszę jakiegoś wędrownego lekarza o trochę maści i wszystko będzie dobrze — proponuje zmęczonym głosem.

— Ależ ja mam mnóstwo czasu!

— Jesteś taki dobry...

Tymczasem ból stał się tak przejmujący, że Ananda jęczy. Pot spływa po jego twarzy wielkimi kroplami. Dotykam jego czoła i czuję, że jest gorące jak chleb dopiero co wyjęty z pieca.

— Jesteśmy już niedaleko od świętego miasta Waranasi! Z pewnością znajdziemy tam jakiegoś lekarza! — szepce.

— Stan, w jakim jesteś, nie pozwoli ci uczynić ani jednego kroku więcej!

Poniżej, u stóp wysokiej skarpy, zauważam gospodarstwo otoczone wielkim wspaniałym ogrodem. Biorę Anandę pod pachy i wlokę go w ten sposób aż do domostwa, na którego progu wita nas głowa rodziny — niewysoki mężczyzna, pochylony do samej ziemi. Jego twarz wygarbowaną przez słońce i wiatr rozświetla promienny uśmiech.

Mężczyzna wyjaśnia nam, że uprawia dynie, soczewicę i bób, które jego małżonka sprzedaje na targu.

- Mój kuzyn jest ciężko chory — mówię. — Jego noga jest bardzo opuchnięta. Czy przyjmiecie go pod swój dach do czasu, aż wyzdrowieje?
- Twój podopieczny może tu pozostać tak długo, jak zechce. Trochę znam prostaczków. Na okolicznych wzgórzach jest wiele roślin, za pomocą których można go uratować. Musi się tylko położyć i nie chodzić przez jakiś czas — odpowiada ogrodnik, po czym idzie zerwać kępkę ziół, którymi okłada nabrzmiałą skórę na nodze chorego Anandy.
- Ile dni potrzeba, żeby wyzdrowiał?
- Siddhartho, błagam cię, zostaw mnie tutaj! Jestem w dobrych rękach. Idź swoją drogą! Dołączę do ciebie, kiedy tylko będę mógł.
- Ale jak mnie odnajdziesz? Jest nieskończenie wiele dróg, a miasta są takie ogromne! Być może rozstaniemy się na bardzo długo.
- Zadanie to ułatwią mi ślady, jakie za sobą zostawisz. Odkąd ci towarzyszę, zauważyłem, że w miejscach, przez które przechodzisz, każdy cię pamięta. Dla mnie będzie to więc zabawa w podchody... — żartuje Ananda, mimo że nie może już poruszyć nogą.
- Równie dobrze mogę zostać tu z tobą przez kilka dni!
- Siły zupełnie mnie opuściły. Czuję się bardzo źle wiedząc, że opóźnim twoją wędrówkę. Tak bardzo, że nie mógłbym powracać do zdrowia!
Widać, że jest zupełnie wyczerpany.
- W takim razie obiecaj mi, że dołączysz do mnie, gdy tylko poczujesz się lepiej.
- Przysięgam ci, że za nic w świecie z tego nie zrezygnuję!
- Nawet jeśli drogą, która podążam, prowadzi donikąd?
- Czyżbyś zwątpił w cel swojego przedsięwzięcia? Czyżby ogarnęła cię niepokój?
- Jak dotąd jestem tylko człowiekiem błądzącym we mgle i pragnącym odnaleźć Dobrą Drogę. Nadejdzie jednak dzień,

w którym słońce rozproszy otaczającą mnie mgłę. Ten błogosławiony dzień niestety jeszcze nie nadszedł...

— Dlaczego nadzieja miałaaby cię opuścić? Dokonałeś już tak wielkiego wysiłku. Spójrz, z czego zrezygnowałeś! Jeszcze wczoraj zdobyły cię klejnoty. Dziś nosisz tunikę w kolorze ochry i własny ojciec by cię nie rozpoznał.

Biorę go czule w ramiona.

— Muszę jeszcze zrezygnować z samego siebie... A to nie jest najłatwiejsze. Nie martw się jednak, musi mi się udać!

Ananda całuje mnie z szacunkiem w rękę.

Z nadejściem nocy, widząc mojego kuzyna śpiącego z zaciśniętymi mocno pięściami, jak cień wymykam się z domu ogrodnika, który błaga mnie o błogosławieństwo.

Chętnie spełniam jego prośbę, o co mnie prosi, po czym oddalam się.

Czuję teraz w sobie siłę podobną do tej, jaką odczuwa wioślarz, którego statek niesiony jest prądem rzeki.

Tego wieczoru księżyc jest rudy, a góry fioletowe. Krajobraz wydaje mi się bardziej realny. Kształty i kolory zależą od światła, mimo iż go nie widać.

A gdyby Prawda, za którą tak gonię, także była niewidoczna, a mimo to oczywista wtedy, gdy się ją praktykuje?

Ciężko mi na sercu, że musiałem opuścić Anandę, ale jest we mnie ufność: nie wątpię, że się odnajdziemy, choćbyśmy mieli, on i ja, całymi dniami wędrować, by się spotkać!

Pustelnik Kalama

Jak dotąd droga do Prawdy jest długa i kręta.

Kiedy już myślisz, że ją znalazłeś, wymyka ci się jak ptak, którego nie chcesz zbyt mocno ścisnąć i który nagle odlatuje z łopotem skrzydeł. Pewnego dnia sądzisz, że znalazłeś rozwiązanie, lecz w nocy wrażenie to znika i jesteś zmuszony zaczynać wszystko od początku, kierując się nowymi przesłankami — raz są to niewłaściwe hipotezy, innym razem błędne konkluzje.

Bez Anandy ta droga wydaje mi się tak długa i tak kręta, że postanawiam zasięgnąć rady Wielkiego Jogina o nazwisku Kalama.

Myślę, że musi on czerpać korzyści z doświadczeń tych, którzy jak ja szukają dróg duchowych, choćby były odmienne od moich.

Wielki Jogin Kalama mieszka w Wajsiali, małym mieście położonym na północny zachód od Pataliputry, stolicy królestwa Magadha. Odbywający się w nim co tydzień targ bydła i warzyw przyciąga tysiące handlarzy i kupujących, przybywających ze wszystkich stron kraju.

Wielu z nich specjalnie przejeżdża przez Wajsiali, by

zasięgnąć porady tego Wielkiego Jogina, cieszącego się reputacją mędrca nad mędrkami.

Postanawiam więc, że będę jednym z nich.

Kiedy piękna młoda kobieta, z na pół obnażonym obfitym biustem, wprowadza mnie do komnaty ascety, od panującego w niej odoru zbiera mi się na wymioty.

Zanim zostawia mnie sam na sam ze starym mężczyzną o zasuszonej ciele, który od trzydziestu lat nie obcinał włosów, tym bardziej wąsów i paznokci, przez co jego wygląd jest co najmniej dziwaczny, służąca szepce mi do ucha, że Wielki Jogin nie je od dwudziestu dni i że od tego czasu nie zmienił pozycji.

Mówi o tym tak, jak wędrujący z miasta do miasta treserzy niedźwiedzi opowiadają o swoich zwierzętach.

Dlaczego, by kogoś przekonać, trzeba koniecznie zrobić na nim wrażenie? Czy nie jest to oznaka słabości?

Wstrząśnięty, próbuję przetestować sławnego guru i pytam:

— Mistrzu Kalamo, czy zechcesz mi wyjaśnić pojęcie „niebytu”?

Pomimo niewygody pozycji Wielki Jogin nie porusza nawet kciukiem.

Jest zupełnie nagi, siedzi w pozycji lotosu na desce nabitej gwoździami i szorstkiej jak tarka; jego okaleczona prawa ręka wzniesiona jest ku niebu niby gałąź starego bambusa. Nie opada tylko dzięki zwisającej z sufitu linie.

Nie dość, że uwięziony w ten sposób, Kalama jest na dodatek ślepy.

- Pojęcie „niebytu”, zwane również Najwyższą Dharma, nie powinno prowadzić ani do obrzydzenia sobie świata, ani do powstrzymania odradzania się, ani też do pogody ducha, lecz po prostu do Pustki! — odpowiada, nie odwracając się w moją stronę.
- W jaki sposób Pustka może zadowolić ludzki umysł, mistrzu Kalamo? Przecież ludzie są istotami z krwi i kości. Lubią smak cukru, pieprzu i cynamonu! Cenią kobiety, których

smukłe uda rozchylają się łatwo, by przyjąć hołd miłosnej lancy... Istoty ludzkie mogą wyzwolić się ze swojej kondycji jedynie przez medytację i wysiłek.

— Pustka pozwala ludzkiemu umysłowi odnaleźć prawdę. Kiedy człowiek zaczyna rozmyślać, kiedy za wszelką cenę stara się wytłumaczyć sobie sens i przyczynę rzeczy, zaczyna błądzić. Lecz kimże jesteś, że zadajesz mi tyle pytań?

Tak więc, zdaniem Wielkiego Jogina Kalamy, Pustka jest ostatecznym stadium, do którego prowadzi Najwyższa Dhar-ma. W sumie ten guru głosi coś w rodzaju uniwersalnego oderwania. Nie przeszkadza mu to bynajmniej okazywać zniecierpliwienia natarczywością nieznanego, który ośmiela się podawać w wątpliwość to, co on przez całe dni wszystkim głosi...

Mimo zażenowania, jakie budzi we mnie jego postawa, z szacunkiem odpowiadam na zadane mi pytanie:

- Nazywam się Siddhartha Gautama i przybywam z Kapilawastu!
- To nazwisko coś mi mówi... Czy nie należy do ascety, który wędruje drogami, ubrany w tunikę w kolorze ochry, jakie noszą łowcy gazeli?
- Jest dokładnie tak, jak myślisz, mistrzu Kalamo. Wędruję, sypiam pod gołym niebem, żyję z jałmużny. Są dni, kiedy zadowolam się ziarenkiem jęczmienia i jednym owocem jojoby.
- A czego tak naprawdę szukasz, Siddhartho Gautamo z Kapilawastu?
- Prawdy świata, mistrzu Kalamo, ni mniej, ni więcej!
- Prawda świata jest jak woda albo jak ptak: kiedy myślisz, że już trzymasz ją w garści, przepływa ci przez palce lub odlatuje. Musisz ją mocno ścisnąć, zresztą to zależy... — dodaje tajemniczo asceta, po czym przyjmuje inną asanę*.

* Asana — indyjska nazwa pozycji jogi.

- Myślę, że człowiek nie może być szczęśliwy na tej ziemi, dopóki nie odnajdzie Prawdy! Żeby ją znaleźć, trzeba wytworzyć w sobie Pustkę. Tylko wówczas Prawda może przeniknąć do twojego umysłu.
- A więc zacząłeś już wytwarzać w sobie Pustkę? — rzuca mi szyderczo asceta z wiecznie uniesiona ręką.
- Próbuję czynić to każdego dnia. Nie jest to wcale proste, ale nie rezygnuję. Od kiedy wyzbyłem się wszystkiego, co miałem, jest to o wiele łatwiejsze. Mojego umysłu nic już nie obciąża.
- To dziwne, ale ktoś, kto niedawno mnie odwiedził, mówił podobne niedorzeczności jak ty.
- Jak się nazywał? Czy podał ci swoje nazwisko?
- Ananda z Kapilawastu. Opowiadał takie same głupstwa jak ty. Młodym wydaje się, że wszystko wie. Zrobilibyście lepiej, umartwiając swoje ciało, jak ja to robię.

Czuję, że wzbiera we mnie wielka radość i nie mam już ochoty odpierać argumentów ślepego guru.

Minął rok, odkąd straciłem z oczu swojego ukochanego kuzyna.

Ananda stał się do tego stopnia niewidoczny, że zacząłem już myśleć, iż postanowił mnie unikać!

Kiedy wróciłem do domu ogrodnika, który zgodził się gościć go u siebie i pielęgnować w chorobie, ten dobry człowiek powiedział mi, że Ananda opuścił go po trzech miesiącach zdrowy i w dobrej formie. Niestety, od tego czasu nasze drogi się nie spotkały. Tymczasem za każdym razem, kiedy udaję się do kolejnej miejscowości, pytam przechodniów, czy przypadkiem nie natknęli się na ascetę zwanego Ananda z Kapilawastu.

Pytam Kalamę:

- Kiedy cię odwiedził?
- Był tu trzy dni temu. Szukał przyjaciela. Być może ty nim jesteś?

Nie poprzestaję na tym.

- Czy powiedział ci, dokąd się udaje?
- Nie! Po co miałby to robić? — odpowiada Kalama, potrząsając gęstymi siwymi włosami, opadającymi mu na ramiona jak długi wełniany płaszcz.

Ta wizyta u Wielkiego Jogina Kalamy jest dowodem na to, że rodząca się we mnie refleksja duchowa jest bardziej dostosowana do umysłu zwykłych ludzi niż do umysłu ascetów, którzy swoim zachowaniem odstraszaają tylko bliźnich.

Jak można utrzymywać, że jest się przykładem dla innych, kiedy ma się stale uniesioną rękę? Żeby dawać, trzeba móc posługiwać się obiema rękami, żeby przekonać bliźnich o słuszności tego, co się im proponuje, należałoby przede wszystkim być dla nich dostępnym. O ile wiem, mało ludzi potrafi siedzieć całymi tygodniami na desce nabitej gwoździami!

Teraz myślę tylko o tym, żeby czym prędzej opuścić jaskinię tego nieludzkiego ascety, wydzielającego mdły odór, i odnaleźć Anandę, który nie powinien być zbyt daleko stąd.

Okazja do wyjścia pojawia się wraz z wkroczeniem młodej służącej.

Dekolt tej kobiety jest tak głęboki, że widzę jej sterczące piersi, których okrągłe i grudkowate brodawki przywodzą na myśl jeżyny, czekające w upalny dzień na kolczastych krzewach, aż je ktoś zerwie.

Rzuca mi zalotne spojrzenie.

Kiedy znajduję się wreszcie w korytarzu, łapie mnie i lekkim ruchem ramienia wpycha do jakiejś izby, której uchylonych drzwi dotąd nie zauważyłem. Znajdujemy się w małym przegrzonym pomieszczeniu.

— Wiesz co, podobasz mi się... Przed chwilą, tam przed mistrzem, zwróciłam uwagę na twoją twarz. Wyglądałeś na zbitego z tropu. Ten stary jogin nie jest zbyt przystępny; wielu ludzi wyszło od niego zupełnie zdezorientowanych. Nie ma się

czym martwić. Chodź ze mną, a poczujesz się lepiej! — szepce do mnie kobieta, rozdzierając gwałtownie górną część swojego sari, spod którego wyskakują jej ogromne piersi.

Patrzy na mnie płonąłym wzrokiem, podczas gdy koniuszek jej języka oblizuje moje wargi, jakby wygłodniałe dziecko lizało miodowe ciasteczko.

Potem przykleja się do mnie i usiłuje rozewrzeć moje usta, żeby wsunąć w nie swój język. Czuję jej zapach zalatujący odrobinę piżmem. Moje ciało gotowe jest odpowiedzieć, w każdej chwili mogę ulec.

— Odmawiam sobie prawa do dotykania kobiet. Jestem ascetą! — mówię, próbując się uwolnić.

Mimo moich protestów ciągnie mnie w stronę wąskiego łóżka, rozchyła moją tunikę i klęka przede mną.

— Nie opieraj się! Uwierz mi, chłopcze, nie pożałujesz... — szepce mi lubieżnie do ucha.

Zanim zdołałem zaprotestować, objęła ustami mój członek, równie umiejętnie, jak to robiła Jaśiodara.

Rozbiera mnie i ociera się o mnie. Jej dłonie są bardzo śmiałe. Nie mam już siły protestować ani się bronić, wszystko dzieje się tak szybko!

Kobieta wybucha śmiechem, a ja tracę równowagę. Potrząsa bransoletami na kostkach, a ja zaczynam się wiercić. Oplata mnie jak wąż, a ja wtulam się w jej ciało...

— Jesteś wyjątkowo uzdolnionym ascetą! — wzdycha, wijąc się.

Podobnie jak wąż nag gotujący się do pożarcia mangusty, mój lingam pręży się teraz między rozwartymi udami służącej Wielkiego Jogina Kalamy.

Zamykam oczy, a pod powiekami pojawia się ulotny wizerunek Jaśiodary. Od kiedy moja żona umarła, nie kochałem się z żadną kobietą.

Wiem dobrze, że jeśli jej na to pozwolę, przedsiębiorcza służąca chwyci mój lingam w dłonie, by wprowadzić go do swojej wilgotnej i gorącej pochwy. Potem zacznie poruszać

się w górę i w dół, aż wleję do jej wnętrza całe swoje nasienie...

Muszę uciekać, zanim będzie za późno.

To nie jest odpowiedni moment na pociąganie za nić, która wiąże mnie jeszcze ze światem przyjemności i cierpień, od których oddaliłem się po to, by stać się człowiekiem wolnym, zdolnym odnaleźć Drogę do Prawdy.

Delikatnie odsuwam od siebie służącą, która zaczyna jęczeć i zrzuca mnie z łóżka, po czym pospiesznie wchodzi do komnaty Kalamy.

Wiem dobrze, że gdybym się odwrócił, uznałbym tę kobietę za piękną...

16

Bramin Udraka

Jeszcze nigdy gil nie śpiewał tak pięknie, i to jest dobry znak.

Naprzeciwko mnie, w cieniu drzewa, na którym pewnie śpiewa ten ptaszek, choć go nie widzę, siedzi bramin Udraka.

W nadziei, że spotkam guru odmiennego od innych, postanowiłem udać się do Rajgiru, miasta, w którym Udraka ma swoją siedzibę.

Udraka ma wysokie czoło, typowe dla ludzi dobrze urodzonych, którzy mówią, co myślą, i patrzą swojemu rozmówcy prosto w oczy.

Od kiedy zasięgam porad różnych guru, ciągle jestem rozczarowany. Nawet kiedy robią skromne miny i manifestują skrajną abnegację, zawsze pragną narzucić drugiemu swój punkt widzenia i chcą, by ich uczniowie byli od nich zależni. Nie powoduje nimi szacunek, lecz raczej chęć zabłyśnięcia i wola dominacji.

O wielkiej mądrości bramina zwanego Udraka usłyszałem w czasie krótkiego pobytu w Pataliputrze.

— Czy ten człowiek szanuje swoich bliźnich? — spytałem człowieka, który podał mi nazwisko tego wielkiego mędrca. Był to kowal, z wielką starannością wykonujący miecze o zaokrąglonych końcach, a więc bezpieczniejsze, co niezbyt

dobrze wpływało na jego interesy, ale za to uspokajało jego sumienie.

— Udraka nigdy niczego nie narzuca. Ogranicza się do mówienia i nie zmusza rozmówcy do podzielenia jego poglądów. Z pewnością szanuje innych — odpowiedział kowal.

Opinia była tak zachęcająca i niespodziewana, że skłoniła mnie do złożenia wizyty temu braminowi, co ma miejsce właśnie dzisiaj.

Jego dom zbudowany jest z okrągłaków z drewna tekowego i usytuowany w starannie utrzymanym warzywniku, w którym rośnie kapusta, ciecierzycza i różne gatunki sałaty.

Kiedy wszedłem do środka, odniosłem wrażenie, że stary bramin oczekuje mnie, siedząc na ławce.

Pytam go:

— Mistrzu Udrako, powiadają, że znasz dobrze techniki, które umożliwiają umysłowi uwolnienie się od ciała.

— To się po prostu nazywa medytacja, mój drogi!

— Medytacja? A co to właściwie jest?

Nie mam najmniejszego zamiaru zastawiać pułapki na Udrakę. Chcę tylko porównać techniki medytacji tego doświadczonego mędrca z technikami nowicjusza, jakim ciągle jestem w dziedzinie, która wymaga wielu lat praktyki.

Nie ośmieliłbym się oczywiście powiedzieć mu o tym, co zdarzyło mi się już parokrotnie, a mianowicie, że medytujący asceci pochylali się do moich stóp, nazywając mnie „mistrzem”, po tym, jak pokazałem im, w jaki sposób osiągam stan polegający na wyjściu z siebie, w którym świadomość opuszcza umysł, podobnie jak słońce opuszcza ziemię wraz z początkiem nocy.

— To oznacza dotknąć Pustki... — odpowiada Udraka, podczas gdy gil wyśpiewuje najcudowniejsze trele.

Pojęcie Pustki w rozumieniu Udraki wydaje mi się być zbyt radykalne. Jeśli wszystko sprowadza się do Pustki, nie ma dla ludzi żadnego miejsca we wszechświecie. Co w takim razie tu

robimy? Jaka okrutna ręka zabawiła się, umieszczając nas na tym padole?

Nie mógłbym nigdy podzielić pesymizmu bramina Udraki.

— W jaki sposób możemy dotknąć czegoś, co z samej definicji nie ma konsystencji?

— Wszystko jest Pustką. Taka jest moja Dharma*. Rzeczywistość świata jest jedynie ułudą.

Oto, co mi objawił bramin Udraka!

Na te słowa, najciszej jak potrafię i tonem pełnym szacunku, by nie urazić tego starca, odpowiadam:

— Pomijając to, co nas otacza i co jest namacalne, w naszych głowach, mistrzu Udrako, istnieją przecież myśli... W przeciwnym razie, czy moglibyśmy dyskutować teraz o tym wszystkim?

— Dla mnie, młody człowieku, sama myśl jest tylko sztuczką. Wszystko jest jedynie Pustką i Nieskończoną Czystością.

— Jak można zrozumieć świat bez odwoływania się do myśli?

— W świecie nie ma nic do rozumienia poza niezgłębionym pojęciem Pustki! — upiera się Udraka, w którego głosie słychać już lekką nutę zniecierpliwienia.

Zapada między nami cisza, mącona tylko niesłychanie pięknym śpiewem ptaka.

Jestem gotów kontynuować tę wymianę zdań, ale Udraka powstrzymuje mnie gestem dłoni, po czym trzęsącym się głosem rzuca:

— Odejdź stąd! Jeszcze spowodujesz, że zwątpię w samego siebie!

Nie miałem pojęcia, że mogę zachwiać pewnością starego mędrca, ale w tej sytuacji dochodzę do wniosku, że czas przestać zasięgać na prawo i lewo porad różnych guru, praktykujących bezcelowe umartwianie się. W niczym nie są

* Tu w znaczeniu „prawda”.

mi pomocni. Co więcej, przez swój nadmierny rygorizm albo zbyt systematyzowany sposób myślenia, większość z nich utrudnia mi tylko moje zadanie.

Aby pomagać ludziom, trzeba ich najpierw pokochać, jak kocha się siebie samego.

Pamiętam jeszcze tego brzuchatego bramina, spotkanego nad brzegami Gangesu, który spytał mnie, czy mam jakieś ulubione kary... i któremu odpowiedziałem:

— Nie mam żadnych. Jestem przeciwny niepotrzebnemu okaleczaniu się. Moim zdaniem dusza nie potrzebuje tego, by wydostać się z ciała.

Spojrzał na mnie z politowaniem, jakbym był skończonym durniem, i odszedł, by usiąść na stosie gorących kamieni, na oczach pełnego podziwu tłumu, nie omieszkawszy zebrać datków zgromadzonych w umieszczonym przed nim koszyku.

Teraz jestem pewny, że Prawda przyjdzie do mnie tylko dzięki mojej własnej refleksji i że nikt mnie w tym nie wyręczy. Lepiej więc będzie pożegnać się z braminem Udraką i go opuścić.

W chwili gdy to robię, Udraka woła mnie i błaga, żebym wrócił.

Przez grzeczność nie protestuję.

— Czy chcesz zająć moje miejsce? — pyta mnie cichym głosem.

Zaskoczony i przyparty do muru odpowiadam:

— Nie jestem do tego zdolny, mistrzu Udrako! Przyszedłem prosić cię o radę, a nie po to, by zająć twoje miejsce!

— Myślę, że potrafisz medytować lepiej ode mnie. Po tym, co mi powiedziałeś, muszę przyznać, że to ja jestem w błędzie! Moja teoria Wszechobecnej Pustki nie trzyma się kupy. Dotąd służyła mi do tego, by pokazać, że mam autorytet. Nie jestem godzien być braminem! — dodaje Udraką, pochylając się nisko przede mną.

Protestuję z pokorą, jednocześnie zmuszając go do wstania.

— Jesteś zbyt pobłażliwy wobec mnie, mistrzu Udrako.

Rzeczywiście, od dwóch lat wędruję po drogach i staram się wytworzyć Pustkę w swoim umyśle. Kiedy nadchodzi wieczór, moje myśli stają się jaśniejsze, ale nie można nazwać tego „medytacją”.

Pomagam mu usiąść.

- Wróć tutaj, kiedy tylko będziesz tego chciał, a wtedy chętnie ustąpię ci miejsca. Od lat bezskutecznie poszukuję ucznia! — dodaje szeptem.
- Nic nie świadczy o tym, że jestem tego godzien...
- Czuję w tobie wielki spokój charakterystyczny dla tych, którym udaje się ujarzmić ten wewnętrzny ogień, który pustoszy nasze dusze i niemiłosiernie pali, zwłaszcza wtedy, gdy wywołuje w nas pragnienia, których nie możemy zaspokoić! — zapewnia mnie i wyciąga ręce w moją stronę na znak pożegnania.

Odpowiadam mu:

- Musiałbym jeszcze znaleźć ten spokój w sobie.
- Zrobiłeś to już dawno, widzę to w twoich oczach, Siddhartho! Należysz do tych, którzy wolą wodę od ognia. Dziwię się tylko, że dotąd nie zdałeś sobie z tego sprawy.
- To prawda, że od dziecka zawsze wołałem wodę od ognia — mówię, a przed moimi oczami pojawia się wspomnienie bramina rozniecającego rytualny ogień w lasku Lumbini.
- Bliska jest chwila, w której odnajdziesz Prawdę, której szukasz tak wytrwale — konkluduje wzruszony do łez Udraka.

Ruszam w drogę.

Przechodzę teraz przez czyste wody rzeki Najrandzana, ku której po wykutych w skale stopniach schodzą praczki niosące na głowach bieliznę.

Z myślą o braminie Udrace zanurzam się z głową w tej wartkiej wodzie, której cudowny chłód przynosi ulgę moim obolałym i spuchniętym nogom.

Brakuje mi Anandy.

Co z tego, że potrafię medytować, kiedy cierpię z powodu rozłąki z moim ukochanym kuzynem?

Kilka godzin później, na skrzyżowaniu, pod drzewem, które służy mi za parasol, zauważam ascetę całkowicie obojętnego na pełne zdumienia i obawy szepty otaczających go gapiów.

Mężczyzna umartwia swoje ciało na różne sposoby, jedno okrutniejsze i dziwniejsze od drugich. Na otwarte rany zadane sobie topornie zaostrzonym sztyletem w dolnej partii płaskiego jak deska brzucha i na kościstych udach nadających mu wygląd wyschniętego ptaka, delikatnie nakłada mieszaninę kolców i czerwonych mrówek.

Gapie proszą o jeszcze, a ja przechodzę, nie zatrzymując się.

Zbliżam się teraz do miasta Uruwilwa.

Kiedy do niego docieram, udaję się bez wahania na wzgórze, na którym rośnie święte drzewo z gatunku figowca pipal*.

Poskręcane gałęzie tego liczącego wiele wieków drzewa wyciągają się ku niebu i przywodzą na myśl statwę o tysiącu pomocnych ramion.

Jednak kiedy przypatrzeć się z bliska, ten czcigodny figowiec przypomina bardziej starszego mężczyznę niż jakiegoś boga.

W chwili gdy całuję pień z jednej strony, drzewo odzywa się do mnie.

Mówi mi, że wkrótce nadejdzie dzień, w którym osiągnę cel.

Ten stary brat stał się dla mnie Drzewem Prawdy.

* Ten rodzaj figowca nosi także nazwę *Ficus religiosa* lub figowiec pagodowy.

17

Drzewo Prawdy

Niczego nie widzę, choć jeszcze przed chwilą na własne oczy widziałem dzieci grające w kulki. Dzisiaj droga do koncentracji wydaje mi się mniej kręta niż wczoraj.

Im szybciej mijają dni, tym wyraźniejszy jest mój postęp w drodze do dhyany*.

Teraz chodzi o to, bym skoncentrował się najlepiej jak potrafię.

Muszę sobie uświadomić, że moje ciało istnieje, muszę zyskać świadomość, że „jestem” swoim ciałem, że to ja „jestem” tym ciałem, które musi stworzyć w sobie Pustkę. Muszę też mieć świadomość, że nagle „jestem” kimś innym niż ja sam!

I jeszcze że to ciało ma głowę, która powinna przestać myśleć o czymkolwiek. Gdyby powstała w niej najmniejsza myśl, choćby najbardziej niewinna, jak na przykład wspomnienie gila z ogrodu bramina Udraki, wszystkie moje dotychczasowe wysiłki, poczynione, by osiągnąć stan medytacji, zostałyby zniweczone jak ptak, który spadłby na ziemię, gdyby przestał machać skrzydłami.

* *Dhyana* (sanskryt) — głęboka medytacja.

Nie pierwszy raz przychodzę pod Drzewo Prawdy, by ćwiczyć „prostą myśl”.

Zrozumiałem, że medytować oznacza myśleć prosto.

Medytować, ćwiczyć swoje myśli, teraz i zawsze: temu właśnie oddają się od miesięcy.

Mówią o tym wszyscy napotkani przeze mnie asceci i mędrcy, lecz nie potrafią w prostych słowach zdefiniować tego stanu czuwania, w którym jasność „prostej myśli” pozwala człowiekowi dojść do prawdziwego poznania.

Postawiłem sobie za cel osiągnięcie stanu medytacji i wznie-sienie się ku czyste myśli.

Medytować nauczyłem się sam, ćwicząc całymi godzinami, najlepiej przed gołym murem, żeby żaden rzeczywisty widok nie zmaćił mojego spojrzenia. Zrozumiałem, jak dzięki systematycznej samokontroli można wytworzyć w sobie Pustkę.

Dzięki koncentracji i analizowaniu swojego życia udało mi się wreszcie zrozumieć, że medytacja jest jak wchodzenie po schodach składających się z czterech stopni.

Pierwsze stadium medytacji to refleksja nad radością i szczę-ściem.

Drugie stadium medytacji to wewnętrzny spokój i radość, ale bez rozumowania. Dzięki temu uśpiony umysł pozwala ciału dać się przeniknąć otaczającymi zjawiskami, których nie jesteś świadomy.

Trzecie stadium medytacji jest obojętnością, nieuwagą i ode-rwaniem. Osiągasz stadium opuszczenia, które pozwala twojemu umysłowi skoncentrować się na najistotniejszym i dać się ovladnąć Prawdzie.

Jeśli zaś chodzi o czwarte stadium medytacji, jest to stan absolutnej czystości, opuszczenia i zobojętnienia. To stadium nie jest ani trudne do zniesienia, ani przyjemne, ponieważ wszystkie doznania, dobre czy złe, się zacierają.

Dzisiaj jestem zadowolony.

Po raz pierwszy bez wysiłku osiągnąłem ostatnie stadium

i czuję się niewiarygodnie dobrze, podczas gdy jeszcze wczoraj to ćwiczenie koncentracji umysłu zupełnie mnie wyczerpało!

Pomimo upału doskwierającego nawet pod Drzewem Prawdy nie jest mi ani gorąco, ani zimno.

Nie odczuwam także ani smutku, ani radości z faktu, że bez większego trudu udało mi się osiągnąć czwarte stadium medytacji.

Nie odczuwam ani podziwu, ani obrzydzenia, i to do nikogo.

Jestem obojętny na wszystko, co mnie otacza.

Skupiony na najistotniejszym, powinienem móc określić to, co przeszkadza ludzkim istotom. Muszę zrozumieć, dlaczego cierpię, muszę znaleźć rozwiązanie, które uwolni je od cierpień.

Wiem także, że odtąd nic nie będzie w stanie mnie zaskoczyć, chyba tylko sama Prawda...

Dla przykładu, nie powinienem się dziwić, kiedy złocisty owoc drzewa jambu wpadnie do rzeki, a jego pestki utworzą drogocenne bryłki złota, niesione prądem do morza... Nie powinienem okazać zdziwienia na widok gazeli, która wyrwie się z pazurów lwa, albo kiedy olbrzymia stopa słonia o włos ominie mysz pełną biegnącą drogą...

Prawda wkrótce rozbłyśnie, to pewne.

Gdybym osiągnął ostatnią fazę tej koncentracji, podczas której uczucia ludzkie już się nie liczą, byłbym bez wątpienia najszczęśliwszym z ludzi!

Pochwycić wreszcie Prawdę! Odkryć prawa rządzące światem! Zbadać Szlachetne Prawo egzystencji!

Czyż nie na to czekam od czasu mojego Wielkiego Odejścia?

Jednak w chwili, gdy czuję wreszcie, jak Światło wnika w moje serce, widzę Marę, Pana Śmierci wyciągającego do mnie rękę.

Wzdrygam się i ogarnia mnie obrzydzenie.

Oczy Mary rzucają błyski, usta Mary plują ogniem, dłonie Mary zakończone są zakrzywionymi palcami, ciało Mary jest włochate jak korpus wielkiego pająka.

— Ukorz się, a podaruję ci świat! — krzyczy bóg trupów.

Zaciskam pięści.

— Nigdy.

— Za osiem dni, jeśli mnie posłuchasz, staniesz się Nie zrównanym Królem Świata!

Kręcę głową.

Nic nie sprawi, że podążę za tym bogiem zła, nawet gdyby jego ostre jak groty strzał palce miały rozszarpać mnie na kawałki!

Wobec mojej odmowy przysłała do mnie swoje córki: Lubieżność, Rozkosz i Przywiązanie. Niezwykle piękne, zaczynają przede mną namiętny taniec, podczas którego zdejmują suknie, są całkiem nagie, a ich przepiękne ciała znajdują się w zasięgu moich rąk.

Wystarczy jeden gest... i odniósłbym wrażenie, że znowu dotykam ciała Jaśiodary... Jednak opanowuję się.

Wówczas władca każe wezwać swoich synów: Dumę, Zmieszanie i Wesołość, których zmienił w strzały wymierzone dokładnie w mój brzuch, głowę i serce.

Daremnny trud, strzały tylko ześlizgują się po mojej skórze.

Sprawdzam, lecz ani moja twarz, ani piersi nie noszą śladów skaleczeń.

Spostrzegam, że na ziemi zamiast strzał leżą płatki róż.

Potem nadchodzi oddział żołnierzy, których twarze z uszami kozłów, wieprzy, krów, tygrysów i słoni są czerwone, żółte, niebieskie, czarne, zielone i koloru ochry. Niektórzy mają dziesięć małpich ogonów i osiem tygrysiich łap, inni ostre jak piki zęby.

Gdy te chimery rzucają się na mnie, wystarczy, żebym na nie dmuchnął, a natychmiast znikają.

Tym razem Mara zsyła na mnie ulewny deszcz, który spada na moją głowę jak pęk włóczni, potem palące słońce, pod którego gorącą czapą szybko wysycham.

Ja jednak trwam bez ruchu, skupiony i niewzruszony, zbrojny w moją myśl, prostą i niezłomną, która czyni mnie niepokonanym.

Odtąd już wiem, co znaczy czerpać siłę z siebie samego!

I rzeczywiście czuję, że Przebudzenie jest bliskie i że Mara nie może w żaden sposób przeszkodzić mi w wytrwaniu w koncentracji aż do końca.

Postanawiam położyć kres jego manipulacjom.

Prawą ręką dotykam ziemi, biorąc ją za świadka.

Ziemia poczuła, że jestem bliski Przebudzenia. Zrozumiała, że zostanę Oświeconym. Słoń, na którym siedzi teraz Mara, klęka na jedno kolano, a wszyscy żołnierze rzucają się do beładnej ucieczki.

Nagle ziemia zaczyna drżeć i moce zła, które jeszcze przed chwilą mnie osaczały, znikają bezpowrotnie.

Ziemia, która dostarcza ludziom pożywienia i która zmusza wieśniaków do pracy, ziemia — matka wszechświata i stworzenia, postanowiła przybyć mi z pomocą.

Jednak chyba zbyt prędko o tym pomyślałem, ponieważ widzę przed sobą młodą lubieżną kobietę o czarnych włosach.

Jej wspaniałe ciało jest całkiem nagie; szyja, nadgarstki i kostki stóp ozdabiają bransolety z czaszek wielkości ziaren ciecierzycy. Siada okrakiem na moich udach i usiłuje wcisnąć swój język w moje usta!

Oprzeć się takiej ofensywie boga śmierci jest dla mnie prawdziwą męką.

Dobrze mi mówić, że to stworzenie nie istnieje, że jest snem zesłanym przez tego, który chce zawrócić mnie z obranej drogi do Prawdy. Trudno jest się jej oprzeć i będę musiał stoczyć prawdziwą walkę, by nie wpaść w zastawioną przez nią pułapkę.

Szepcę do siebie:

— Przyjemność pociąga pożądanie, które z kolei wywołuje frustrację i ból... Nie poddawaj się, Siddhartho Gautamo, w przeciwnym bowiem razie jesteś zgubiony! Jeśli chcesz odepchnąć tę kobietę, możesz liczyć wyłącznie na siebie, bo nikt nie popieszy ci z pomocą. A jeśli tego nie zrobisz, Prawda wymknie ci się i nie wróci.

Powoli obraz kobiety rozplywa się jak mgła rozpraszana promieniami słońca.

Znów jestem sam, ukojony i spokojny.

Stałem się silny, by w ten sposób móc opróżnić swój umysł ze wszystkich zbędnych myśli.

Jednak musi jeszcze upłynąć trochę czasu, zanim do mojej świadomości dotrze wreszcie Prawda...

18

Moi pierwsi uczniowie

Moi drodzy uczniowie, w chwili gdy mnie słuchacie, przygotowuję się na przyjęcie Szlachetnej Prawdy Świata.

Jeśli was opuściłem, to wyłącznie po to, by medytować pod Drzewem Przebudzenia i iść dalej, aż na skraj przestrzeni, w której myśl jest prosta. Potrwa to zaledwie kilka dni.

Gdybyście wiedzieli, moi drodzy przyjaciele, jak bardzo was wszystkich kocham!

Wachlujecie mnie, kiedy jest mi gorąco. Podajecie mi wodę, kiedy jestem spragniony... Kiedy się oddalam, by medytować w nocy w szałasie, pilnujecie, żeby w czajniku zawsze była gorąca herbata. Spijacie słowa z moich ust. Zawsze jesteście tam, gdzie was potrzebuję!

Co skłania was do podążania za mną krok w krok, kiedy jeszcze niczego nie udowodniłem?

Nie mogę nie zadawać sobie tych pytań, kiedy patrzę na was, takich młodych i pięknych, pozbawionych szat, które nosiliście jeszcze cztery tygodnie temu, zanim postanowiliście pójść w moje ślady!

Minął zaledwie miesiąc, odkąd przyłączyliście się do mnie, a mnie się wydaje, że jesteście ze mną od zawsze.

Przecież prawie mnie nie znacie!

Wiedzieliście, że wyruszyłem z Kapilawastu, gdzie wszystko zostawiłem. Wywołało to taki skandal... i tak wstrząsnęło całym rodem Siakja, że ojcowie rodów zwołali naradę dla zbadania mojego przypadku. Zastanawiali się, czy szukać mnie z bronią w ręku i sprowadzić do Kapilawastu w łańcuchach, czy raczej pozwolić mi kontynuować mój eksperyment i liczyć, że brak odwagi niebawem przywiedzie mnie na drogę rozsądku.

Jedni byli zwolennikami pierwszego rozwiązania, inni opowiadali się za drugim...

Lecz mój ojciec przeciwstawił się z wielką energią planowi ekspedycji, z obawy przed jeszcze większym skandalem, który mógłby zaszkodzić poważnie jego pozycji głowy rodu.

Skandal wcale mi nie zaszkodził, wprost przeciwnie, zdaje się, że przyczynił się do mojej chwały i przyciągnął do mnie innych, o czym świadczy wasza tutaj obecność, pomimo pogardy okazywanej przez klan Kaśjapa. Wyobrażam sobie wściekłość waszych rodziców, kiedy z domu odeszło trzech synów, zdecydowanych dołączyć do tego biednego szaleńca Siddharthy Gautamy!

Kiedy przyszlście do mnie na plac Wielkiego Targu w Rajgirze, prosić o zgodę na przyłączenie się do mnie, gdy karmiłem gołębie resztką ryżu z mojego posiłku, wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Żeby tylu męskich potomków wywodzących z tak szacownego rodu jak wasz odważyło się na taki postępek, wydaje mi się nie do pomyślenia. Nie potrzebowałem wiele czasu, by przekonać się, że wasza motywacja była jasna i przejrzysta niby źródłana woda. Podobnie jak ja dusiliście się w waszych rodzinach i nie mieliście najmniejszej ochoty uprawiać wojennego rzemiosła, tym bardziej zatapiać miecza w brzuchach niewinnych ofiar, i postanowiliście opuścić swój dom.

Nawet jeśli nie macie odwagi mi tego wyznać, przeczuwam, że przekleństwa wypowiedane całymi dniami pod moim adresem przez waszego ojca — wielkiego przyjaciela mojego

ojca! — zachęciły was do zawarcia znajomości z tym oto oświeconym Siddharthą...

Przekora i bunt są czasem konieczne, jeśli chce się uniknąć głupoty i pomyłki.

Nieco później dołączyli do nas Subhuti i Malunkjaputta.

Będziesz zmuszony żebrać, Subhuti, najradośniejszy ze wszystkich, i czynić to z uśmiechem!

Wszyscy poczuliście taki sam niesmak jak ja, kiedy odkryliście, że świat nie jest taki, jak wam opisywano. Podobnie jak ja, za bezsensowne uznaliście odpowiadanie gwałtem na gwałt, zrozumieliście także, do jakiego stopnia system kast jest bezcelowy i odpowiedzialny za rozbięcie społeczeństwa. Oburzenie wzbudzały w was przejawy niesprawiedliwości tak powszechne, że mogłyby wydać się normalne.

Nie zadowala was porządek rzeczy, i słusznie!

Idąc ze mną, dodajecie mi odwagi, nigdy nie pozwalacie mi się cofać i zachęcacie, bym szedł dalej. Pomagacie mi.

Więzy miłości i szacunku, jakie się między nami wytworzyły, będą nierozzerwalne.

Kiedy tu przybyliście, ostrzegąłem was: nie będę waszym guru. Zresztą nikt z was go nie potrzebuje. Wasza inteligencja i wasza refleksyjność sprawiają, że nie potrzebujecie mistrza, który wskazywałby wam, jak macie myśleć i postępować.

O, moi cudowni uczniowie! Dbacie o mnie, jakbym był od was starszy, albo jakbym był żywym skarbem, czymś w rodzaju relikwii, która musi zachować się w całości. O, moi szanowni towarzysze drogi! Dzięki waszej obecności mniej dotkliwie odczuwam nieobecność drogiego Anandy.

Obawiam się, że będziecie się niepokoiли, kiedy dziś wieczorem do was nie wrócę...

Zanim udałem się do Drzewa Prawdy, powiedziałem wam:

— Czekajcie tu na mnie, nie zabawię tam długo.

— Kiedy zamierzasz wrócić? — pyta Subhuti, który nie lubi, kiedy się od was oddalam nawet na cal.

— Za dzień lub dwa będę z powrotem wśród was... —
odpowiedziałem mu.

Nie potrafiłem dokładnie określić czasu potrzebnego do osiągnięcia Oświecenia pod moim starym figowcem pipal we wsi Uruwilwa — Drzewem Prawdy.

Dzisiaj wiem dobrze, że jestem gotów na poznanie Prawdy.

Zostanę pod tym drzewem tak długo, jak będzie trzeba.

W zeszłym tygodniu, kiedy siedziałem na skale i patrzyłem na słońce znikające za poszarpaną linią górskich szczytów, niewiele brakowało mi do osiągnięcia czwartego stopnia medytacji. Ponieważ jednak nie chcę doznać Przebudzenia niespodziewanie, wolałem z tego zrezygnować, przynajmniej na razie.

To ja będę decydował o dniu i godzinie, w których poznam Prawo Świata.

Ten upragniony dzień właśnie nadszedł.

Obiecuję wam, moi drodzy uczniowie, że kiedy stanę się Oświeconym, przyjdę z wami porozmawiać. A wtedy wy będziecie mogli poznać Szlachetną Prawdę!

Czekajcie więc na mnie, a nie będziecie rozczarowani...

19

Poznaję Trzy Nauki

Siedzę pod Drzewem Prawdy od niecałej godziny.

Tylko patrzeć, jak słońce ukaże się między pniami drzew.

Gromada trznadli przysiadła na figowcu pipal i natychmiast odleciała.

Nagle czuję, jakby Drzewo Bodhi* pulsowało niczym bijące serce.

Mimo całkowitego bezruchu, dzięki grubej warstwie siana, na którym siedzę, nie odczuwam ani bólu pleców, ani kurczów w nogach.

Przed chwilą, kiedy zbliżałem się do drzewa, w powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy: jakiś mężczyzna kosił ją właśnie na sąsiedniej łące.

Spytałem go:

— Co zrobisz z tą trawą?

— Koszę ją dla ciebie. Weź sobie tyle, ile ci potrzeba! — odpowiedział kosiarz. — Wiedziałem, że tu przyjdiesz — dodał tajemniczo, po czym rozesał siano na ziemi między grubymi korzeniami świętego drzewa.

Tuż przede mną para wiewiórek rozłupuje orzeszki ziemne,

* Bodhi (sanskryt.) — przebudzenie.

zostawione tu przez przechodniów. Kiedy tylko wiatr zaszeleści liśćmi szacownego figowca, małe gryzonie o puszystych ogonkach zmykają czym prędzej i wspinają się na najwyższą gałąź rosnącego obok mangowca, po czym zeskakują z niego tak samo szybko, jak się tam wdrapały, i znów pałaszują orzeszki.

Chcą koniecznie zwrócić moją uwagę, lecz ja pozostaję niewzruszony i nadal wpatruję się w jeden punkt, by rozpocząć pierwszą fazę koncentracji umysłu.

Muszę zapamiętać o płynącej w dole rzece Najrandzana, nie słyszeć nawoływań kobiet piorących bieliznę, śpiewu papużek, które obsiadły Drzewo Bodhi, nie widzieć jaskółek śmigających pod błękitem nieba. Muszę również zapamiętać, że na żywej równinie ciągnącej się aż po horyzont mężczyźni i kobiety, zgnębieni swoim niewolniczym stanem, żyją w strasznych warunkach i że w sąsiedniej wiosce jakiś starzec wydaje może ostatnie tchnienie.

Muszę wymknąć się światu, aby lepiej go uchwycić.

Zaciskam zęby, a język przyciskam starannie do podniebienia.

Prawda ukazuje mi się stopniowo, tak samo świetlista jak płomień strzelające z suchego drewna.

Jest olśniewająca.

Jest oczywista.

Dlaczego wcześniej nie mogłem tego dostąpić?

Czuję się jak gość odwiedzający pałac, którego drzwi były aż dotąd przed nim ukryte. Nie jest to labirynt, lecz wspianała budowla składająca się z trzech części.

Wkraczam do pierwszej z nich.

W niej odkrywam moje wszystkie poprzednie wcielenia.

A więc zanurzam się we własną przeszłość. Narodziłem się raz, dwa razy, trzy razy, cztery, dziesięć, sto, tysiąc, dziesięć tysięcy, sto tysięcy razy. Tu czy tam, urodziłem się w setkach tysięcy postaci, przyszedłem na świat więcej niż milion razy, przed stworzeniem wszechświata i po jego zagładzie oraz powtórny stworzeniu!

Urodziłem się pod postaciami lwa, tygrysa, lamparta, małpy, krowy, kleszcza, węża, skorpiona, królika, kuny, turkawki, orła, małpki kapucynki, dziecka płci żeńskiej, pchły, niedźwiedzia, konia, wydry, mangusty, jaszczurki, pająka, motyla, nosorożca, ważki oraz wielu innych stworzeń, których nazw nie znam, ponieważ dawno znikły z powierzchni ziemi podczas różnych kataklizmów.

Wpisuję się w rodowód trudny do zapamiętania!

Przekraczam próg drugiej części budowli.

Tutaj uświadamiam sobie narodziny i zgony wszystkich istot zamieszkujących wszechświat. Nie wiedząc o tym, wszyscy jesteśmy ze sobą powiązani, podobnie jak przechodząc obok siebie, nie widzimy się nawzajem. Przeznaczenie nas wszystkich jest takie samo, od narodzin do śmierci, i dotyczy miliardów ludzi.

Dzięki boskiemu oku, które otwiera się teraz w moim sercu, widzę, co zrobili ze swoim życiem wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety, zarówno ci urodzeni przede mną, jak i ci, którzy przyjdą na świat po mnie.

Widzę pięknych i brzydkich, widzę wysokich i niskich, widzę bogatych i biednych; widzę chorych i cieszących się dobrym zdrowiem, widzę tych, których świętość doprowadzi do odrodzenia się pod ludzką postacią, godną pozazdroszczenia, oraz innych, których pełne nieprawości życie spowoduje odrodzenie się pod niezbyt atrakcyjną postacią zwierzęcą, zanim trafią do piekieł, chyba że przedtem naprawią swoje winy. Widzę sprawiedliwych, bliskich dostąpienia stadium bodhisattwy*, i widzę przestępców, którzy z pewnością staną się wygłodniałymi trupami o ustach tak słabo rozwartych, że

* Bodhisattwa (sanskryt) — istota dążąca do przebudzenia, w buddyzmie hinajany (Małego Wozu) stan poprzedzający dostąpienie ostatecznego stanu buddy; w buddyzmie mahajany (Wielkiego Wozu), najwyższy ideał religijny, ktoś, kto stał się doskonały i miłosierny i zmierza do stanu buddy, ale powodowany miłosierdziem powstrzymuje świadomie swoje wyzwolenie z łańcucha wcieleń, aby umożliwić innym osiągnięcie nirwany.

nie można w nie wcisnąć nawet najmniejszej okruszyny pożywienia.

Solidaryzuję się do głębi z wszystkimi, bez względu na to, czy są świętymi, czy grzesznikami. Nie mnie ich osądzać. Każdy płaci za swoje zachowanie własną cenę w kolejnym wcieleniu, bardziej lub mniej godnym pozazdrosczenia.

Odczuwam współczucie dla wszystkich żywych stworzeń ludzkich, a także zwierzęcych. Płyniemy na tej samej barce, unoszonej przez wielką rzekę wpadającą do morza śmierci, którego wody wyparowują, by zmienić się w deszcz padający na góry i na nowo zasilający rzekę.

Taki właśnie jest cykl, który zamierzam przerwać.

Nie ma grzechu bez zaślepienia.

By powstał świat, potrzeba wszystkiego po trochu.

W stawach, pośród białych i błękitnych kwiatów lotosu są takie, które pozostają przyczajone w głębi wody, podczas gdy inne wynurzają się z niej tak wysoko nad powierzchnię, że ich wyniosłe i lekkie kielichy nigdy nie dotykają wody...

Wkraczam do trzeciej części budowli i ogarnia mnie niewysłowione uczucie szczęścia.

Teraz mogę, zauroczony, przyglądać się, jak opuszczają mnie resztki moich wszystkich grzechów: pożądania, egzystencji i ignorancji.

Stałem się człowiekiem czystym. Czystym jak diament dopiero co wyłuskany ze złoża!

I czuję się jak nowy człowiek!

I mówię sobie: to cud, że coś takiego przydarza się istocie tak zwyczajnej i nieczystej jak ja!

Teraz już wiem: pożądanie zaśmieca umysł, nieczysta egzystencja jest skażeniem dla duszy, nieznanostwo Prawdy jest nieczystością.

Oto są Trzy Nauki, które wreszcie posiadm: znajomość moich poprzednich wcieleń, znajomość wcieleń wszystkich istot, które żyły przede mną, oraz znajomość niewysłowionego stanu czystości.

Człowiek nieczysty podobny jest do ślepcy stojącego na skrzyżowaniu dróg, niezdolnego wybrać tę jedną Drogę.

Te wszystkie nieczystości, z których człowiek nie zdaje sobie nawet sprawy, tworzą tyle samo przeszkody na drodze do uświadomienia sobie Prawdy!

Ziemia pęka w tysiące szczelin pod wpływem skurczów, jakim poddawane są korzenie figowca pipal.

Teraz muszę tylko osiągnąć czwarte stadium *dhjany*, a pod prastarym figowcem w Uruwilwie dotrze do mnie Prawda.

Nagle wszystko staje się oczywiste.

Wszystko się rozjaśnia!

Rozumiem, dlaczego wieśniacy niewolnicy, którzy tak ciężko pracują, by móc wyżywić swoje dzieci, a także członkowie wyższych kast, mający do swojej dyspozycji wszelkie dobra materialne, nie są szczęśliwi. To dlatego że nieszczęście następuje zawsze po szczęściu, bo te dwa doznania są częścią jednej całości, podobnie jak zimno odczuwane w zestawieniu z ciepłem i dzień rozpoznawany po odejściu nocy!

Ponieważ świat jest cierpieniem! Świat jest *duhkha**!

Jednak twierdzenie, że wszystko jest *duhkha*, nie jest samo przez się zrozumiałe, ponieważ nie zgadza się z pojęciem powszechnym.

Dlatego że człowiek jest tak mało przygotowany na cierpienie!

Przyjmijmy, że śmierć jest oczywistym cierpieniem, bo powoduje rozłąkę, ale jeśli chodzi o narodziny, samo życie i miłość między istotami... trudno będzie znaleźć w nich pierwiastek cierpienia.

A jednak dziecko cierpi, kiedy umiera jego matka. Kiedy odchodzi kochanka, kochanek zostaje sam i pogrąża się w rozpacz.

Wiem coś o tym od czasu, gdy umarła moja ukochana Jaśiodara...

* *Duhkha* (sansk.) — cierpienie.

Ujmując rzecz bardziej prozaicznie, łakomczuch, który jadał zazwyczaj same dobre potrawy, cierpi, kiedy nagle musi zadowolić się niełuskany ryżem. Podobnie jest z dzieckiem, któremu odbierze się ulubioną zabawkę, oraz z budowniczym, dumnym ze zbudowanego przez siebie domu, który widzi, jak huragan unosi dach i ściany niby żdźbła słomy.

Każdy przedmiot, każdy stan, każde wrażenie rodzi swoje przeciwieństwo. Wszystkie stworzenia cierpią, nawet jeśli wiele z nich nie zdaje sobie z tego sprawy, a cykl samsary tylko przedłuża to cierpienie w nieskończoność.

Lecz ja znalazłem sposób, który pozwoli ludziom uniknąć *dukkhy*.

Odtąd nigdy nie uczynię zła czy to sobie, czy innym, roślinom, zwierzętom i przedmiotom. Już nigdy nikomu nie zadam bólu, choćby kamieniowi, którego nie wystrzelę z procy, by zabić ptaka, albo bukłakowi, którego nie przebiję, by zamkniętą w nim wodą ugasić czyjeś pragnienie.

Kiedy naszym celem jest zniesienie cierpienia, nie możemy zadawać go innym, istotom żywym, przedmiotom, a także sobie samemu.

Trudno zaspokoić ludzkie pragnienia, podobnie jak trudno napełnić wodą studnię bez dna.

Im więcej się ma, tym więcej się pragnie.

To właśnie pragnienia są przyczyną trwania cyklu samsary, tego nieprzerwanego następstwa życia, śmierci i ponownych narodzin. Pragnienia są łańcuchami, które czynią z nas więźniów i niewolników.

Jeśli nie chce się cierpieć, należy zniszczyć w sobie wszelkie pragnienie.

To właśnie pragnienie jest przyczyną ludzkiego cierpienia.

W ugaszeniu pragnień zawiera się pojęcie porzucenia.

A porzuceniem ostatecznym jest porzucenie siebie — największe zwycięstwo nad samym sobą.

Należy przestać odczuwać pragnienie.

W jaki sposób wytłumaczyć moim uczniom, że niczemu nie

służy samo pragnienie czynienia dobra, ponieważ rzeczą najważniejszą jest „czynienie” dobra, nie zaś pragnienie?

Nagle na Drzewie Przebudzenia o tysiącu splątanych gałęzi przysiadł wspaniały wielobarwny ptak.

Nareszcie będę mógł dać swoim bliźnim Klucz do Świata.

Ocean straci swój słony smak i ludzie będą mogli ugasić w nim pragnienie, głodni przestaną odczuwać głód, ociemniali przejrzą, więźniowie zostaną uwolnieni z okowów.

Wynurzam się ze stanu medytacji i otwieram oczy.

Wokół mnie stoi gromadka osłupiałych dzieci.

Co słyszały? Co zobaczyły?

Nie mam pojęcia.

Może mówiłem coś na głos?

A może moje ciało emanowało jakimś światłem?

Może czują się teraz lepiej niż kilka chwil temu?

Może domyśliły się, że stałem się Oświeconym?

Uśmiecham się do tych przepelnionych podziwem twarzyczek.

Odtąd jestem do głębi szczęśliwy i wolny, całkowicie oddany wszystkim moim bliźnim.

Prawo Świata, które właśnie odkryłem, jest olbrzymim parasolem, który chronić ich będzie przed kaprysmi pogody.

20

Tysiące moich poprzednich wcieleń*

Mam za sobą — jak każdy z was — tysiące wcieleń.

A nawet jeśli przejść do innej epoki kosmicznej, miliony istnień, które na przestrzeni niezliczonych kosmicznych epok, złożyły się na miliardy narodzin, śmierci i odrodzeń.

Różni mnie od was to, że ja mogłem sobie to uświadomić, ponieważ pierwsza z Trzech Nauk, jakie miałem przywilej osiąść, pozwala mi zobaczyć wszystkie moje poprzednie wcielenia.

Nie możecie sobie wyobrazić, jakie to fascynujące, móc oglądać spektakl ze sobą w roli głównej, w upierzeniu orła lub w futrze świstaka!

* W świętych księgach buddyzmu czytamy na ten temat: „Dzięki Swojemu boskiemu oku Błogosławiony przeżywa wszystkie narodziny, wszystkie życia, wszystkie śmierci i wszystkie odrodzenia wszystkich cykli kosmicznych od ich początków. Postępuje tak, jak żyli wszyscy ci, którzy postępowali i myśleli źle i odradzali się w najgorszym razie w piekle, a w najlepszym pod postacią zwierząt szkodliwych, tępionych przez człowieka lub inne zwierzęta. Żyje również jak ci, którzy postępowali i myśleli dobrze, a najlepsi z nich odradzali się w niebie lub większość z nich — w ciele innych ludzi. Wszystko to Błogosławiony widzi Swoimi oczami!”. Jataka są opowieściami o niezwykłych przygodach, jakie przydarzyły się Buddzie w poprzednich wcieleniach.

Egzystencja, której jesteśmy świadomi, jest tylko małą cząstką łańcucha, a jego pozostałe oczka się nam wymykają.

Wyobraźcie sobie, że urodziłem się pewnego razu w skórze białego zająca, który spragnionego myśliwego doprowadził do źródła, po czym zgodził się, by zabił go ten człowiek, który niczego nie zrozumiał... Wspomniany zając był czczony jako uosobienie człowieka szlachetnego i hojnego.

Innym razem, kiedy już byłem Buddą*, ale w epoce kosmicznej odmiennej od tej, w której żyjemy, doznałem wielkiej łaski ofiarowania swoich oczu pewnemu biednemu ślepcowi. Ten człowiek spędził resztę życia na dziękowaniu mi, choć moje oczy odrosły na znak, że poniesiona przeze mnie ofiara nie była niczym nadzwyczajnym...

Okazje rzadko mnie omijały.

Jeszcze innym razem, kiedy urodziłem się jako mała małpka, podarowałem pewnemu Buddzie miseczkę leśnego miodu; tak się cieszyłem, że ją przyjął, że z tej radości wywinąłem koziołka i zabiłem się, uderzając głową o ziemię. Na moje szczęście Budda sprawił, że hojna małpka odrodziła się pod postacią bodhisattwy!

Niezliczone tysiące lat wcześniej żyłem we wcieleniu ascety, którego kok przypominał morską muszlę. Pewnego dnia, kiedy siedziałem sobie u stóp drzewa, modliłem się i medytowałem, jakiś ptaszek wziął mój kok za gniazdo i złożył w nim jajeczka. Kiedy otworzyłem oczy, uszczęśliwiony ujrzałem samiczkę wysiadującą jajka w moim koku. Postanowiłem wówczas przedłużyć stan mojej ekstazy i pozostać tam bez ruchu do czasu, aż piskłeta będą mogły wyfrunąć z gniazda...

W czasie moich poprzednich istnień dane mi było zrozumieć, że dar uczyniony z siebie jest zawsze największym ze wszystkich bogactw.

Pod nazwiskiem Wiśwantara byłem księciem, który złożył przysięgę, iż nigdy nikomu nie odmówi żadnej łaski. I tak,

* Budda (sanskryt) — oświecony, przebudzony.

wbrew woli mojego ojca, króla Sibi, podarowałem pewnemu biedakowi białego królewskiego słonia, który służył mu za wierzchowca i maskotkę, za co wraz z całą rodziną zostałem skazany na wygnanie. Długo błakaliśmy się po lesie na wózku ciągniętym przez dwa bawoły, który w końcu także podarowałem pewnej wiejskiej rodzinie razem z zaprzęgiem. Kiedy dotarliśmy do pustelni, zgodziłem się — co prawda pod nieobecność mojej żony Madri, która poszła zerwać kilka owoców w sadzie — oddać mojego syna Dżali i moją córkę Krisnadżinę pod opiekę żebraka o imieniu Dżudzaka. Kiedy moja żona wróciła z mnóstwem owoców mango, zgodziłem się dać ostatnią, najcenniejszą rzecz, jaka mi pozostała, i podarowałem ją — choć bardzo tym przygnębiony — pewnemu braminowi... który okazał się być bogiem Indrą we własnej osobie. Zadowolony, że dochowałem wierności przysiędze, odprowadził mnie do mojego ojca i pozwolił odzyskać wszystko to, co przedtem rozdałem na prawo i lewo.

Kiedy wrócił do nas biały słoń, każdy mógł zauważyć, że to święte zwierzę, nie tylko przynosi szczęście, ale też ma zdolność sprowadzania deszczu...

W innym, wcześniejszym życiu, będąc królem, zgodziłem się podarować trochę swojego ciała sokołowi — jego postać przybrał bóg Indra — który groził, że zabije gołębia o piórach błękitnych jak niebo i oczach różowych jak perły, pod którym to przebraniem ukrywał się inny bóg. Sokół domagał się mięsa ważącego tyle, ile wyniesie ciężar gołębia. Kiedy położono gołębia na wadze, ważył tak dużo, że musiałbym oddać całe swoje ciało, by uratować mu życie! Już miałem się zgodzić, kiedy w ostatniej chwili Indra zrzucił z siebie sokole pióra, jak zdejmuje się płaszcz, i pogratulował mi tak wielkiej hojności.

Bardzo dawno temu byłem białym słoniem wyposażonym w trzy pary wspaniałych kłów, podobnych do korzeni nenufaru.

Pewnego dnia, kiedy przechadzałem się w towarzystwie moich dwóch małżonek, przez nieuwagę potrafiłem wspaniałe drzewo, z gałęziami obsypanymi kwiatami. Przypadek sprawił,

że pierwsza z moich żon tonęła w kwiatkach, podczas gdy druga, niestety, musiała zadowolić się gałązkami i martwymi liśćmi.

Była bardzo zazdrosna, lecz zdołała odrodzić się w ciele królowej Waranasi, która wysłała do mnie myśliwego przebranego za mnicha i rozkazała mu mnie zabić. Kiedy skromnie trzymałem się na tyłach stada, które przyprowadziłem do kąpieli nad staw zarośnięty nenufarami, przebrany za mnicha myśliwy wystrzelił zatrutą strzałę prosto w moje serce! Ból był tak wielki, że omal nie rzuciłem się na niego, by pogruchotać mu kości na drobne kawałki.

Jednak „chodząca góra”, jaką byłem, zdołała się opanować i uspokoić. Nie tylko nie pragnęła zemsty, lecz wprost przeciwnie, aby zadowolić swojego kata, wyrwała sobie sześć kłów i podarowała je całe zakrwawione myśliwemu, a ten uciekł co sił w nogach, oddając cześć wspaniałomyślnemu zwierzęciu.

Kiedy nadeszła chwila śmierci, wiedziałem, że po opuszczeniu cielesnej powłoki tego białego słonia mój duch zostanie wezwany, by odrodzić się w postaci przyszłego Buddy.

W jeszcze innym wcześniejszym życiu byłem także królem jeleni, który panował nad stadem pięciuset zwierząt. Pewnego dnia, na polowaniu, władca Benares zapragnął zabić ciężarną łanię. Nasze stado otoczone zostało przez psy, a gończi zbliżali się już z pikami do leżącej na ziemi łani, wyczerpanej gonitwą. Wtedy zaproponowałem mu siebie zamiast niej, bo wkrótce miała się ocielić. Jakież było moje zdziwienie, kiedy w odpowiedzi na moją propozycję monarcha pochylił się nisko do moich stóp na znak wdzięczności, po czym rozkazał dowódcy łowieckiego orszaku, by darował mi życie.

Nie jestem bynajmniej dumny z tych gestów współczucia i poświęcenia, które wykonałem w moich wcześniejszych wcieleniach. Nie goniłem za tymi zasługami. Zawsze postępowałem zgodnie ze swoim sumieniem, bezinteresownie, niczego nie kalkulowałem, moją jedyną troską było nie czynić zła. Nie powodowała też moimi postępkami nadzieja na odrodzenie się w jakiejś godnej postaci.

Moje wcześniejsze gesty i postęпки tłumaczą stan, w jakim znajduję się dzisiaj, którego także nie szukałem: stan Oświeconego bodhisattwy, który wkrótce stanie na progu nirwany.

Wkrótce, jeśli do tej pory wytrwam, stanę się Buddą.

Obyście także wy, wszyscy i wszystkie, mogli stać się nim pewnego dnia! Ponieważ Szlachetna Ścieżka otwarta jest dla wszystkich. Wystarczy być świadomym tego, co ona nam daje, wówczas trzeba tylko podjąć decyzję i nią podążyć.

Weźcie więc przykład ze mnie! Nie jestem ani nadczłowiekiem, ani czarodziejem. Jestem tylko człowiekiem, takim jak inni ludzie, któremu dane będzie doznać Oświecenia.

Przebudźcie się!

Mogę was zapewnić, że nie będziecie rozczarowani.

21

Powrót Anandy

Ponownie otwieram oczy.

Odnoszę wrażenie, jakbym powracał na ziemię po długiej podróży.

A tu niespodzianka tak samo niesłychana, jak nieoczekiwana! Kogo bowiem widzę pochylonego nade mną? Czyja twarz jest tak blisko mojej, że czuję oddech tego człowieka?

To nikt inny, tylko Ananda we własnej osobie!

Tak! Mój ukochany kuzyn i ja wreszcie się odnaleźliśmy! To prawdziwy cud po tak długich poszukiwaniach. Moja radość nie ma granic.

Wcale się nie zmienił. Tylko jego twarz jest nieco chudsza i skóra bardziej ogorzała od wiatru i słońca.

- Ananda! Jakie to szczęście, że spotykamy się tu, pod Drzewem Prawdy! Tak długo czekałem na tę chwilę!
- Przez cały ten czas szukałem cię wszędzie, ale na próżno. Już traciłem nadzieję, że kiedyś nasze drogi się spotkają! Żaden z mędrców i żaden z ascetów, których o ciebie pytałem, nie potrafił przekazać mi jakichkolwiek wieści o tobie i miejscu twojego pobytu. Zniechęcony, zamierzałem się poddać! — wykrzykuje mój kuzyn i z czułością całuje moje kolana.
- Co w tej sytuacji zamierzałeś zrobić?

- Wróciłbym do Kapilawastu i pewnie bym się ożenił, próbując jakoś to usprawiedliwić.
- Rozumiem...
- Zapewne uznasz to za brak konsekwencji. Przecież zamierzałem ci towarzyszyć... Tylko gdzie ty się podziwiałeś?
- Chodziłem tu i tam, szukając Prawdy!
- Czy ją znalazłeś?
- Przyszła do mnie sama!
- Jak tego dokonałeś?
- Żebrząc...
- Cały dzień obserwuję cię ukryty za tą wielką okrągłą skałą.
- Dlaczego nie pokazałeś się wcześniej?
- Nie chciałem ci przeszkadzać... Siedziałeś na tej kupce skoszonej trawy taki cichy i skoncentrowany, w pozycji lotosu, z zamkniętymi oczami... Twoje ciało otaczała świetlista aureola... Patrzyłem na ciebie w osłupieniu, niezdolny do jakiegokolwiek gestu!
- Od wielu dni medytuję tak pod tym figowcem pipal.
- Bez jedzenia i picia?
- Wczoraj wieczorem jedno z tych miłych dzieci przyniosło mi miseczkę zupy z soczewicy. Na nic się nie zda nadmierne głodzenie się i umartwianie.
- Mówisz, jakbyś już tego doświadczył.
- Poszukując Ścieżki, próbowałem się umartwiać; zdarzyło mi się trwać w pozycji lotosu przez dwa tygodnie, niczego nie jedząc, nie oddając nawet moczu, została ze mnie tylko skóra i kości. Moje członki były tak wychudzone, że przypominały łodygi trzciny. Mój tyłek, który upodobił się do kopyta wielbłąda, bolał mnie, kiedy siadałem na ziemi. Kości mojego kręgosłupa tworzyły na moich plecach upiorny sznurek koralowy, a żebra sterczały z moich boków jak szkielet popadającego w ruinę domu. Kiedy dotykałem swojego brzucha, przez skórę czułem kręgosłup. Ponieważ ćwiczyłem wstrzymywanie od-

dechu, mogłem długo nie otwierać ust. Niejeden raz uznano mnie za zmarłego.

— Tak skrajne upodobanie do ascetyzmu to prawdziwe przekleństwo! Można by pomyśleć, że umysł domaga się cierpienia ciała! — wyszeptał przerażony Ananda, jakby do siebie.

Z niesmakiem przypomniałem sobie Wielkiego Jogina Kalamę z okaleczoną ręką i okropny smród panujący w jego izbie.

Powiedziałem do Anandy:

- Te praktyki nie przyniosły rezultatu. Mimo całego poświęcenia nie udawało mi się osiągnąć drugiego stadium medytacji *dhyana*! Z czasem, dzięki rozmyślaniom, a zwłaszcza wędrówkom po drogach, z głową uwolnioną od myśli, zrozumiałem, że aby osiągnąć Świętość i dojść do Prawdy, należy raczej ujarzmić umysł, niż umartwiać ciało. Ale powiedz mi teraz, jak mnie odnalazłeś?
- Doprowadziła mnie chyba do ciebie ręka jakiegoś boga, Siddhartho! Tego ranka, kiedy zamierzałem powrócić do Kapilawastu ze spuszczoną głową, dostrzegłem na szczycie wzgórza to drzewo o wielkich i poskręcanych gałęziach, widoczne na tle nieba zalanego oślepiającym światłem wschodzącego słońca. Gałęzie przypominały tysiące ramion jakiegoś dobrego bóstwa. Poczułem, że ten figowiec nieodparcie mnie przyciąga. Dominował nad laskiem zarośniętym różnymi gatunkami roślin czczonych przez braminów, jeśli sądzić po wieńcach wiszących na drzewach...
- Wspaniały z ciebie gawędziarz, mój drogi Anando!
- Kiedy tu dotarłem, spytałem dzieci, jak nazywa się miasto, którego dachy prześwitywały w dole przez gęstwinę liści...
- To miasto nazywa się Uruwilwa!
- Tak odpowiedział mi jeden zasmarkany dzieciak, tak czarny od brudu, że tylko białe zęby błyskały w jego śmiejącej się twarzy.

o tysiącu ramion, czy zaczarowanej ciszy tego miejsca, ale poczułem radość i ukojenie!

- Takie samo, jakiego doznałem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem to drzewo...
- Kiedy podszedłem do figowca, nie wiedziałem, że siedzisz po drugiej stronie pnia. To dzieci skłoniły mnie do obejścia go, i wtedy cię ujrzałem.
- Poznawałem wtedy Prawdę!
- Widząc wyraz twojej twarzy, od razu zrozumiałem, że doświadczasz czegoś niezwykłego.
- Zostałem Oświeconym, Anando, a ty będziesz pierwszym, któremu wyjawię Szlachetną Prawdę... Kiedy ją usłyszysz, będziesz mógł, jeśli tego zapragniesz, powrócić do fortecy i zająć się własnym życiem...
- Obyśmy już nigdy się nie rozstawali, Siddhartho! Pójdę z tobą wszędzie tam, dokąd ty pójdiesz, jak pierwszego dnia. Życie z dala od ciebie byłoby nie do zniesienia. Chcę nadal wędrować po drogach. Sam pragnę odnaleźć Ścieżkę, która prowadzi do przzerwania cierpienia!

Mówiąc to, Ananda łapie mnie za rękę, jak tonący chwytając się gałęzi zwieszającej się nad wodą.

Wstaję.

Nieopodal wiekowego figowca, między innymi drzewami o gałęziach pokrytych błyszczącymi amuletami, dzieci grają w szklane kulki i pokrzykują radośnie.

— Chodźmy do moich uczniów! Czekają na mnie w lesie Rsiptana, gdzie założyli obóz.

— Masz więc uczniów? — dziwi się Ananda.

Spoglądam na niego. Wydaje się dotknięty do żywego, jakby uważał za niesprawiedliwe, że inni zdążyli dołączyć do mnie w czasie, kiedy my dwaj byliśmy rozdzieleni.

- Przyłączyło się do mnie pięciu mężczyzn. Poprosiłem ich, żeby czekali na mnie, aż doznam Oświecenia pod drzewem Bodhi. Nie mogę ich teraz opuścić...
- Jak się nazywają?

- Są to trzej bracia z rodu Kaśjapa i dwaj inni: jeden Subhuti, a drugi Malunkjaputta. Wszyscy wędrują i żebrzą razem ze mną.
- Czego ich nauczasz?
- Mojego sposobu widzenia rzeczy.
- A dlaczego nie ma ich tu przy tobie pod tym figowcem?
- Aby doznać Oświecenia, musiałem być sam. Medytacja wymaga przebywania sam na sam ze sobą. Zresztą moi uczniowie doskonale to zrozumieli.
- W takim razie może ci przeszkodziłem? Powinienem być bardziej dyskretny.
- Z tobą jest inaczej! — odrzekłem i zobaczyłem, jak jego twarz się zmienia.

Promieniała teraz jasnym, szczerym uśmiechem.

Pod koniec popołudnia doszliśmy do lasu Rsiapatana*, gdzie czekali na mnie moi towarzysze. Dzięki zakazowi polowań to miejsce stało się rajem dla gazeli. Przywykłe do widoku ludzi zwierzęta przychodzą tu i spokojnie pasą się pod mangowcami i olbrzymimi akacjami.

To tutaj, w dwóch szałasach zbudowanych z trzciny, moi uczniowie obozują, czekając, aż do nich przyjdę.

Kiedy ich dostrzegam, wołam:

— Przyjaciele moi, mam nadzieję, że się o mnie nie niepokoiliście! Wszystko poszło dobrze! Przedstawiam wam mojego kuzyna Ańandę, o którym wam często opowiadałem.

Początkowo przyglądają mi się nieufnie. Ich wychudłe twarze o błyszczących oczach i krwawiące rany na ich nagich ciałach świadczą o cierpieniach, jakie zadali sobie podczas mojej nieobecności.

— Osiem długich dni bez żadnych wieści o tobie! Przyznaj sam, że to dużo jak na zwykłą medytację pod figowym drzewem! — odpowiada z goryczą najstarszy z braci Kaśjapa.

* Las Rsiapatana — miejsce na przedmieściach Benares, szerzej znane jako Jeleni Park, w którym Budda wygłosił swoje pierwsze kazanie (tzw. Kazanie z Benares).

— Nie dbasz o nas, Siddhartho! Nie schudłeś ani grama, a chcesz, żebyśmy uwierzyli, iż odbyłeś tam transcendentálną medytację! — dodaje Subhuti, tonem niepasującym do jego zazwyczaj zrównoważonego charakteru.

— A na dodatek delektujesz się teraz miską ryżu z mlekiem i cukrem, podczas gdy my prześcigamy się w wymyślaniu umartwień i postu, żeby poznać Niewysłowioną Prawdę — stwierdza trzeci, spoglądając na miskę *kummasy**, którą trzy mam w ręce.

Odpowiadam mu:

- Nie chciałem odrzucić tej miski *kummasy*, podanej mi przez pewną kobietę, bo kiedy ciało zbytńo cierpi, nie można medytować.
- Wygląda więc na to, że napychałeś się bez przerwy, kiedy my zamartwialiśmy się, czekając na ciebie w tym lesie¹. Czy możesz nam udowodnić, że przez cały czas siedziałeś pod figowcem, zamiast pójść do pierwszej oberży, by najeść się do syta koziego mięsa i zabawić się w ramionach kurtyzan? Mam wrażenie, że czuć od ciebie ich perfumy! — wykrzykują chórem Malunkjaputta i średni z braci Kaśjapa, jeszcze bardziej zły od pozostałych.
- Udowodnij nam, że doznałeś Oświecenia i że powróci tu spokój! — konkluduje najmłodszy Kaśjapa, gestem ręki nakazując milczenie swoim towarzyszom.

Widzę konsternację na twarzy Anandy.

- Jest świadek Oświecenia Siddharthy Gautamy! — rzuca im w odpowiedzi mój kuzyn.
- A kto to był? — pytają chórem.
- Ja sam! Byłem tam przez cały dzień i jedną noc! Widziałem, jak w samej chwili Oświecenia ziemia zatrzęsła się pod świętym figowcem! Jego ciało świeciło jak lampa. Nazajutrz rano znalazłem go siedzącego z otwartymi oczami, w pełni świadomego, z promiennym uśmiechem. Przyglądałem się

* *Kummasa* — potrawa z ryżu na mleku.

jego Oświeceniu i uszlachetnieniu jego osoby. Siddhartha Gautama potrafi odtąd opowiedzieć wam o Ścieżce do Wyzwolenia — oświadczył Ananda.

— Przysięgnij nam, że nie powrócił do świata uciech! — krzyczy średni Kaśjapa.

Wpatrzony w samiczkę gila, skaczącą z gałązki na gałązkę, modłę się żarliwie, by moi towarzysze odzyskali rozum.

— Nie, nie wrócił do świata uciech — zapewnia Ananda tych ludzi w łachmanach.

Jednak ich sarkazm nie słabnie.

Co za paradoks: moi pierwsi uczniowie, którzy dotychczas spijali z moich ust każde słowo, teraz stali się wrogo nastawionymi sceptykami!

Słyszę, jak szepcą:

— Gautama nie mówi prawdy! Gautama był w oberży! Gautama zadał się być może z prostytutką!

W tych sarkastycznych słowach słyszę strach, że zostali opuszczeni przez tego, któremu zaufali, i wyrzucam sobie, że byłem nieobecny dłużej, niż zamierzałem.

Jednak w chwili gdy gotów jestem do nich przemówić, przeprosić za twogę powstałą w ich sercach, z ust Anandy, jak strzały z łuku, wylatują takie oto słowa:

— Drzyjcie i czcicie go, wy żałośni mnisi! Ten, który przed wami stoi, jest odtąd Oświecony. Już prawie nie należy do tego świata. Nie nazywajcie go więcej Gautama, lecz Najświętszym Tathagatą* albo Buddą na drodze do spełnienia.

— Niech do nas przemówi! Niech powie, co w nim siedzi, a wszystko będzie w porządku! — odpowiada Subhuti, który pierwszy doszedł do wniosku, że pozostali nieco przesadzili.

— No to nastawcie uszu i posłuchajcie jego kazania, przypowieści o Prawdzie! — wzywa donośnym głosem Ananda.

— Jesteście bandą głupców, podążających fałszywą drogą.

* Tathagatą (sanskryt) — dosł. „ten, który tak odchodzi”, jako jedno z określeń Buddy.

Jestem pewien, że Ananda mówi prawdę. Gautama i Oświecony są odtąd jedną osobą. Ja chcę usłyszeć Prawdę z jego ust! Czego żąda w zamian? Niech sam powie! Jedno słowo wystarczy, bym we wszystkim mu się podporządkował! — wykrzykuje uroczystym tonem najmłodszy z braci Kaśjapa, jedyny z moich uczniów, który nie stanął przeciwko mnie. Mówię więc tak:

— Przestałem mówić: „ja chcę”. Pragnę tylko jednego: dobra innych, wyzwolenia dla wszystkich; niech wreszcie przestaną cierpieć!

Słyszając moje słowa, Subhuti pochyła się do moich stóp, następnie ściąga ze mnie *kasayę**, otrzepuje ją z kurzu, wyjmuje mi z rąk żebraczą miskę do połowy napełnioną *kummasą*, po czym podaje kubek czystej wody, bym mógł ugasić pragnienie.

— Gazela zdołała ujarzmić lwy! — triumfuje Ananda.

— Mądre słowa! Mędrzec przemawia przez twoje usta, Anando — przyznaje najstarszy z braci Kaśjapa.

— Jestem pewien, że sam nie wierzyłeś w siłę swoich słów, Anando.

— Spójrzcie tylko, moi bracia, co ku nam idzie! — dodaje uczeń Subhuti, wskazując wychodzącą z bambusowych zarośli rodzinę danieli.

Zwierzęta kierują się w naszą stronę, drepcząc po grubym dywanie soczystej trawy. Ponownie zabieram głos:

— Popatrzcie na te danielle! Spójrzcie, jak na wolności swawolą w lesie. Pełne ufności podchodzą, skubią trawę i kładą się, ponieważ czują się bezpieczne. Podobnie jest ze mną: po odbyciu czterech medytacji *dhyana* wreszcie osiągnąłem Oświecenie na przekór wszystkim grzechom, które zagradzały mi drogę do Jedynej Prawdy. Zostały wciągnięte w otchłań Niebytu. A zatem mówię wam: bierzcie przykład ze mnie! Zaufajcie! Nie lękajcie się!

* *Kasaya* — górna część szaty mnichów buddyjskich.

— Pochylicie głowy i niech zagości w nich Pustka, bo oto jest Koło Prawa, które Oświecony zamierza wprawić dla was w ruch. Przekaze wam też Klucz do Świata, który powiedzie was do Wyzwolenia! — woła Ananda.

Na polanie lasu Rsipatana panuje teraz niewzruszona cisza, każdy ze spuszczoną głową czeka na moje pierwsze Wielkie Kazanie.

Kiedy usłyszą je wszyscy moi uczniowie, pokój zagości w ich sercach.

Bo jestem tu, wśród nich, gotów do nich przemówić.

Wprawiam w ruch Koło Prawa

Wysadzana krzewami kasji aleja prowadząca do wejścia do Ogrodu Gazeli Sarnath zabarwia lazur nieba jaskrawoczerwonymi błyskami, jakby drzewa i niebo, pod którymi z piskiem przelatują trznadłe, zmówiły się, by uczcić Oświeconego, którym się stałem.

Siedzicie przede mną jak uczniowie, a ja przyjąłem pozycję lotosu.

Wszyscy macie spuszczone oczy.

Mówię:

- Bez obawy możecie podnieść na mnie wzrok. Jestem gotów przemówić!
- Spójrzcie na jego włosy: błyszczą jak wypolerowany jaspis, popatrzcie na jego harmonijne ciało; skóra lśni jak złoto! Słuchajcie teraz uważnie tego, co Oświecony Gautama ma wam do powiedzenia! — wykrzykuje Ananda, któremu nakazuję wzrokiem milczenie.

Nie lubię przesady.

Oświecony nie jest bogiem, jest tylko człowiekiem, który nieco lepiej zrozumiał, co należy robić, by uniknąć smutnego losu.

Zaczynam mówić, podczas gdy daniela, jelenie i gazele

przechadzają się swobodnie jak zwykle między drzewami, nie zwracając uwagi na ludzi przybyłych w to miejsce dla odetchnięcia chłodem poranka. Rosnące w lesie akacje, mangowce, drzewa tekowe i cynamonowe tworzą szpalery podobne do kolumnady świątyni bez ścian, a ich korony stanowią dach. A więc powiadam:

— Położenie wszelkich istot wywodzi się z Czterech Szlachetnych Prawd: Szlachetnej Prawdy o tym, że cierpienie istnieje, Szlachetnej Prawdy o jego przyczynach, Szlachetnej Prawdy o tym, że można uniknąć cierpienia, i wreszcie Szlachetnej Prawdy o tym, jak to zrobić.

Powiadam:

— Życie jest cierpieniem, od narodzin do śmierci — oto Pierwsza Prawda; cierpienie rodzi się z pragnienia i pożądania — to Prawda Druga; tylko wyzbycie się pragnienia i pożądania może doprowadzić do kresu cierpienia — oto Trzecia Prawda! Jeśli chodzi o Czwartą, umożliwiającą osiągnięcie trzech poprzednich, nazywam ją „Szlachetną Ośmioraką Ścieżką” albo „Środkową Drogą”. To droga prowadząca do ustania cierpienia i do ostatecznego wyzwolenia, do wyjścia z samsary. Spośród dwóch skrajnych dróg, to jest drogi pokusy, przyjemności i rozkoszy doczesnych, tak materialnych, jak cielesnych, i drogi umartwień, cierpienia i pokuty, które człowiek zadaje sobie, wierząc, że prowadzi do Prawdy, podczas gdy wywołują jedynie obrzydzenie do samego siebie, wzywam was do wyboru Środkowej Drogi. Jest ona remedium na ignorancję, cierpienie oraz odradzanie się i prowadzi do nirwany.

Powiadam:

— Albowiem, drodzy przyjaciele, istnieje obszar, w którym nie ma ani ziemi, ani wody, ani ognia, ani przestrzeni, ani świadomości, ani nicości, ani doznań, ani ich braku, ani tu, ani tam, ani słońca, ani księżyca; w obszarze tym nie można chodzić, nie rodzi się w nim i nie umiera; jest pozbawiony

fundamentów i podpory; obszar ten nazywam „kresem cierpienia”, nazywam go także „nirwaną”. Do tego właśnie obszaru pragnę was zaprosić. Powiadam wam:

— Przyczyną wszystkiego jest niewiedza, a jej konsekwencją — cierpienie.

Powiadam:

— Wyobraźcie sobie las u stóp wysokiej góry, a w nim głębokie jezioro, na którego brzegu żyje stado dzikich zwierząt. Przybywa tam pewien człowiek zyczący im nieszczęścia i cierpienia: zagradza drogę, którą mogą bezpiecznie przechodzić, i otwiera inną, prowadzącą na bagna. Zwierzęta zginą niechybnie. Ale jeśli dotrze tam człowiek, który dobrze im życzy, wskaże bezpieczną drogę i zagrodzi tę prowadzącą na bagna, wówczas stado rozmnoży się i przetrwa.

Powiadam:

— Drodzy moi przyjaciele, to głębokie jezioro to przyjemność, tym stadem są ludzie, człowiekiem, który źle życzy stadu, jest Mara — bóg zła, a drogą prowadzącą na bagna jest droga rozkoszy, pragnienia i ignorancji. Tym człowiekiem, który dobrze życzy, jest człowiek, który pewnego dnia zostanie Buddą! Bezpieczna droga jest Szlachetną Ośmioraką Ścieżką. To Środkowa Droga, droga właściwego poglądu i słuszných postanowień, czystego języka i czystych czynów, doskonałych wysiłków, słuszných dążeń skupienia uwagi i doskonałej medytacji!

Powiadam:

— Jeśli wszystko jest tylko cierpieniem, wszystko jest również tylko niestałością i niebytem.

Powiadam:

— Wszystkie istoty, wszystkie rzeczy i zjawiska są wynikiem chwilowych i ulotnych wyobrażeń, które tworzą się i znikają. Przeciekają nam przez palce jak woda i piasek, kiedy chcemy pochwycić je w ręce.

Powiadam:

— Przywiązanie do tego, co z natury rzeczy jest nietrwałe, prowadzi nieuchronnie do cierpienia, ponieważ zdaje nam się, że mamy coś, czego nigdy nie posiadziemy.

Na koniec mówię:

— W obliczu cierpienia, nietrwałości i niebytu, czyli anatmana, tylko nirwana jest ratunkiem!

Milknę i otwieram oczy.

Ponieważ do gapiów, mężczyzn, kobiet i dzieci przybyłych do lasu Rsipatana, przemawiałem językiem ludu, a nie braminów, wkrótce dołączyły do nich i skupiły się wokół mnie także daniela i gazele, bardziej oswojone niż zwierzęta domowe.

Po oczach ludzi poznałem, że moje słowa ich przekonały.

Wielu z nich padło na kolana i błagało o błogosławieństwo.

— Straciłam dziecko! Ten święty mąż mówi prawdę: świat jest tylko cierpieniem! — jęczy jakaś kobieta, której od długiego płaczu zabrakło łez.

— Mam starych rodziców, których nie jestem już w stanie wyżywić! — krzyczy chłop niewolnik, o ciele chudym jak liany.

— Ziemia rozwarła się pod moim domem i pozbawiła mnie dachu nad głową!

— W mojej rodzinie wszyscy chorują... Gorączka pali ciała moich braci i siostr.

Rozlegają się inne wołania:

— Nigdy czegoś takiego nie słyszałem!

— Ten człowiek jest chyba święty!

— Jego spojrzenie działa kojąco! Wydaje się taki spokojny w porównaniu z joginami, których płonący wzrok poraża...

Jedni składają u moich stóp talerze z ciastem na miodzie, inni kwiaty lotosu.

Teraz Ananda zabiera głos i krzyczy:

— Oświecony wskazuje wam drogę do Wyzwolenia. Błogo sławi was! Niech będzie chwała jego słowom! Ci, którzy za nim podążą, będą uratowani!

— Niech będzie pochwalony! Chwała Szlachetnej Ośmio-rakiej Ścieżce! — odpowiadają chórem moi uczniowie, podczas gdy tłum z wolna się rozchodzi.

Siedzący na trawie uczniowie wchłonęli każde moje słowo.

Oto jak wprowadziłem w ruch Koło Prawa, Koło Świata, które udało mi się poruszyć i przesunąć ze strefy „cierpienie” do strefy „wybawienie”!

Oby wszystkie istoty mogły z tego skorzystać!

23

Jasa i Ambapali

Jedna z wiewiórek, odważniejsza od innych, zbliża się do owocu mango, który właśnie spadł na ziemię. Uroczy mały gryzoń ciągnie z trudem swoją zdobycz, podczas gdy jego współbracia usiłują mu ją odebrać.

Obserwuję je, siedząc na cembrowinie wielkiej pralni w miejscowości Patna.

Stoją na małych tylnych łapkach i pocierają przednie jedna o drugą, jakby gratulowały sobie takiej gratki.

Zebrany wokół mnie tłum spokojnie czeka, aż do niego przemówię.

Pobożni ludzie utworzyli kolejkę, chcąc włożyć swoje dary do wiklinowego koszyka trzymanego przez Anandę.

— Chciałbyś dostać się do nurtu, nieprawdaż?

Kieruję to pytanie do bogato odzianego mężczyzny, który zdjął obuwie i nieśmiało przysiadł obok mnie.

— Skąd o tym wiesz? To prawda, pragnę, aby mój umysł poznał Dharma... — wybąkał.

— Zrozumiałem to, ledwo zobaczyłem twoją twarz.

— Bije od ciebie taki spokój i pogoda ducha tak głęboka, że wydają się namacalne. Stojący wokół ciebie ludzie nic nie mówią. Wszyscy obserwują cię, jakbyś miał taką moc oczysz-

czającą jak ta pralnia! Tak, chciałbym bardzo dostać się do nurtu!
— dodaje mężczyzna o imieniu Jasa.

Pozwólcie, że opowiem wam teraz, jak Jasa nawrócił się i podążył za mną, ponieważ historia tego człowieka może posłużyć za przykład.

Urodziwy Jasa był synem bogatego notabla z Waranasi i prowadził życie wypełnione wyłącznie cielesnymi rozkoszami. Piękne ciało i pieniądze ułatwiały mu oczywiście taki tryb życia. Nie było kobiety, która oparłaby się jego męskim atutom i ogromnej fortunie.

W komnacie Jasy unosił się zawsze delikatny zapach róży i jaśminu.

— Proszę cię, pieść mnie jeszcze! Przepadam za takimi pieścizotami! — jęczał tego dnia wbrew swoim zwyczajom piękny Jasa do ucha kurtyzany Ambapali.

Kobieta leżąca przy nim na haftowanych poduszkach w nie-
dbalej pozie była naga, a jej wzgórek łonowy był dokładnie wydepilowany.

Nie muszę chyba dodawać, że Jasa zaliczał się do najlepszych klientów domów uciech, tak licznych w Waranasi.

Ten piękny młodzieniec za punkt honoru postawił sobie doprowadzanie do ekstazy pachnących ciał, które skwapliwie odpowiadały na jego pieścizoty. Potrafił grać na nich jak na instrumentach; pod jego zręcznymi palcami sutki kobiet twardniały, a brzuchy napinały się i drżały. Dzięki tym wyszukany
zabiegom rozchylały się uda kochanek i jednocześnie otwierały się różowe wargi ich rozkosznych bram.

Taki ekspert w miłości jak Jasa tylko czekał na te oznaki pożądania.

Po długich pieścizotach kobietom spieszo było, by wtargnął w nie jego nabrzmiały członek, sterczący lingam. Lecz Jasa przedłużał przyjemność tak długo, aż kochanki błagały go, by skończył, jakby modliły się do boga. Wiedział doskonale, że im dłużej poczeka, zanim zaszczyci je swoim nasieniem, tym rozkosz partnerek będzie intensywniejsza.

Traktował miłość cielesną jak tajemny ceremoniał, podczas którego panował nad rozkoszą kobiety całkowicie uzależnionej od jego przyjemności.

Metoda była tak niezawodna, że kochanki tego niezmordowanego amanta na ogół wkrótce się w nim zakochiwały.

Tym razem było jednak inaczej.

Teraz Jasa zdany był na pieszczoty Ambapali, która wiodła prym w miłosnej sztuce.

Miał ochotę ją pieścić, ale to ona poddawała go najbardziej wyszukany karesom.

Trzeba przyznać, że piękna Ambapali potrafiła dać zapomnienie mężczyznom płacącym wysoką cenę za jej niezrównane usługi, i bez skrupułów brała od nich pieniądze.

Swoim klientom nie pozostawiała zbyt wiele inicjatywy. Kiedy przyjmowała ich w swojej komnacie, zawsze była naga i wystawiała swoje doskonałe wdzięki na pożądliwe spojrzenia klientów, oślepionych widokiem jej perłowej skóry i blaskiem wspaniałych klejnotów, których nigdy nie zdejmowała.

Jasa również oniemiał z wrażenia.

Nie zwlekając, kurtyzana zaczęła zdejmować z niego ubranie i wzięła do ręki jego członek.

- Czego pragniesz najbardziej? Potrafię wszystko, kochanie. Wystarczy, że ładnie poprosisz — szeptała do ucha temu zazwyczaj bardzo energicznemu mężczyźnie, teraz onieśmionemu jak prawiczek, jednocześnie liżąc delikatnie jego pępek.
- Chcę pieszczoty twoich ust, Ambapali. Czy zrobisz to dla mnie?
- W ramionach Ambapali nie ma rzeczy niemożliwych! Wszystko zależy od ceny! — odpowiedziała, puszczając do niego oko i wyciągając język w stronę lingama Jasy.

Podwoił więc hojnie kwotę, którą położył na nocnym stoliku zaraz po wejściu do jej komnaty.

— Umieram z rozkoszy! — wyszeptał, wijąc się jak robak, kiedy Ambapali zabrała się do dzieła.

Po kilku wprawnych ruchach kurtyzany Jaso osiągnął orgazm, mimo że z całych sił próbował się powstrzymać.

- Podobało ci się? Było ci dobrze? — dopytywała się zaniepokojona dziewczyna.
- Zazwyczaj to ja prowadzę grę... Ale ty jesteś bardzo zdolna!
— odparł lekko zażenowany uwodziciel.
- To kwestia doświadczenia. Za to wy, mężczyźni, jesteście wszyscy tacy sami! — odparła, wybuchając śmiechem.
- Ile ci dać jeszcze pieniędzy? Naprawdę zasługujesz na nagrodę.
- To, co dała ci Ambapali, jest bezcenne, o Jaso, i nie znajdziesz tego gdzie indziej!
- Pieniądze nie stanowią dla mnie problemu! Jeśli zgodzisz się, bym odwiedził cię także jutro w twoim łóżu, zarobisz więcej niż przez cały miesiąc! — trochę niezręcznie zapewnił piękny Jaso, którego słowa i fałszywie nonszalancki ton spowodowały, że ślicznotka odpowiedziała z obrażoną miną:
- Jutro przygotuję łóżo dla innego. Nie chcę się przyzwyczajać. Mogę przecież wybierać.

Niespodziewanie, jakby dalsze odgrywanie komedii było zbyt bolesne, Ambapali spuściła z tonu: zmieniła się na twarzy i wybuchnęła płaczem.

— Co ci się stało? Co się dzieje? Jeśli cię uraziłem, przyjmij moje przeprosiny, proszę! Nie chciałem sprawić ci bólu! — wybąkał Jaso, nie rozumiejąc naglej zmiany w jej zachowaniu.

Nie odpowiadała. Rozszlochała się na dobre, a jej pięknym ciałem wstrząsały spazmy. Wyglądała jak mała dziewczynka przyłapaną na gorącym uczynku.

— Otwórz przede mną swoje serce, Ambapali! Powiedz mi, dlaczego jesteś smutna? — nalegał Jaso, klękając przed nią.

Uznał, że jest jeszcze piękniejsza, kiedy jej oczy błyszczą od łez.

Ujął jej rękę i ścisnął delikatnie w nadziei, że zdoła dziewczynę pocieszyć.

- Po raz pierwszy tak płacę w obecności klienta. Nie

poznają samej siebie! Od rana nie mam humoru — wyszeptala, drząc.

- Co takiego mogło doprowadzić cię do tego stanu?
- Na skrzyżowaniu, na drodze prowadzącej do tego domu schadzek, mój wzrok napotkał spojrzenie pewnego mężczyzny, które wstrząsnęło mną do głębi. Kiedy ty i ja kochaliśmy się, wciąż czułam na sobie jego wzrok... — wyjaśniła.
- A kto to był?
- Asceta o imieniu Siddhartha Gautama. Szedł prawie nagi i mówił rozentuzjazzmowanemu tłumowi, w jaki sposób uniknąć samsary. Kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się, ale jego oczy przeniknęły mnie na wylot jak dwa sztylety.
- Pełno jest takich jak on. W tym mieście roi się od oświeconych. Można by pomyśleć, że nastala na nich moda.
- Ten nie przypominał innych. Głosił wyrzeczenie się wszystkiego. A mnie daleko do tego... Jeśli chcesz wiedzieć Jaso, nagle poczułam straszny wstyd!
- Co dokładnie powiedział ci ten Siddhartha Gautama?
- Nic. Wystarczyło, że na mnie spojrzal. Nie mógł nie zauważyć, kim jestem. Niczego nie noszę pod suknią i jestem wyzywająco umalowana. W jego wzroku nie było jednak najmniejszego wyrzutu, żadnego niedomówienia...
- W takim razie dlaczego jesteś tak zbulwersowana?
- W spojrzeniu Siddharthy Gautamy ujrzałam cały smutek tego świata. Tak Jaso, ten asceta był smutny z powodu biednej Ambapali. Oto powód, dla którego umieram teraz ze wstydu.
- Nie ma potrzeby, żebyś się nad sobą użalała. Dajesz przyjemność i pocieszenie. Nikomu nie wyrządzasz krzywdy. Pieniądzy, które bierzesz, nikt by za ciebie nie zarobił! — krzyknął Jaso.

Potem, zdecydowany tym razem przejąc inicjatywę, dotknął wydatnych ust młodej kobiety koniuszkiem swojego znów gotowego do dzieła penisa, wsuwając jednocześnie palec w jej cudowne drzewi.

- Głosić wyrzeczenie się wszystkiego! Co za absurdalny

pomysł! Ja na przykład nie mógłbym się wyrzec ciebie! — wykrzyknął.

Odzyskał już pewność siebie i zamierzał pokazać dziewczynie, do czego jest zdolny.

Ambapali była tak wzburzona, że się nie opierała.

Kiedy Jasa dokończył dzieła, potrząsnął srebrnym dzwoneczkiem leżącym na toalecie.

— Czy pan Jasa życzy sobie czegoś? — spytał służący, którego tłusta twarz ukazała się w uchylonych drzwiach komnaty.

— Przynieś herbaty jaśminowej. Potem idź do pani Lani i powiedz jej, żeby przysłała tu dwie dziewczyny, najszybciej jak to możliwe. Zapłać gotówką... — powiedział Jasa porozumiewawczym tonem.

Nieco później dwa wspaniałe stworzenia dołączyły do Jasy i Ambapali. Były tego samego co ona wzrostu i miały takie same sterzące cyczuszki i drobne kostki.

— Rozbierajcie się! Macie być nagie! — rozkazał im Jasa.

Natychmiast zrzuciły muślinowe przejrzyste sari, i oczom Jasy ukazały się ich pachnące ciała.

— Chodźcie z nami do łóżka! — zawołał do dwóch dziewczyn, którym nie trzeba było dwa razy powtarzać tego zaproszenia.

Niezmordowany i nienasycony Jasa po wielokroć pokazał im swój kunszt.

Kiedy się obudził, trzy kobiety spały jeszcze, splątane ze sobą, a ich ciała wciąż były mokre od potu.

Niespodziewanie urodziwy Jasa poczuł mdłości.

Przetarł oczy.

Kiedy indziej poczułby nieodpartą ochotę powrotu do miłosnych igraszek. Wystarczyłoby zaokrąglić nieco kwotę przekazaną poprzedniego wieczoru pani Lani.

Teraz jednak było inaczej. Zobaczył siebie takiego, jakim był: mężczyzną, który płaci kobietom, by szły z nim do łóżka, kobietom, które zgadzały się to robić wyłącznie za pieniądze.

Skoro miłości nie można kupić, Jasa zmuszony był za każdym razem od nowa rozpoczynać pogoń za tym, czego nie mógł dostać...

Miał świadomość, że stał się niewolnikiem samego siebie, niewolnikiem swoich nędznych, wiecznie nienasyconych pragnień, że spała się powoli, nigdy nie zaznając zaspokojenia, jak wciąż i wciąż głodny potwór.

Pogoń za przyjemnością była tylko nieustanną pogonią za sobą. Biegiem, którego meta wciąż oddalała się, w miarę jak podążał naprzód.

Niejednokrotnie stwierdzał, że im częściej uprawiał miłość, tym bardziej podniecały go jedynie najbardziej wymyślne pozycje i najbardziej szalone sztuczki i erotyczne fantazje.

— Gdzie spotkałaś tego ascetę? — spytał Ambapali, która właśnie zdążyła otworzyć jedno oko.

— Był przy wielkiej pralni, w dolnej dzielnicy miasta. Jeśli tam nadal jest, z pewnością go rozpoznasz.

— Chodźmy tam! — zaproponował Jasa.

Razem z trzema kurtyzanami wyruszył w stronę wielkiej pralni.

I tam mnie odnalazł. Nazajutrz po naszym spotkaniu kazał zgolić sobie włosy i przywdział tunikę barwy ochry.

Oto historia Jasy.

Wprowadzam teraz tego nowego ucznia do naszej zagrody w głębi lasu, z dala od świata, by umożliwić mu medytację i refleksję nad sensem drogi, którą wybrał, kiedy postanowił się ze mną spotkać.

Dwa dni później jakiś bogato odziany nieznajomy, brodaty i siwy, przybywa do naszego prowizorycznego obozu, w chwili gdy kończę instruować nowego adepta. Kiedy się przedstawił, okazało się, że to Urdu, ojciec Jasy.

— Z pewnością jest tu mój syn. Poznałem to po połączonych sandałach zostawionych przy wejściu do waszej zagrody — oświadczył.

Kilka kroków za nim stała jego żona, sądząc po podobieństwie do Jasy, a nieco dalej młoda piękna kobieta, którą Urdu przedstawił jako Ambapali.

Kiedy matka Jasy spostrzegła syna medytującego w cieniu bambusowego lasku, pospieszyła w jego stronę.

- Nigdy więcej tak się nie zachowuj, synku! Od trzech dni nie mamy o tobie wieści! Szalałam z niepokojem. To nie jest miejsce dla ciebie.
- Nie ma powodu do niepokojem — mówi Jasa do rodziców.
— Dzięki temu człowiekowi odnalazłem Ścieżkę Prawdy! Pragnę przy nim pozostać.
- Jeszcze nigdy nie widziałem mojego syna tak szczęśliwego i spokojnego — stwierdza Urdu.
- I pomyśleć, że przyszliśmy tu, by skłonić go do powrotu!
— dodaje matka.
- Co powinienem zrobić, żeby się nawrócić? — pyta mnie ojciec Jasy.
- Podążać Szlachetną Ścieżką. Czynić dobro. Znaleźć w sobie współczucie dla innych i dzielić się z nimi swoim bogactwem.
- Zrobię tak, kiedy tylko wrócę do domu! — krzyczy bogaty kupiec.
- Ojczy, twoja decyzja napawa mnie szczęściem. Twoje życie odmieni się tak, jak odmieniło się moje. Nie jestem już taki jak kiedyś. W moim sercu zapanował spokój! — woła Jasa, rzucając się w objęcia ojca.
- Ja zaś za wszystkie moje pieniądze zarobione nierządem, chciałabym ufundować ci piękny pawilon wypoczynkowy — oświadcza Ambapali, schylając się nisko przede mną.

Patrzę na nią.

Jej włosy mają barwę czarnej pszczoły, a kształt jej oczu przypomina dopiero co rozkwitły kwiat błękitnego lotosu. Czoło lśni jak diament, skóra ma blask złocistobrazowy, nagi brzuch widoczny nad paskiem bufiastych pantalonów ma harmonijną krzywiznę łuku.

Nie dziwię się wcale, że Jasa się w niej zakochał, jednak sam nie odczuwam cienia pożądania.

Pomagam jej podnieść się i ucałować moje dłonie ustami, które pieściły tylu mężczyzn...

Zwracam się do pięknej kurtyzany:

— Ambapali, kiedy tego zapragniesz, przyjdź posłuchać Wielkiego Kazania o Kole Prawa. Wygłoszę je specjalnie dla ciebie.

Jej oczy mówią, że ona także gotowa jest na poznanie Szlachetnej Prawdy.

24

Banda wesółych nicponi

Oznajmiam Anandzie:

- W miejscowości Patna dołączą do nas nowi uczniowie.
- Znam dobrze to miasto. Przemierzyłem je wiele razy w czasach, kiedy cię szukałem — odpowiada.

Wielka pralnia Patny, zazwyczaj pełna kobiet piorących tam swoją bieliznę przy wtórze krzyków i śpiewów, jest teraz pusta. O zachodzie słońca tak w Patnie jak w każdym innym miejscu kobiety wracają do domów, by przygotować skromny posiłek, który pozwoli ich mężom nabrać sił do pracy czekającej ich następnego dnia.

Wsluchuję się w odgłos rzeki, której bieg zawrócono po to, by jej wody napełniły wyżłobione w kamieniu zagłębienia, do których dochodzi się po stopniach gładkich jak marmur, i na których praczki tłuką swoje tkaniny.

Wyjaśniam Anandzie:

- Przeptywająca tędy woda jest święta. Dopływa prosto z miejsca zwanego Sangam, gdzie zbiega się wielka rzeka Ganges i rzeka Jamuna.
- Wiem o tym. Słyszałem też, że w Sangam, u zbiegu połączonych wód, tryska źródło Saraswati, fontanna Oświecenia!

— Jeśli zechcesz tam pójść, z przyjemnością wykąpię się w niej razem z tobą.

Woda sięga nam do pasa, czuję jej kojącą świeżość na nogach obolałych od niekończących się wędrówek.

— Powiedziałeś przed chwilą, że w Parnie dołączą do nas nowi uczniowie. Skąd wiesz, co się stanie? — pyta Ananda.

— Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. To wewnętrzne przekonanie. Tak wielu ludzi wysłuchało tego, co mówiłem o Kole Prawa, że odtąd próbują do nas dołączyć... Mogę się jednak mylić.

Po ablucji siadamy sobie na jednym z wytartych stopni pralni.

Słońce za chwilę zajdzie za koronkową linią gór rysującą się na horyzoncie. Powietrze nadal jest rozpalone, podobnie jak kamienie, na których siedzimy.

— Czy widzisz tamto wzgórze? — pytam, wskazując górę porośniętą mangowcami, widoczną ponad domami przedmieścia.

— Chcesz tam pójść?

— Musi rozciągać się stamtąd piękny widok... A te kamienie tutaj są tak gorące, że mogą poparzyć nam tyłki... Tam z pewnością jest o wiele chłodniej.

Godzinę później siadamy pod jednym z mangowców rosnących na szczycie wzniesienia.

Właśnie zapadła noc.

W chwili gdy zaczynam zasypiać, podchodzi do nas jakiś człowiek z latarnią w ręce.

— Nie spotkaliście przypadkiem pewnej kobiety? Złodziejki! Szukamy jej przez całe popołudnie!

Mężczyzna jest zasapany. Za nim pojawiają się jego kompani, trzymający na smyczy wielkie psy.

Najwidoczniej nie mają ochoty do żartów. Pytam mężczyznę z latarnią:

— Kim jesteś, że zadajesz nam takie pytanie?

— Nazywam się Arma i należę do grupy wesołych nicponi

nazywanych Bhadrawadinami! Co miesiąc przychodzimy tu dla zabawy i uciechy.

Mówiąc to, pokazuje nam miejsce w dole, w którym koryto rzeki rozszerza się, tworząc prawdziwe niewielkie jezioro o powierzchni lśniącej teraz w świetle księżyca.

To tam grupa około pięćdziesięciu młodych ludzi oraz ich żony spędzają każdego miesiąca jeden dzień na picciu, świętowaniu i grze w piłkę.

Ci Bhadrawadini są bardzo eleganccy: mężczyźni mają na głowach wielobarwne turbany ozdobione złotymi skarabeuszami wartymi zapewne fortunę, a w nosach kobiet błyszczą spore drogocenne kamienie.

- Dzisiaj dużo się wydarzyło — mówi człowiek z latarnią.
- Opowiedz! — prosi Ananda.
- Dzień zaczęliśmy jak zwykle od kąpieli w rzece. Kiedy nasze kobiety z niej wyszły, wyglądały jak wodne boginie. Mokre sari oblepiły ich ciała, nie ukrywając kształtów... — opisuje z szelmowskim uśmieszkiem.
- No i co dalej? — pyta mój kuzyn.
- Mężczyźni podniecili się oczywiście widokiem piersi i nagich brzuszków, ale nadal przygotowywali mięsa pieczone na ogniu, obficie posypane wonnymi ziołami i przyprawami.
- A potem?
- Potem było to, co miało być. Wino zaszumiało w głowach i popołudnie stało się „gorące"... Niektórzy z nas pieścili i całowali namiętnie swoje żony, podczas gdy inni bez wahania zaciągali swoje do lasku i tam kochali się z nimi pod osłoną krzaków...
- Po co tyle szczegółów? Doskonale rozumiemy, że lubicie w ten sposób spędzać czas ze swoimi żonami. Macie do tego prawo! — wykrzykuje Ananda.
- Ten człowiek nie powiedział jeszcze wszystkiego. Pozwól mu mówić dalej!
- Zgubiłem gdzieś drogocenną broszkę, którą nosiłem

przypiętą do turbanu. Głowę dam, że ukradła mi ją pewna kobieta!
— mężczyzna prawie jęczy.

- Skąd masz pewność? — pyta Ananda,
- Bo nie mając żony, zabrałem ze sobą młodą kurtyzanę. Tylko ona mogła to zrobić! Ten cenny klejnot, подарowany mi przez ojca, był całą moją fortuną!
- Znajdziemy w końcu winowajczynię i damy jej nauczkę! — wrzeszczy inny Bhadrawadin, trzymający w ręce długi sztylet.
- Tygrysica, która jednemu z nas ukradła klejnot, znajdzie się wkrótce w piekle Awici! — dodaje inny, równie wściekły jak tamten.

Bhadrawadini są jak żołnierze żądni krwi na wojennych ścieżkach, podnoszą pięści i nawołują do zemsty. Zbliżam się do nich i mówię:

— Posłuchajcie mnie! Nie dajcie się ponieść emocjom! Nienawiść jest najgorszym z doradców...

Mam jednak wrażenie, że nic sobie nie robią z moich słów.

Wtedy błagam ich:

— Jeśli nie chcecie mnie słuchać, przynajmniej na mnie popatrzcie!

Są najwidoczniej zaskoczeni i poruszeni, ponieważ podchodzą do mnie, choć nie bez pewnego wahania. Siedzą teraz u moich stóp, gotowi mnie wysłuchać.

- Powiedzcie mi, co według was jest ważniejsze: próbować złapać złodziejkę czy samemu poszukiwać Prawdy?
- Ten nieznajomy ma rację! Coś nam się pokręciło. Nasze życie nie ma żadnego sensu! — krzyczy prześliczne stworzenie, które właśnie wychodzi z lasu i poprawia staniczek.

Bhadrawadini odwracają się osłupiali.

- Kto to taki? — pyta szeptem Ananda swojego sąsiada.
- Nazywa się Samara i chętnie uczestniczy w naszych uciechach. Zazwyczaj jest bardziej zainteresowana podarkami od męża niż poszukiwaniem Prawdy — odpowiada zapytany.

- Samara ma rację. Taki dzień jak dzisiejszy to tylko strata czasu. Najwyższa pora z tym skończyć. Jeśli o mnie chodzi, Prawda, o której mówi ten człowiek, ogromnie mnie interesuje — dodaje inny z Bhadrawadinów.
- Jaka jest ta twoja Prawda? — niepokoi się trzeci, który podszedł blisko mnie.
- Prawda jest jedna!
- Te słowa brzmią zarozumiale! — wykrzykuje najstarszy z nich, który dotąd nie zabierał głosu.

Odpowiadam:

— Prawda objawiła mi się jak słońce wschodzące rankiem nad linią horyzontu! Nie zamierzam nikomu jej narzucać. Próbuję tylko znaleźć dobre dusze skłonne ją zrozumieć. A przyłączyć się do nas może każdy, jeżeli tylko tego chce.

Kiedy wypowiadam początek Wielkiego Kazania o Wprawieniu w Ruch Koła Prawa, jedni po drugich podchodzą i pochylają się przede mną.

- Czy przyjmiesz mnie do siebie, o Oświecony? — pyta ten, któremu skradziono cenną broszkę.
- Nie mogę wyrażać zgody na cokolwiek, gdy ktoś przystępuje do nurtu bez rozgłosu i poddaje się jego prądowi tak, jakby wchodził do rzeki...

Oto jak tamtego dnia, przy wielkiej pralni Patny, weseli nicponie Bhadrawadini stali się moimi gorliwymi uczniami.

25

Narodziny sanghi

Z upływem miesięcy wydaje się, że Cztery Szlachetne Prawdy nadal pomyślnie kroczą swoją drogą.

Po dwóch monsunach, nawet jeśli strumienie przepelniają rzeki, fala nowych zwolenników nieustannie rośnie.

Sangha* posiada teraz kilka ośrodków, w których przebywają mnisi niedawno przyłączeni do nurtu; za punkt honoru stawiam sobie odwiedzanie ich przynajmniej raz w roku.

Nasze siedziby są zwykle usytuowane w miejscach zacienionych, podarowanych nam przez bogatych pobożnych ludzi, którzy postanowili czynić dobro.

Od początku wiosny Ananda i ja postanowiliśmy wspólnie głosić Szlachetną Ścieżkę w królestwie Magadha, by w ten sposób dać wytchnienie moim pierwszym uczniom, bardzo wyczerpanym dotychczasowym tempem.

U schyłku tego popołudnia samotnie kroczymy drogą.

Mimo zapadających ciemności dostrzegam długie szpalery trzciny cukrowej i sliw, rozciągające się jak okiem sięgnąć.

* Sangha (sankr.) — zakon, klasztor buddyjski, w szerszym znaczeniu wspólnota buddyjska; sangha, oprócz Buddy i Dharmy, uważana jest za jeden z trzech skarbów buddyzmu.

— Mam nadzieję, że zbliżamy się do granic królestwa Magadha, ponieważ nie czuję już nóg! — mówi Ananda, zatrzymując się przed prowizoryczną wiatą, jedną z tych, jakie wieśniacy stawiają dla ochrony przed deszczem i wiatrem.

Odpowiadam mu:

— Masz rację. Proponuję zatrzymać się i spędzić tu noc.

Prawdę mówiąc, nasze schronienie to parę tyczek i dach z bambusowych liści.

W oddali słyszę szczekanie dhola — dzikiego psa krążącego po wsiach w poszukiwaniu padliny. Może gdzieś zostały jakieś resztki zdechłego kozła lub antylopy, wówczas zaciągnie je daleko od siedzib ludzi, którzy wszelkimi sposobami usiłują uśmiercić tego pół wilka uznanego za szkodnika.

Rozpalamy ogień.

W tym odludnym miejscu, w którym spędzimy noc, śpiąc na gołej ziemi w pobliżu rachitycznego drzewa sala, płomienie uchronią nas przed węzami i skorpionami.

Ananda dmucha na żarzące się patyki. Ja podziwiam iskierki gasnące w bezmiarze mroku. Ciszę nocy przerywa tylko głuche wycie dhola, który z pewnością zdobył coś do jedzenia.

— Chciałbym medytować. Czy mógłbyś, Siddhartho, nauczyć mnie medytować tak, jak ty to robisz? Dopóki tego nie opanuję, nie będę mógł poznać Szlachetnej Ścieżki! — błaga mnie Ananda.

— Nie potrafisz medytować i dopiero teraz mi o tym mówisz?! To niesłychane!

— Od wielu miesięcy pragnę ci to wyznać, ale nie mam odwagi... Wstydzę się...

— Medytacja nie jest czynnością naturalną. To zmaganie się z lenistwem. Musisz oddychać nosem, zatykając najpierw jedną dziurkę, potem długo wydychać ustami, i tak na zmianę. Dzięki temu wzrośnie poziom twojej świadomości. Nic nie powinno umknąć medytującemu... No, dalej! Próbuje!

Ananda posłusznie zaczyna wdychać i wydychać tak energicznie, że brak mu tchu, najpierw prawą dziurką, potem lewą.

Jego chuda klatka piersiowa to się zapada, to wznosi w tym samym rytmie co moja.

Wyjaśniam dalej:

Po południowym posiłku usiądziesz pod jakimś drzewem lub w jaskini, twój tors musi być wyprostowany, a umysł jasny i skupiony. Musisz odrzucić wszelką złość i pożądanie, wzbudzić w sobie współczucie i miłość do wszystkich żyjących istot, oczyścić serce z lenistwa, opanować umysł. Dzięki temu odzyskasz spokój i pozbedziesz się wåtpliwości. Wówczas będzie mogła się zacząć twoja medytacja!

— Mój umysł zawsze odrzucał praktykę wyobrażania sobie okropności! —jęczy Ananda.

— Tę praktykę zalecają niektórzy jogini, mający trudności z koncentracją, ponieważ ich ciało i umysł nadal są przepelnione wrażeniami i pragnieniami. A umysł uwięziony w ciele nie jest zdolny do medytacji.

Praktyka ta polega na wizualizacji zwłok jakiegoś bliskiego krewnego i poddawaniu ich dziesięciu etapom rozkładu przez: opuchliznę, zasinienie, gnicie, pożarcie, rozszarpanie, rozczłonkowanie, rozpad, wykrwawienie, drażnienie przez robaki i wreszcie zostaje szkielet! Jeśli uprawiający ją zamierza medytować, musi przejść wszystkie etapy tego okropieństwa.

Zazwyczaj, kiedy dotrze do ostatniego — do stadium szkieletu — z jego myśli znikają wszelkie pragnienia — włącznie z najsilniejszą żądzą cielesną, która może przejść na kogoś innego! Następuje wówczas koncentracja, nawet u tego, czyje zmysły są tak opanowane przez pożądanie, że jego umysł niezdolny jest do skupienia się na czymkolwiek!

Powiadam:

— To rzekome mentalne uprawianie okropności jest tylko wymysłem guru, którzy chcą wyrzucić wrażenie na swoich słuchaczach. Poprzestań na naturalnym oddychaniu, Anando. Zobaczysz, że twój czysty umysł wkrótce stanie się wolny!

Ledwo skończyłem zdanie, a na nasze głowy spadł jeden, potem drugi, a następnie trzeci kamyczek.

Ananda podskoczył i mimo ciemności pobiegł zobaczyć, co się dzieje.

- Wydaje mi się, że dostrzegłem tam małpy, które zaraz uciekły. To dziwne, bo jak okiem sięgnąć, nie widać tu żadnego z ich ulubionych drzew, za wyjątkiem tego starego sala, pod którym siedzimy!
- Nie ma powodów do niepokoju. To okolica, w której spotyka się małe małpki o złocistym futerku.
- Może chodzi o małpy, które w kolejnym życiu chcą odrodzić się pod ludzką postacią!? — żartuje mój kuzyn.
- Jakkolwiek by było, te małpki także mają prawo do naszego współczucia, Anando.

Teraz chyba gdzieś uciekły, bo nikt nie rzuca już w nas kamieniami.

Nagle słyszę, że Ananda cicho płacze.

- Co ci się stało? Wiedz, że jeśli ciąży ci życie żebrzącego mnicha, możesz z niego zrezygnować — mówię, przytulając go.
- Nigdy nie przestanę za tobą podążać. Stwierdzam tylko, że nie dorastam ci do pięt.
- To, co mówisz, nie ma najmniejszego sensu, Anando. Wszystkie istoty są warte tyle samo. Jestem pewny, że ci się uda. A zdarzy się któregoś dnia, jak wtedy, gdy ja doznałem Oświecenia, i będzie tak jasne, jak gwiazdy na niebie, kiedy rozproszy się mgła.

Ananda nie odpowiada. Siedzi ze wzrokiem wbitym w ziemię. Potem zastyga w bezruchu i przytula się do pnia starego drzewa.

Tuż przy naszych stopach pojawia się długi czarny wąż.

Jest zupełnie nieruchomy.

Nagle jego głowa nabrzmiewa i przednia część ciała unosi się gwałtownie. W otwartej paszczy widać dwa haczykowate zęby tryskające śmiertelnym jadem.

Ananda przywiera do mnie jak przerażone dziecko.

Szeptę mu do ucha:

— Słusznie robisz, nie ruszając się. Nie należy niepokoić rozdrażnionej kobry naga. Dopóki się nie przestraszy, nie zaatakuje i odpełnie dalej.

Czuję, jak serce mojego kuzyna bije coraz szybciej, podczas gdy bicie mojego się nie zmienia. Mówię więc tak:

— Ten, kto wyrzuca z siebie złość, kiedy tylko się w nim pojawi, tak jak za pomocą leczniczych ziół pozbywa się jadu węża ze swojego ciała, ten, kto zabił w sobie apetyt na życie gwałtowny jak potok po ulewnym deszczu, ten, kto odrzucił dumę z siłą powodzi rozbijającej kruchą trzciniową faszynę, ten, kto nie znalazł w egzystencji żadnej substancji, podobnie jak nieistniejącego kwiatu udumbara, ten, kto nie nosi w sercu żadnego gniewu i pokonał niestałość, kto potrafił rozproszyć najbardziej wyszukane wytwory umysłu, kto nie ma w sobie żadnych pasji i wyrwał z siebie korzenie zła, kto zrezygnował z pokonania siedmiu przeszkód na drodze do rozkoszy zmysłowych, niezyczliwości, gnuśności, gwałtowności, wyrzutów sumienia i wreszcie zwątpienia, ten, kto przekroczył próg zwątpienia i uwolnił się od żądła tkwiącego w sercu, ten będzie mógł opuścić ten świat, tak jak wąż zrzuca starą skórę...

— Strofy, które wyrecytowałeś, o Siddhartho Gautamo, odniosły skutek. Królewska kobra odeszła!

Rzeczywiście, na ziemi nie ma już gada, którego ukąszenie może powalić bawołu. Nic nie odpowiadam.

— Tak mocno przytulałem się do twojego serca, że poczułem, jak moje bije w rytm twojego psalmu. Zamknąłem wtedy oczy i postanowiłem nie zachowywać się jak małe bojaźliwe dziecko. Skupiłem się i udało mi się wcielić w skórę tej kobry. Stałem się wężem. Nie odczuwałem żadnego strachu, ponieważ byłem nim. Wiłem się po ziemi. Widziałem tylko piach i kamienie. Uniosłem się jak on, nadąłem szyję i wtedy zobaczyłem ciebie i siebie splecionych w ciasnym uścisku. Nie baliśmy się. Wtedy też usłyszałem strofy sutry, które recytowa-

łeś, i postanowiłem pójść dalej swoją drogą! Oto, co myśli kobra naga! — wyszeptał Ananda.

— Wszedłeś w stan medytacji, mój drogi kuzynie! Pomimo wszystkich twoich wątpliwości przeżyte doświadczenie dowodzi, że masz zdolności do osiągnięcia *dhyany!*

Nazajutrz ledwo się obudziłem, a już Ananda pyta mnie ponownie:

— Siddhartho, pewnego dnia, w czasach gdy cię szukałem, pewien jogin mówił mi o procesie myślowym nazywanym „pobyty Brahmy”. Nic z tego nie zrozumiałem. Czy mógłbyś mi powiedzieć, o co w tym chodzi?

— W odróżnieniu od praktyki wyobrażania sobie okropności, nie jestem przeciwny tej formie koncentracji umysłu. Polega ona na intensywnym myśleniu o Czterech Cnotach, którymi są: dobroć — *matri*, współczucie — *karuna*, wesołość — *mudita* i obojętność wobec wroga — *upeksa*. Kiedy się na nich skoncentrujemy, pozwalają nam zwalczyć nieżyczliwość, szkodliwość, niezadowolenie i pożądlivość, które są złymi wibracjami, uniemożliwiającymi umysłowi medytację.

— Kiedy ty tłumaczysz, wszystko wydaje się takie proste. W rzeczywistości nigdy nie udało mi się skoncentrować na Czterech Cnotach... Podobnie jak w dalszym ciągu nie potrafię odróżnić koncentracji *samadhi** od medytacji *dhyana*

— Koncentracja trwa krócej niż medytacja. Jest łatwiejsza dla tych, którzy nie mieli szczęścia zostać mnichami. Tymczasem obydwa te ćwiczenia umysłu mają ten sam cel: doprowadzić do „zjednoczenia myśli”. Dzięki stopniowemu uspokojeniu rozumowania i refleksji umysł się skupia.

— Czyżby więc rozumowanie było czynnością szkodliwą?

— Całkowicie szkodliwą! Jest najwyższą formą kokieterii ludzkiego umysłu, który uważa się za najdoskonalszy. Podczas rozumowania każdy umysł w końcu się gubi, zwłaszcza najsubtelniejszy!

* *Samadhi* (sansk.) — błogostan powstający ze skupionego stanu umysłu.

- Czy to oznacza, że medytacja jest bardziej przystępna dla umysłów przeciętnych niż dla umysłów subtelnych?
- Najlepiej nie grzeszyć zarozumiałym myśleniem, że wszystko można wytłumaczyć i wszystko zrozumieć w sposób racjonalny. Człowiek powinien pogodzić się z myślą, że pewnych rzeczy nie można zdefiniować, a zatem zrozumieć.
- A jak pozbyć się tych próżnych refleksji i odwiesić je na gwoździ jak stare niepotrzebne ubranie?
- To bardzo proste: przez cztery stopnie skupienia medytacyjnego, których celem jest osiągnięcie Pustki, stanu bez celu i bez znaków, nietrwałych widoków, pustych i bezosobowych, charakterystycznych dla wszystkiego, co widzimy, czego dotykamy, i co odczuwamy. Tak wyposażonemu umysłowi udaje się wreszcie, i to bez żadnych trudności, uwolnić ze wszystkich pęt!

Tego samego wieczoru, po długim dniu marszu, Ananda ponownie bierze mnie w krzyżowy ogień pytań.

— Naucz mnie świata, naucz rzeczy, o Siddhartho! Sądzę, że jestem gotowy... — szepce do mnie w chwili, gdy idziemy nad jeziorem o zupełnie nieruchomej tafli wody.

Młoda wiewiórka zeszła na ziemię i chwyciła owoc, który spadł z drzewa, ale duży samiec zaraz go jej odebrał.

Widoczny znak, że prawo silniejszego i tym razem zwyciężyło.

- Jakie to wstrętne! — westchnął Ananda.
- Czyż mogło być inaczej? Myślisz, że ten samiec ma pojęcie o czterech nieskończonych myślach: miłości, współczuciu, radości i równości dusz?
- Wątpię.
- Jedynie moralne prowadzenie się może przeciwdziałać trzem podstawowym błędom, które są u podstaw zła: pożądliwości, nienawiści i omylności. Pierwszy przenosi podmiot na przedmiot, drugi wprost przeciwnie, oddala go od przedmiotu, a trzeci gubi obydwaj! Tym trzem korzeniom zła odpowiadają

trzy korzenie dobra: brak pożądlivosti, brak nienawiści i nieomyślność...

- W jaki sposób ta wiewiórka, która kieruje się instynktem, mogłaby wybrać moralne zachowanie? — pyta Ananda.
- Ogródzenia i miedze oddzielające pola są powodem kłótni i źródłem nienawiści między ludźmi. Podobnie jest ze zwierzętami, które znaczą swój teren, zamiast wspólnie z niego korzystać.
- A jak, Siddhartho, powinni postępować ludzie, żeby wykorzystać z siebie skłonność do popełniania błędów? — pyta mój kuzyn.

Ja zaś odpowiadam:

— Szczęśliwie żyje ten, kto nie ma żadnych pragnień, chociaż żyje wśród ludzi wiecznie czegoś pragnących, nie posiada niczego i żywi się radością jak bogowie! Szczęśliwie żyje ten, kto przebywając wśród ludzi wrogo nastawionych, jest wrogości pozbawiony, kto ma w sobie spokój, podczas gdy wokół niego inni wymachują bronią, i ten, kto nie jest do niczego przywiązany, chociaż wokół siebie widzi przywiązanie do rzeczy pożądanych zmysłami!

Człowiek jest swoją własną pochodnią i swoim własnym ratunkiem! Tak więc wszystkie pragnienia i złe uczucia stopniowo rozproszą się w twoim sercu, podobnie jak poranne mgły znikają pod wpływem promieni słonecznych!

26

Arhat*

Pod wiatą z gałęzi ustawioną na polanie w dżungli, z dala od dróg, odizolowałem się od świata, ale on nadal pulsuje w rytm mojego serca!

Po nocy spędzonej na medytacji poddaję się teraz spokojowi przyrody zbudzonej pierwszymi promieniami słońca.

Czuję się szczęśliwy jak oracz, dla którego wiara jest ziarnami, asceza — deszczem, mądrość — jarzmem, skromność — dyszlem, umysł — rzemieniem jarzma, uwaga — lemieszem i poganiaczem, energia — wołem pociągowym!

Wokół mnie nie ma żywej duszy, a mimo to wszystko jest życiem i cierpieniem; liście drzew, które zwiędną i opadną, mucha, która na nich przysiadzie, zanim zostanie pożarta przez kameleona, ptak znajdujący robaka dla swoich piskląt, dziki kot, który rzuci się na polną mysz, myśliwy polujący na tygrysa...

Tak mi spieszo, by każdy zrozumiał, co należy czynić, aby powstrzymać przyływy i odpływy nieuniknionego cyklu

* Arhat (sanskryt) — dosł. „wartościowy człowiek”, czcigodny — najwyższy stan osiągnięty przez buddystów hinajany (Małego Wozu), ktoś, kto jest wolny od wszystkich splamień i przez to od konieczności odradzania się.

narodzin i śmierci, które wzajem się karmią i pochodzą jedne od drugich!

Żaden rytuał, żadne poświęcenie i żadna modlitwa nie zastąpią osobistego wysiłku. Nie ma takiego przekleństwa, atawizmu, przeznaczenia i grzechu pierworodnego, które uniemożliwiłyby ratunek temu, kto tego zapragnie!

Żaden bóg nie uratuje człowieka, tylko on sam!

Myślę o pewnej rodzinie, którą odwiedziłem parę tygodni temu, o ojcu, matce i ich dzieciach, wszystkich bliskich głodowej śmierci, którzy przyłączyli się do sanghi. Oczywiście wyraziłem zgodę, by pozostali z nami tak długo, aż ojciec nie znajdzie jakiejś pracy, dzięki której zapewni rodzinie byt.

— Co należy zrobić, mistrzu Gautamo, by uwolnić umysł z więzienia rozumowania? — pyta mnie najstarsze z dzieci, które na palcach zakradło się do mojej kryjówki.

Oto, co mu odpowiadam:

— Proces uwolnienia umysłu składa się z ośmiu etapów: od etapu form widocznych do świata bez form, do czasu, aż znikną wszystkie wrażenia i wszelkie odczucia. Dopiero wówczas umysł się uwalnia. Wtedy człowiek może osiągnąć status Najwyższego Świętego i stać się arhatem! Arhat jest istotą czystą jak diament; ma jego blask, przejrzystość i trwałość. Są cztery rodzaje świętych. Pierwszy z nich to arhat „który wstąpił w nurt”, to znaczy posiadał wiarę; drugi to arhat „powracający jeden raz”, to znaczy taki, któremu wystarczy odrodzić się tylko raz, by osiągnąć Wyzwolenie; trzeci to arhat „niepowracający”, to znaczy taki, który nie musi się wcale odrodzić, by osiągnąć Wyzwolenie, czwarty to arhat „zasłużony”, którego całkowite wygaśnięcie spowoduje śmierć: to arhat nad arhatami! Bodhisattwa, czyli przyszły Budda!

— Czy arhat może zmierzać prosto do nirwany? — pyta mnie dziecko.

Odpowiadam:

— Jeśli poznał Cztery Szlachetne Prawdy za pośrednictwem Buddy, stanie się Buddą Słuchającym, jeśli odkrył je sam, lecz

ich nie naucza, stanie się Buddą Samotnym, i wreszcie Buddą Doskonałym, jeśli zgodzi się nauczać innych.

— Masz więc wszystko, by stać się Buddą Doskonałym — stwierdza bez namysłu dzieciak.

— Nie to mi w głowie. Pragnę jedynie podzielić się Prawdą z innymi. Taki jest mój zamysł. Koniec kropka — odpowiadam.

Do samego świtu leżałem na gołej ziemi, zaskoczony słowami tego małego chłopca.

Wokół mnie panowała pustka nocy.

Taka sama jak pierwsza noc spędzona na gołej ziemi w towarzystwie Anandy, tuż po naszym Wielkim Odejściu z Kapilawastu.

Niebo było wtedy czarne i nieprzeniknione.

Czarne jak niezbadana nicość i nieprzeniknione jak rozpacz.

Bałem się.

Dziś jest zupełnie inaczej, bo ogarnęła mnie dobroczynna fala Prawdy.

Bo nareszcie wiem.

Wiem, że za nicością nocy kryją się gwiazdy błyszczące tysiącem ognia.

Wiem, że pokój daje mi znak.

Myślę, że przestrzeń jest nieskończona.

Wierzę w szczęście wywołane przez zniweczenie "ja" i przez własną śmierć...

Wierzę w nirwanę.

27

Dewadatta

Wszyscy zdrajcy mają taką samą twarz.

Właśnie dołączył do nas Dewadatta.

— Witaj, Siddhartho! Pragnąłbym zaciągnąć się do twoich szeregów — oświadcza.

Pytam go:

— Jakież to wiatry cię tutaj przywiały?

Wiem, że ten daleki krewny pewnego dnia mnie zdradzi.

Wiem jednak również, że w końcu się nawróci i że ja mu przebaczę.

Dewadatta jest o mnie zazdrosny od czasu, gdy po zwycięstwie w zawodach w strzelaniu z łuku zabrałem mu piękną Jaśiodarę. Po błysku nienawiści w jego oczach domyślam się, że ten epizod pozostawił w jego sercu bolesną i niezabliźnioną ranę.

Dewadatta unika mojego wzroku. Jego mina wyraża zagubienie.

Mówię do niego:

— Po twarzy można łatwo poznać tego, kto się zagubił.

Bo kocha zdeprawowanych i nienawidzi cnotliwych, bo ma skłonność do spania, dobrej kompanii i brak mu energii, bo jest zobojętniały i łatwo wpada w złość; bo będąc bogatym, nie łoży na utrzymanie swoich starych rodziców, bo jest zdolny

skłamać braminowi, ascecie i prostemu wędrowcowi, bo mimo niezliczonych bogactw, w złocie, żywności i ubraniach, dobrem tym z nikim się nie dzieli, bo jest dumny ze swojej kasty, bogactwa i pochodzenia, a gardzi własną rodziną, bo pragnąc wdzięczności, nie zważa na innych... Oto twarz człowieka, który się zagubił.

Oto twarz Dewadatty.

Kiedy będąc dzieckiem, bawił się ze mną raz do roku z okazji święta *Kalighat**, już wtedy zawsze wyrządził mi jakąś krzywdę.

Dewadatta był od najmłodszych lat samotnikiem o mrocznym charakterze, i mimo uderzającej urody onieśmiał dziewczęta. Chociaż wiele z nich jego uroda przyciągała, nigdy nie zdołał oczarować żadnej kobiety i nie ożenił się, ponieważ złośliwość pociąga za sobą samotność.

Wie dobrze, że ja wiem, jak bardzo mnie nienawidzi.

Nie widziałem go od lat i jego niespodziewane przybycie nie wróży nic dobrego.

Ananda jest tego samego zdania i szepce mi do ucha:

— Strzeż się go, Siddhartho!

— Czy mogę mieć nadzieję, że objaśnisz mi cztery stadia medytacji *dhyana*? — pyta mnie Dewadatta.

Mimo iż patrzy w bok i unika mojego wzroku, z kaskiem lśniących czarnych włosów upiętych w ciasny kok na czubku głowy mógłby uchodzić za dzielnego wojownika.

— Oświecony spędził noc na medytacji. Jest zmęczony. Czy nie zechciałbyś wrócić za godzinę? — pyta go Ananda, schylając się i podnosząc z ziemi ostry kamyk, który mógłby skaleczyć moje boscie stopy.

Mimochodem zauważam, że podniósł także pestkę moreli i schował ją pod ubranie.

— Ja też mam prawo włączyć się w nurt jak inni, i ty mi w tym nie przeszkodzisz, Anando! — wykrzykuje ze złością Dewadatta.

* *Kalighat* — doroczne święto bogini Kali.

— Daleki jestem od chęci pozbawienia cię dostępu do Szlachetnej Prawdy. Zrozum jednak, że Oświecony potrzebuje trochę odpoczynku! — odrzekł Ananda, ustawiając się jak parawan pomiędzy mną i Dewadattą, jakby chciał mnie przed nim obronić.

Podczas gdy rozwścieczony Ananda oddala się, podchodzi do mnie Subhuti, trzymając za rękę młodą dziewczynę o delikatnych rysach twarzy, odzianą w podarte sari, całe czarne od brudu.

— To dziecko chciało spotkać Oświeconego. Jej rodzice mieszkają w biednej dzielnicy miasta.

Kładę prawą rękę na czole dziewczyny, której ten gest wcale nie onieśmiela.

- Dlaczego podniosłeś tę pestkę, mistrzu Anando? — pyta, ponieważ zauważyła gest mojego kuzyna.
- Kiedy wsadzi się tę pestkę do ziemi, wyrośnie z niej drzewo, które pewnego dnia wyda owoc zawierający w środku pestkę.
- I tak dalej!
- Ananda mógłby również powiedzieć — dodaję — że wszystko pochodzi od „przedpestki”, z której bierze się pestka, która daje początek drzewu rodzącemu owoc! Oto, co nazywam „produkcją uwarunkowaną”, to znaczy następstwem przyczyny i skutku.
- Od razu widać, że Oświecony jest wielkim mędrce... W mieście dużo o tobie mówią i same dobre rzeczy: nazywają cię Mędrce nad Mędrceami — szepce dziewczynka, pochylając się nisko przede mną.
- Oświecony Gautama jest Mędrce nad Mędrceami. Pomaga nam postrzegać rzeczy pod innym kątem. Uczy łączenia się z tym, czego nie lubimy, rozdzielania się z tym, co kochamy, niezaspokajania własnych pragnień, pozbywania się tego, co czasowo składa się na osobę i może doprowadzić ją do samozniszczenia... — wyjaśnia Ananda, od jakiegoś czasu mówiący ze swobodą o Dharmie.

- No właśnie. Powiadają też, że Gautama Oświecony mówi, by zerwać ze światem...
- To prawda, bo bez tego wszystko jest przymusem, poddaniem, a więc wyobcowaniem istoty ludzkiej! — odpowiada Ananda.

Obserwuję dziewczynę.

Siedzi grzecznie jak uczennica przed nauczycielem i wydaje się spiąć słowa z ust Anandy. Śmiejąc się, mówię do nich:

- Dziewczyńko, na podobieństwo pilnej uczennicy, już jesteś kopalnią wiedzy! Jeśli zaś o ciebie chodzi, Anando, to stałeś się doskonałym nauczycielem.
- W mieście powiadają, że jesteś lekarzem dusz, mistrzu Gautama Oświecony! Najpierw opisujesz chorobę, następnie objaśniasz ją, po czym wskazujesz, jak ją wyleczyć! — ciągnie dziewczyna.
- Próbuję najlepiej jak potrafię wskazać moim bliskim Ścieżkę Zbawienia.
- Podobno poskromiłeś także kobrę, którą bramini trzymają w szałasie dla ochrony przed ogniem, i że możesz samym wzrokiem rozrąbać drzewo! Czy to prawda? — dopytuje się dziewczyna z niepokojem w głosie.

Odpowiadam jej:

- Nie trzeba wierzyć wszystkiemu, co mówią ludzie, moje drogie dziecko...
 - Ja na przykład nie wierzę w ani jedno słowo z gadki tego szaleńca! — wykrzykuje zgryźliwym tonem Dewadatta, który przysłuchiwał się wszystkiemu ukryty za drzewem.
- Mój daleki kuzynek wciąż wygląda na zdenerwowanego.
- Co robiłeś ukryty za tym cyprysem, Dewadatto? — pyta Ananda.
 - Sprawdzałem wiarygodność Dharmy głoszonej przez Siddharthę! — odpowiada Dewadatta, po czym odwraca się na pięcie i wielkimi krokami oddala w stronę dżungli.
 - Ten człowiek nigdy się nie zmieni! Jak można mieć

w sobie tyle nienawiści! —jęczy Subhuti, który zna dobrze charakter Dewadatty, ponieważ pochodzi z tej samej co on miejscowości.

— Kim jest to indywiduum? Dlaczego ten człowiek jest taki złośliwy? — pyta ze smutkiem dziewczyna.

Odpowiadam:

— Ten człowiek nie wie, co to życzliwość... Nazywa się Dewadatta. Kiedy ludzie bardzo cierpią, mogą stać się złośliwi.

Dołączają do mnie Rahula i Mahapradżapati

Minął rok.

Jest teraz czarna noc, i cała sangha układa się na spoczynek na gołej, jeszcze ciepłej posadzce wielkiej zrujnowanej świątyni, w której znaleźliśmy schronienie.

Raz do roku gromadzę wszystkich tych, którzy chcieli do mnie dołączyć, by podzielić się doświadczeniami, wyciągnąć wnioski i odpowiedzieć na ewentualne pytania.

Tłum liczący blisko czterystu adeptów zebrał się na obszernym dziedzińcu wyłożonym kamiennymi płytami porośniętymi chwastami.

Siedzę pod jedną z nielicznych ocalałych kolumn i ogarnia mnie miła senność.

Obok siebie czuję obecność Śiariputry i Maudgaljajany.

Jakiś czas temu poprosiłem tych dwóch wiernych uczniów, by wspierali mnie w kwestiach organizacyjnych.

Forsowne marsze, skąpe pożywienie i mała ilość napojów osłabiły mój organizm, który coraz wolniej się regeneruje. Tym cenniejsza jest dla mnie pomoc tych dwóch mnichów. Dzięki nim mogę poświęcić się całkowicie kazaniom, jakie muszę prawie codziennie wygłaszać przed coraz liczniejszym tłumem,

któremu usiłuję w prostych i zrozumiałych słowach opowiedzieć o Szlachetnych Prawdach.

Stojąc przed tym audytorium, złożonym głównie z ludzi ubogich, którzy nie potrafią nawet trzymać w ręku pióra, muszę uważać, by nie zrazić ich zawiloscią doktryny. Zwykłem zatem opisywać drogę poznania i myśli, porównując je do małej skaczącej z gałęzi na gałąź, z jednego drzewa na drugie.

Kiedy któryś z nich przychodzi do mnie i mówi: „Mistrzu, nie jestem zbyt bystry, by zrozumieć, co mówiłeś”, odpowiadam niezmiennie:

— Nie należy ufać myśli! Zaledwie powstaje, już znika... Droga do Szlachetnych Prawd nie zależy od bystrości, lecz przede wszystkim od dobrej woli! Jeśli niektóre z moich słów wydają się niejasne, mogę wyjaśnić je raz jeszcze.

Taki sposób postępowania daje na ogół bardzo dobre wyniki.

Po każdym kazaniu zarówno członkowie najwyższych kast, jak i niedotykalni, coraz liczniej podchodzili do moich uczniów i prosili o przyjęcie do naszej gromady.

W chwili gdy siedząc oparty o kolumnę, czuję, że niedługo zasną, słyszę znajomy głos:

— Mój mały Siddhartho, przyszłam prosić cię o przyjęcie do sanghi!

Otwieram jedno oko.

Moje zdumienie nie ma granic, gdy widzę, że ten miły głos należy do Mahapradżapati, mojej ciotki i przybranej matki.

Na jej widok wydaję okrzyk radości.

To ona, młodsza siostra Majadewi, stoi przede mną, wciąż ta sama, zaledwie trochę tęższa. Siwe nitki, które złagodziły czerń jej włosów, nadają twarzy jeszcze łagodniejszy wyraz, niż miała wtedy, gdy biegłem schronić się w jej ramionach.

U boku tej kobiety, w ramionach której on także, będąc dzieckiem, często znajdował schronienie, stoi Ananda, trzymając w ręku pochodnię. Bez jej światła Mahapradżapati mogłaby się potknąć o korzenie wijące się jak węże wokół

świątyni.

Długo ściskam ją w ramionach i mówię:

— Szczęśliwy jestem, że cię widzę, Mahapradżapati! Co tu robisz, święta kobieto?

Ananda wbija pochodnię w gałąź drzewa tuż obok kolumny, pod którą przed chwilą siedziałem.

Mahapradżapati ma na sobie suknię uszytą z takiej samej żółtej materii, jaką noszą mnisi. Zdejmuje szal okrywający jej głowę i odsłania ogoloną czaszkę. Dostrzegam, że jej nogi są opuchnięte po długiej wędrówce, zapewne z Kapilawastu.

— Przybyłam błagać cię, byś pozwolił mi zostać członkinią sanghi — powtarza drżącym ze wzruszenia głosem.

Odpowiadam jej:

— Wiesz zapewne, że nie jestem temu przychylny, mateczko... życie mnicha jest wystarczająco trudne dla mężczyzn.

Nie chcąc jej zasmucić, nie mam odwagi powiedzieć, że nigdy nie zamierzałem zezwolić na przyjmowanie kobiet do wspólnoty.

— To nie jest odpowiedni moment, by zmienić zdanie na ten temat — mruczy Śiariputra, widząc moje zakłopotanie.

Ten mnich, któremu powierzyłem czuwanie nad poszanowaniem praw panujących w obrębie sanghi, zwykł przesadnie przestrzegać rygoru.

— Nie bądź taki stanowczy, Śiariputro. Decyzja w tej kwestii należy wyłącznie do Gautamy. Powinieneś mu zaufać. Postąpij jak należy! — szepce Ananda.

— Znanie mi są twoje obiekcje, Siddhartho Oświecony i dobrze wiem, że sangha pozostaje niedostępna dla kobiet. Kiedy wyruszałam z Kapilawastu, żeby cię odnaleźć, wszyscy mnie przestrzegali. Nie rozumiem jednak twoich zastrzeżeń! Dlaczego kobiety miałyby zostać wykluczone z nurtu! — wykrzykuje zrozpaczona stara kobieta.

— Oprócz trudów monastycznego życia, wyczerpujących wędrówek, medytacji i żebrania, przebywanie kobiet i mężczyzn w jednej wspólnotie z pewnością stworzyłoby problemy. Oświecony miał rację, kiedy ustanowił tę zasadę. Odejdźcie od

niej teraz byłoby ryzykowne! — wtóruje Maudgalajana, mnich teoretyk.

- O ile wiem, kobieta też jest istotą ludzką, taką jak mężczyzna. Dlaczego zatem udostępniać Drogę do Zbawienia tylko jednej płci? Czyż nie jest to niesprawiedliwe? Odpowiedz mi, błagam cię — nalega moja przybrana matka i rzuca mi się do stóp.
- Moim zdaniem ona ma rację! Dlaczego połowa gatunku ludzkiego miałaby zostać pozbawiona wiedzy o Szlachetnej Ścieżce? Wydaje mi się, że każdy bez względu na płeć ma prawo nią podążać! — dorzuca Ananda, spiesząc z pomocą Mahapradżapati.
- Moje życie, Siddhartho, zostało spełnione. Mój brzuch wydał życie. Teraz mogę wszystko opuścić. Poza tym, czyż twój własny syn nie dołączył już do ciebie? — dodaje moja matka.

Rzeczywiście, już od pół roku Rahula jest członkiem sanghi, a jego gorliwość i skromność sprawiły, że stał się dobrym nauczycielem młodych adeptów.

Jego przybycie do mnie pewnego dnia nie zaskoczyło mnie wcale.

Przecież kiedy żegnaliśmy się w dniu Wielkiego Odejścia obiecałem mu, że kiedyś będzie mógł do mnie dołączyć, jeśli tego zapragnie.

Odkąd Rahula skończył dwadzieścia lat, opierał się wszystkim przedstawianym mu dziewczętom i nieustannie zabiegał o to, by dziadek zezwolił na opuszczenie fortecy Kapilawastu.

Moja radość nie miała granic, gdy pewnego wieczoru, po wyczerpującym marszu, zobaczyłem, jak zbliża się do mnie. Od dnia rozstania niewiele się zmienił. Zdaniem Anandy był identyczny jak ja w jego wieku.

— Ojcze, przybyłem tu, by towarzyszyć ci w twojej wędrówce i poznać Ścieżkę Zbawienia! Jestem gotów wyrzec się samego siebie! — oświadczył, rzucając się w moje ramiona.

Byłem tak wzruszony tym spotkaniem, że nie mogłem powstrzymać łez.

— Witaj w naszej wspólnocie, Rahulo! Jestem pewien, że okażesz się wspaniałym uczniem! — wykrzyknął Ananda, po czym przedstawił mojego syna mnichowi odpowiedzialnemu za młodych adeptów, powierzanych nam przez rodziców w wieku dziesięciu lat.

Od tej pory wspólnota składa się z uczniów w różnym wieku. Najstarsi noszą tytuł „mnicha”, a najmłodszy — „nowicjusza”. Wszyscy wiedzą, że oprócz wieku, niczym się od siebie nie różnią.

Rahula był od początku uczniem gorliwym i uważnym.

Wstawał pierwszy, nigdy nie odmawiał wykonania najcięższej pracy, czy chodziło o zbieranie drewna na opał, czy przygotowywanie skromnego posiłku dla całej wspólnoty.

Kiedy dowiedział się o przybyciu babci, pospieszył na jej spotkanie.

— Mój mały Rahulo, twoja babcia Mahapradżapati zapragnęła żyć takim samym życiem jak ty! — woła do niego.

— Babuniu, twoje miejsce jest tutaj, przy mnie! Zobaczysz, że będziesz szczęśliwa podobnie jak ja, od kiedy odzyskałem tu spokój! — odpowiada mój syn.

Ja zaś odezwałem się do Mahapradżapati w te słowa:

— Warunki życia, jakie narzucam swoim uczniom, są bardzo trudne: muszą wędrować po drogach prawie nadzy, żebrząc o pożywienie, zadowalać się tym, co dostaną, brać rzeczy takimi, jakimi są, nie zastanawiając się, czy są dobre, czy złe. Czy twoje ciało starej kobiety gotowe jest znosić to wszystko, mateczko?

— Nie boję się braku wygod. Spójrz tylko na moje nogi! Przyszłam tu pieszo z Kapilawastu, choć wszyscy myśleli, że nie podołam! — Odslania opuchnięte kostki podobne do worków napełnionych piaskiem.

— Pewien jestem, że ta święta kobieta potrafi równie dobrze jak ja dostosować się do życia sanghi! — dodaje Ananda.

Wokół zawieszanej na drzewie pochodniśmy rozpoczęły swój migotliwy taniec.

W chybotliwym świetle twarze stojących wokół zdają się także drżeć jak trzepocące się serca.

Przybrana matka patrzy na mnie pełna nadziei i uśmiecha się.

Absurdem byłoby ją rozczarować.

Reguły, zarówno klasztorne, jak i prawne, ustanowione są po to, by je zmieniać, zwłaszcza kiedy nie dotyczą rzeczy ważkich, a jedynie drugorzędnych.

Opinie wyrażone przez Rahulę i Anandę przekonały mnie, że mogę dopuścić kobiety do wspólnoty.

Mówię o tym Mahapradżapati, która nie posiadając się z radości, rzuca mi się na szyję.

Następnie Rahula prowadzi babcię do miejsca na dziedzińcu świątyni, gdzie będzie się mogła położyć i odpocząć.

Podchodzę do moich uczniów i mówię:

— Rozumiem, że możecie być zdziwieni moją zmianą postawy wobec kwestii tak zasadniczej, jak przyjmowanie kobiet do sanghi, toteż zalecam wam refleksję nad różnicą pomiędzy wiarą i sztywnością zasad. Nie sądzicie, że Droga Zbawienia jest wystarczająco szeroka, by zmieściły się na niej także kobiety?

— Siddhartho! Właśnie skróciłeś długość życia Dharmy z tysiąca do pięciuset lat! — wykrzykuje Ananda i wybucha śmiechem.

— Dlaczego tak mówisz? — pyta go Śiariputra.

— Bo dzięki obecności kobiet będziemy odtąd dwa razy liczniejsi, co sprawi, że szybciej dotrzemy do Dharmy!

Och, jak uwielbiam tę lekkość, z jaką mój kuzyn Ananda mówi o rzeczach najwyższej wagi.

29

Król Bimbisara i jego medyk

Podeszwa mojej lewej stopy jest zainfekowana, co zmusza mnie do krótkiego postoju w Rajgirze, stolicy pięknego królestwa Magadha. Trzeba wyleczyć ranę, przykładając papkę z leczniczych ziół.

Stoję pod bramą okazałego pałacu z różowej cegły, którego elegancka fasada podziurawiona jest niezliczonymi oknami.

Przez to pałac nazywa się tu Domem Tysiąca Wiatrów.

Wychodzi z niego niewysoki mężczyzna z belą żółtej bawełny pod pachą.

Kiedy mnie dostrzeża, spieszy w moją stronę.

— Weź ten materiał! Dotknij tylko i weź! Przyda ci się! — mówi.

Rozwija przede mną bawełnianą tkaninę.

— Koniecznie chcesz, bym zrzucił te łachmany?

— Nie godzi się, by Oświecony chodził tak nędznie odziany!
Ten nowy materiał jest twój. Uczyni mi zaszczyt i przyjmij go!

To prawda, że moja tunika wykrojona z ubrania człowieka polującego na gazyli prawie się rozpadła, i odtąd zadawałam się kawałkami szmat znalezionymi na śmietniku, które związuję jak potrafię i owijam wokół ramion i talii.

Oto co odpowiadam temu człowiekowi:

— Kiedy się głosi ubóstwo, warto samemu wyglądać ubogo!

— Od dawna pragnąłem zrobić coś dla ciebie, ale nie miałem śmiałości! — mówi mężczyzna.

Przedstawia się. Nazywa się Dziwaka Komarabakka i pełni funkcję osobistego lekarza Bimbisary, króla Magadhy, mieszkającego w pałacu z różowych cegieł.

— Zechciej przyjąć ten dar, o Oświecony, a uczynisz mi wielki zaszczyt — nalega królewski medyk, po czym klęka przede mną.

Mówię do niego tak:

— Dobrze. Zgadzam się. Jesteś dobrym człowiekiem i za nic w świecie nie chciałbym sprawić ci przykrości.

Zdejmuję zatem moje łachmany i owijam wychudzone ciało nową materią.

— Jestem tylko lekarzem ciała, a to niewiele znaczy w porównaniu z lekarzem dusz, jakim ty jesteś, Gautamo Oświecony! — wzdycha Dziwaka Komarabakka.

— Każdy powinien postępować najlepiej jak to możliwe, bez względu na wykonywany zawód i pozycję społeczną. Nie wątpię, że tak jest w twoim przypadku.

— Może mógłbym rozmasować ci nogi? Widzę, że podeszwa twojej lewej stopy krwawi. W tym woreczku mam bardzo skuteczną maść... — dodaje medyk, otwierając słoiczek i dając mi powąchać jego pachnącą kamforą zawartość.

— Zgódź się na jego propozycję! Cierpisz już zbyt długo! Jeśli infekcja nie zostanie zahamowana, może zająć całą nogę!

— błaga Ananda, który z uwagą przysłuchiwał się naszej rozmowie.

Kiwam głową na znak zgody.

— Ta maść zrobiona jest z kamfory, miodu i arniki! — wyjaśnia królewski medyk, masując zainfekowaną ranę dłonią wysmarowaną leczniczą maścią.

Potem dodaje:

— Mistrzu Gautamo, chciałbym nauczyć się twojej doktryny na pamięć, by móc powtórzyć ją swoim dzieciom. Jako lekarz

pamięć mam dobrą. Podczas studiów musiałem zapamiętywać tysiące stron. I wszystko zapamiętałem...

- Doktryna jest tylko środkiem, nie celem! Kiedy nie ma mostu, potrzebujemy tratwy, żeby dostać się na drugi brzeg rzeki. Co zrobiłbyś z tą tratwą, mój przyjacielu, kiedy dotarłbyś już na drugi brzeg?
- Nie bardzo wiem. Może niósłbym ją dalej na głowie albo na plecach? — odpowiada medyk.
- No właśnie. A wiesz, co ja bym zrobił? Zostawiłbym ją na brzegu, do którego przybiłem, żeby mogła służyć innym. Prawda, której nauczam, jest jak ta tratwa: pozwala przebyć rzekę, w której ludzie utopiliby się bez niej. Moja doktryna nie jest stworzona po to, by ją nieść lub zatrzymać dla siebie. Jest środkiem do odnalezienia Świętej Ścieżki, a z całą pewnością nie jest celem samym w sobie!
- A jeśli prąd zniesie tratwę w inne miejsce, co się wtedy dzieje? — niepokoi się Dziwaka.
- Poddaj się wtedy nurtowi rzeki, a zobaczysz, dokąd cię zaprowadzi...
- Czy takie postępowanie nie jest oznaką słabości?
- A czym jest słabość? Czym jest siła? Przyjmować rzeczy takimi, jakimi są, i nie bać się — oto początek prawdziwej mądrości. Tylko ona pomaga pokonać Pięć Splamień, będących wielce szkodliwymi rzeczami.
- Co to za Pięć Splamień? Błagam cię, powiedz mi! — prosi królewski lekarz.
- Pożądliwość, złość, odrętwienie, wzburzenie i zwątpienie — oto Pięć Splamień!

Po tych słowach Dziwaka żegna się ze mną, przepelnięny wdzięcznością. Na odchodnym informuje mnie, że zamierza powtórzyć je królowi Bimbisarze.

Ku wielkiemu zdziwieniu mnichów, dwa dni później do naszej pustelni przybywa orszak słoni ozdobionych złotem i drogimi kamieniami, a największy niesie na grzbiecie królewską lektykę.

— Wielki król Magadhy, Bimbisara, zechciał przybyć tu i złożyć ci hołd! — wyjaśnia lekarz, pochylając się nisko przede mną.

— Po raz pierwszy król czyni taki gest wobec Oświeconego!
— krzyczy w zachwycie najstarszy z braci Kaśjapów, zazwyczaj nieczuły na hołdy, szczególnie te składane przez możnych tego świata.

Mówię do Mahakaśjapy:

— Nie obchodzi mnie, czy ten ktoś jest królem czy biednym rolnikiem, czy żądnym krwi żołnierzem. Wszystkich, którzy starają się poznać Szlachetną Ścieżkę, przyjmuję bez wyjątku w taki sam sposób.

W cieniu cypryjskiego drzewa rozmawiam z królem Magadhy.

— Co taki król, jak ja daleki od wyrzeczeń, może zrobić dla ciebie Oświeconego? — pyta mnie ten władca, przywykły do zasady, że cel uświęca środki.

Odpowiadam mu:

— Medytować i modlić się. Ponieważ dzięki wierze można pokonać rwący nurt; bo dzięki gorliwości pokonujemy ocean; bo dzięki energii można pozbyć się cierpienia, bo dzięki mądrości osiągamy czystość.

— Czy nie miałbyś jakiejś konkretnej prośby do króla Magadhy? Wystarczy, że uniosę jedną brew, a cały dwór jest mi posłuszny!

— Gdybyś mógł dostarczyć nam materiału w kolorze ochry, moglibyśmy odziać wszystkich mnichów i mniszki naszej sanghi...

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem! — odpowiada król, który już nazajutrz wraca ze słoniem, niosącym na grzbiecie bele pomarańczowej materii.

Zwołuję wtedy całą wspólnotę i mówię do swoich uczniów:

— Począwszy od dnia dzisiejszego, wasze ubranie będzie się składać z trzech części nałożonych na siebie, lecz oddzielnych: *antarawasaki* składającej się z pięciu pól owiniętych

wokół bioder i ud; *utarasangi* — jednowarstwowej szaty przypominającej krojem pole ryżowe; *sanghati* — wierzchniego płaszcza z podszewką dla ochrony przed niepokogą!

Dla poparcia moich słów proszę Anandę o rozwinięcie kawałka materiału dostarczonego przez króla Rajgiru, po czym sam je kroję i układam na ciele mojego syna, neofity Rahuli, aby pokazać wszystkim pozostałym, jak należy to robić.

- Dlaczego *utarasanga* ma przedstawiać ryżowe pola? — pyta mnie władca.
- Aby nam przypomnieć, jakie mają dla nas znaczenie: gdyby nasi ofiarodawcy nie mieli ryżu, czym mogliby nas obdarować?
- Miałem w życiu pięć wielkich nadziei: że pewnego dnia zostanę królem, że Budda zechce kiedyś odwiedzić moje królestwo, że będę mógł go podziwiać, że nauczy mnie swojego Prawa, że będę mógł wyznać mu swoją wiarę. I oto nadszedł ten dzień! Wierzę w ciebie, Panie! Wierzę w Prawo przez ciebie głoszone! — wykrzykuje król Bimbisara.
- Czy mogę przywdziać tunikę w kolorze ochry i zanurzyć się w nurcie? — szepce stojący obok Dziwaka Komarabakka.

Tydzień później król Magadhy jest u mnie ponownie.

- Mam dla ciebie ogród! — oznajmia.
- Sangha nie posiada żadnej własności.
- Błagam cię, przyjmij w darze ode mnie Ogród Weluwana! To jedyny w okolicy gaj bambusowy. Zależy mi na nim jak na źrenicy oka. Uczyn mi więc ten zaszczyt i przyjmij go!

Król oprowadza mnie po gaju, w którym jego ogrodnicy hodują różne odmiany trzciny cukrowej, w tym najrzadsze jej okazy o czerwono-czarnych łodygach.

Dziękuję Bimbisarze za jego hojność.

Odpowiada mi:

- Ofiarować coś sandze to dla mnie wielkie szczęście!
- Potem oddala się.

Cień i mur

Wraz z końcem pory monsunowej ustają deszcze.

Drogi, niedawno przypominające strumienie i bajora, znowu są dostępne.

Właśnie opuściliśmy Śrawasti położone nad rzeką Rapti, gdzie bogaci pobożni ludzie urządzili dla naszych zebrzących mnichów przepyszny ogród z wypoczynkowymi pawilonami.

Od trzech dni Ananda i ja podążamy na północ, idąc w palącym słońcu drogą zapełnioną wózkami ciągniętymi przez osły, wiozącymi melony i ściętą trzcinę cukrową.

Zamierzamy udać się do Kauśiambi, stolicy królestwa Watsa, zbudowanej u stóp wysokiego zbocza, w którym znajduje się jaskinia. Mieszkańcy Kauśiambi są przekonani, że zamieszkują ją złe bóstwa.

U kresu naszej wędrówki mam nadzieję podsumować ubiegły rok.

Sangha liczy teraz prawie dwa tysiące uczniów — *bhiksu* i *bhiksuni**.

Aby zapewnić tej wspólnocie współżycie w pokoju, ustanowiłem Pięć Zakazów zabraniających: zabójstwa, kradzieży,

* *bhiksu*, *bhiksuni* (sankr.) — mnich, mniszka.

nielegalnych związków seksualnych, kłamstwa i używania środków odurzających.

Nienawiść nie może być zwalczona nienawiścią, zniszczyć ją może wyłącznie miłość.

Uczniowie, którzy pozostali w stanie świeckim, zobowiązują się szanować Pięć Zakazów, przy czym nie muszą rezygnować z dóbr materialnych ani żyć wyłącznie z jałmużny.

Z tego powodu pozostaną z dala od Wyzwolenia, ale jeśli wykonają dobre uczynki, będą mogli żyć z nadzieją na odrodzenie się pod postacią mnichów, następnie arhatów oraz na dostąpienie Zgaśnięcia i Wyzwolenia w nirwanie.

Od swoich mnichów wymagam o wiele więcej, zwłaszcza absolutnej czystości cielesnej.

Wymagam także, by nigdy nie oburzali się, kiedy ktoś odmówi im jałmużny. Muszą dalej iść swoją drogą i nadal żebrac, aż znajdą jakąś dobrą duszę, która zechce okazać im miłosierdzie.

Większość moich uczniów podporządkowuje się tym zasadom.

Tym, którzy dołączyli do sanghi przez pomyłkę lub kierowani złymi intencjami, trudno jest zrozumieć rządzące w niej prawa.

Muszę więc im wyjaśniać:

Te proste reguły życia są niczym w porównaniu z Dharmą, Prawem Świata. Jak moi uczniowie mogliby stosować się do Dharmy, gdyby nie chcieli stosować się do prawa rządzącego naszą wspólnotą?

Zbliżając się do nawiedzanej jaskini, zauważam wahanie Anandy.

— Niektórzy powiadają, że jaskinię Kauśiambi zamieszkują straszliwi bogowie! Czy jesteś pewny, że wkroczenie do brzucha tej góry nie jest niebezpieczne? — odpowiada, kiedy pytam go przyczynę jego niepokoju.

— To się okaże!

Nalega:

- Po co iść tak daleko? Twoje stopy są poranione, a kostki opuchnięte.
- Dobrze od czasu do czasu wycofać się ze świata, nawet takiego jak sangha. Poza tym moi uczniowie powinni przyzwyczajać się powoli do mojej nieobecności...

Na te słowa spojrzenie Anandy ciemnieje, jakby perspektywa takiego zakończenia była dla niego niezwykle bolesna.

Wejście do jaskini Kauśiambi znajduje się w olbrzymiej ścianie skalnej, dominującej nad miejscem, w którym wody rzeki Jamuny zbiegają się z wodami rzeki Ganges, łącząc tam swoje kolory i energie.

Niezmierny lasur nieba jest doskonale spokojny, równie doskonale biała jest wapienna skała, a otwór jaskini zupełnie czarny.

Skalna ściana jest prawie pionowa, do wejścia do jaskini prowadzą wykute w skale stopnie.

Oświadczam Anandzie:

- Spędzę tutaj kilka tygodni!

Przy samym wejściu do jaskini ustawiono platformy ofiarne, wypełnione owocami mango, bananami i ziarnami zbóż.

Wnętrze jest tak ciemne dla naszych oczu oślepionych światłem słonecznym, że mamy wrażenie wkraczania w otchłań nicości.

Jaskinia Kauśiambi pozwala się poznać dopiero po długim okresie przebywania w niej. Jej ściany są czarne od dymu świec palonych przez pobożnych ludzi, którzy zbierają się w niej na modlitwy. Unosi się tu lekki zapach pleśni, charakterystyczny dla miejsc, do których nigdy nie dociera światło dzienne. O dziwo, ten zapach, doskonale wyczuwalny mimo zapachu wosku zgaszonych świec zmieszanego z kadzidłami, wzbogaca panującą tu atmosferę o nutę półmroku.

Kiedy mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności, dostrzegam płaski kamień podobny do okrągłego stołu, nieco podwyższonego w stosunku do poziomu podłoża; na tym kamiennym półmisku czyjeś ręce ustawiły kosze owoców.

Ściana jaskini jest pionowa i gładka jak mur.

Próbuję ocenić, jak wysoko sięga. Na próżno, sufit jaskini rozplywa się w ciemnościach i w górze słyszę tylko trzepot skrzydeł nietoperzy.

Wszystkie święte jaskinie są do siebie podobne.

— Czemu mają służyć te zgaszone świece? — pyta zatrwożony Ananda.

— Są zapalane na cześć bogów gór.

— A kto korzysta z tych wszystkich darów?

— Małpy! Spójrz tylko! Pełno ich u wejścia do jaskini!

Kiedy wychodzimy na zewnątrz, jedna z małpich matek z małym uczeptionym jej brzucha ucieka i chowa się za skałą. Nieco dalej trzy czy cztery małpy wystawiają głowy zza załomu skalnego.

— Czy naprawdę masz zamiar zatrzymać się tutaj, w tym ciemnym i wilgotnym miejscu odwiedzanym przez małpy? — pyta zaniepokojony Ananda.

Odpowiadam:

— Zwierzęta podobnie jak my troszczą się o konsekwencje swoich uczynków. Owady mają nadzieję odrodzić się w postaci małp, a te z kolei spodziewają się odżyć pod postacią ludzką! Dążą do tego całym swoim zachowaniem. Tak więc nie mam powodu do obaw.

— Zamierzam zostać tu z tobą! Na wypadek gdyby cię zaatakowały. Zdarza się, że małpy pożerają ludzi!

— Twoje oddanie wzrusza mnie, Anando, ale pragnę zostać sam. Idź odpoczywać w miejscu przeznaczonym do medytacji, jakie pobożni bogacze kazali zbudować nad brzegami rzeki Rapti.

— Pozwól mi przynajmniej wracać tu na noc i sypiać przed jaskinią. Będę, kiedy mnie zawołasz.

Wracam sam do jaskini.

Kładę ręce na szarej skale, jest pofałdowana jak skóra słonia i przywodzi mi na myśl baśń o królu nazywanym Powierzchnia Lustra.

Pewnego dnia król ten spytał niewidomych od urodzenia, czy znają słonia. „Nie!”, odpowiedzieli chórem ślepcy. Wówczas król nazywany Powierzchnia Lustra kazał przyprowadzić do nich zwierzę i poprosił, żeby go dotykali, a następnie opisali. Jeden z niewidomych złapał za trąbę, drugi za ogon, trzeci za kiel, inny za nogę, jeszcze inny za udo i tak dalej. „Opiszcie teraz tego słonia!”, poprosił król tych wszystkich, którzy dotknęli zwierzęcia. „Do czego jest podobny?”. „Do wygiętego steru”, wykrzyknął ten, który dotknął trąby. „Do derki!”, rzekł ten, który dotknął ucha. „Do słupa!”, stwierdził ten, który trzymał w ręce jeden z kłów. „Do kolumny świątyni!”, dodał ten, który o mały włos nie został zmiążdżony przez słoniową stopę. Następujące po sobie opisy były tak różne, że wywołały kłótnię ślepców, którzy wzajemnie zarzucali sobie kłamstwo. Wówczas król wykrzyknął: „Biedni ślepcy! Wszyscy jesteście w błędzie! Słoń jest całością, a każdy z was mógł ocenić tylko jedną jego część!”.

Ten, kto sądzi, że ogarnia całą Prawdę, często dostrzega tylko jeden z jej aspektów!

Siadam na płaskim kamieniu.

Przed sobą mam wysoką skalną ścianę.

Medytacja nie sprawia mi już trudności. Stała się czymś naturalnym.

Światło wpadające od wejścia do jaskini rzuca teraz cień mojej sylwetki na kamienną ścianę.

Delikatnie dotykam ustami muru, tej mineralnej skóry słonia, i mówię na głos:

— Wędrowny asceta żyje pod gołym niebem, podążając drogą światła, podczas gdy uciśniony człowiek żyje w domu, poruszając się po zakurzonych drogach. Tathagata wstrzymuje się od zabijania żyjących istot, składa broń, przepęlnia go litość, życzliwość i współczucie dla nich, powstrzymuje się od kradzieży i kłamstwa, nie używa wulgarnych słów, godzi zwaśnionych i zachęca ich do pojednania, unika wyrażenń frywolnych na rzecz właściwych, nie kupuje i nie sprzedaje,

niczego nie niszczy, nie dziurawi i nie kroi, jest zadowolony ze swojego losu, a za całe bogactwo ma ubranie, podobnie jak ptak, który tam, dokąd leci, zabiera tylko swoje upierzenie. Działa wyłącznie w dobrej wierze, z całą świadomością, obojętny, czy idzie naprzód, czy się cofa, czy prostuje swoje członki, czy też je kuli. A kiedy opuści go poruszenie i żal, wówczas myśl ascety, uwolniona od wszelkich namiętności, może rozpocząć medytację. Mówię także:

— Cisza i wewnętrzne skupienie mają swój udział w poznaniu, bo spokój pozwala rozwinąć się świadomości. Tylko świadomość pozwala odłożyć pragnienia na właściwe dla nich miejsce i zrezygnować z nich. Wewnętrzne skupienie pozwala rozwinąć się mądrości. Tylko mądrość pozwala odciąć korzenie niewiedzy.

Powiadam:

— Aby osiągnąć mądrość, asceta pozostaje w pozycji siedzącej z nogami skrzyżowanymi, idealnie wyprostowany, na podobieństwo jego myśli: może wówczas ćwiczyć się w czterech stopniach skupienia medytacyjnego — skupienie na ciele, wrażeniach, myśli i ideach. Najłatwiej jest skupić się na swoim ciele: wdychać i wydychać, aby je sobie uświadomić; musisz być jednocześnie „w” swoim ciele i „na zewnątrz”; musisz widzieć, jak jesz, pijesz, śpisz, chodzisz i mówisz, i to z pełną świadomością; musisz także zaakceptować własne ciało takim, jakim jest: złożone z pierwiastków nietrwałych, podlegające niestałości i skazane na śmierć; być czujnym na odbierane wrażenia, te dobre i te złe, przyjemne i nieprzyjemne, fizyczne i umysłowe; uważnie śledzić myśl i starać się oddzielić ją od wszelkiej emocji, czy będzie to myśl słuszna czy błędna, najwyższa czy przyziemna, uwolniona czy podporządkowana. Najtrudniej jest skupić się na ideach: trzeba tak długo pozwolić umysłowi wędrować przez świat pojęć, aż będzie on tylko wspomnieniem, i zburzyć w myślach wszystko, czego się nauczyłeś...

Kiedy ponownie otwieram oczy pod koniec medytacji, stwierdzam, że moja sylwetka rysuje się na kamieniu z niewiarygodną ostrością.

A kiedy oddalam się od kamienia — o dziwo! — rysunek mojego cienia pozostaje utrwalony na kamiennej ścianie...

31

Prześladuje mnie nienawiść Dewadatty

Dlaczego w twoim sercu jest tyle nienawiści, Dewadatto?
Dlaczego życzysz mi śmierci?

Dlaczego, Dewadatto, posunąłeś się do oskarżenia mnie przed
zgrupowaniem mnichów, że dopuściłem do zabijania naszych i
że nie zareagowałem na to?

Dwa miesiące księżycowe temu Prasenadżit, król krainy
Kośiala, został zabity przez swojego syna Wirudakę.

Wirudaka dowiedział się, że szlachetnie urodzeni Siak-jowie —
z mojego klanu — mało zainteresowani oddaniem jego ojcu za
żonę jednej ze swoich córek, wysłali do króla Kośiali zwykłą
niewolnicę, która miała być odtąd dla Wirudaka matką! Kiedy
Wirudaka odkrył skrywane przed nim sekret, wpadł we
wściekłość i rzucił się na swojego ojca z maczetą, nie
oszczędzając przy tym kilku członków klanu Śiakjów winnych, w
jego oczach, dania mu za matkę kobiety niegodnej.

I ty zarzucasz mi teraz, że na to nie zareagowałem!

Co mogłem zrobić, stojąc z gołymi rękami naprzeciwko lanc i
mieczy?

Byłem tak zgnębiony i zde gustowany wytoczonym mi przez
ciebie procesem, że po twojej oskarżycielskiej mowie nie

powiedziałem ani słowa, nie potrafiłem odpowiedzieć obelgą na obelgi.

Na szczęście mnich Subhuti pospieszył mi z pomocą.

— Oświecony nie odpowiada gwałtem na gwałt! Twoje cierpkie uwagi nie zrobiły żadnego wrażenia na członkach sanghi... — odpowiedział. — A ty wściekleś się, widząc, że twój atak spalił na panewce.

— Oświecony nie ma nic wspólnego z tą tragiczną historią. To Wirudaka powinien być osądzony przez trybunał. Zresztą z taką karmą nieprędko opuści samsarę! — dodał Ananda, zamykając ci usta.

Przez twą haniebną zdradę, Dewadatto, mnisi zdecydowali o wykluczeniu cię z sanghi.

Odbyło się to bez mojego udziału.

Sam nie podjąłbym takiej decyzji, uznając, że swoim postępkim ukarałeś przede wszystkim samego siebie!

Potem uznałeś, że narzędziem zemsty w twoich rękach będzie jedyny syn króla Bimbisary, Adżataśiatru. Wiem, jakim sposobem zdołałeś go ometać: pokazałeś mu swoje *iddhi**...

Dzięki temu zyskałeś jego zaufanie już na waszym pierwszym spotkaniu na starannie przez ogrodników utrzymanym trawniku pałacu Bimbisary, na którym syn króla Magadhy lubił rozgrywać partie krykieta ze swoim towarzyszami.

— Bądź pozdrowiony, o Adżataśiatru! — rzekłeś do księcia, przewidując jego reakcję.

— Skąd wiesz, jak się nazywam? — spytał.

— Któż nie słyszał o synu wielkiego króla Bimbisary?

Adżataśiatru spojrział podejrzliwie na nieznanego, który zawołał go po imieniu, lekceważąc dworską etykietę.

Ten rozpieszczony i kapryśny książę nie lubił, żeby mu przeszkadzano, zwłaszcza kiedy wygrywał.

Jego słudzy, grający w karty pod jednym z mangowców,

* *Iddhi* (sansk.) — dosł. „przewaga umysłu nad materią”, zdolności psychiczne.

przybiegli natychmiast, by wypędzić intruza, który ośmielił się zwrócić bezpośrednio do ich pana. Biada im, gdyby coś przydarzyło się następcy tronu królestwa Magadhy. Król Bimbisara nie puściłby im tego płazem!

Chcąc jednak dowiedzieć się czegoś więcej na temat bezczelnego indywiduum, książę dał znak sługom, by nie interweniowali.

— Kimże jesteś, że zwracasz się do mnie w ten sposób, mimo iż nie zostaliśmy sobie przedstawieni?

— Jogin Dewadatta, do usług, o Adzataśiatru! — odpowiedział bezczelnie.

Książę uderzył twój wygląd, a zwłaszcza błysk twoich oczu, których nie omieszkałeś podkreślić czarną kredką.

Skąd naiwny Adzataśiatru mógł wiedzieć, że w spojrzeniu tych oczu wykrojonych jak migdały, oczu uwodziciela, że za tą twarzą o doskonałym owalu kryje się łajdak?

Im bardziej ci się przyglądał, tym bardziej mu się podobałeś!

— A na czym polegają twoje *iddhi*, o joginie Dewadatto? — spytał cię wzruszonym głosem.

— Potrafię zmienić się w dzikiego tygrysa, a także unieść się w powietrze bez żadnej pomocy.

Nie zawahałeś się przed kłamstwem.

— Jeśli pozwolisz mi wybrać, to wolę twoje drugie *iddhi*. Nie mam ochoty zostać pożarty na surowo! — oznajmił książę, wzbudzając tą odpowiedzią wesołość otoczenia.

Kilkoma wdechami i wydechami oraz paroma odpowiednio dobranymi ćwiczeniami wstępnymi sprawiłeś, że uwierzył, iż potrafisz lewitować. W jaki sposób? Dzięki jakim sztuczkom? Nie mam pojęcia...

Książę opowiedział wszystkim, którzy go słuchali — dzięki czemu dotarło to także do mnie — że unosiłeś się poziomo nad ziemią, opierając się o drzewo jednym tylko łokciem!

— Jak można osiąść taką umiejętność? — zapytał książę po zakończeniu twojego pokazu.

— To wymaga ogromnej pracy, a zwłaszcza koncentracji. Mógłbym ci pomóc w zdobyciu tej umiejętności...

- Widzę, że nosisz szatę w kolorze ochry, taką samą jak zwolennicy Gautamy buntownika... Czy to on nauczył cię tej magicznej sztuczki?
- Obecnie nie stykam się już z rzezonym Gautamą. Odszedłem z sanghi. Wolę mieszkać sam, z dala od innych mnichów. Jak każdy szanujący się jogin, czuję w sobie powołanie pustelnika.
- Gdzie można cię znaleźć?
- Na Górze Sępów. Mieszkam tam w małej pustelni położonej w połowie zbocza.
- To niedaleko stąd!
- W istocie. Kiedy zamierzasz mnie odwiedzić? Miło mi będzie cię gościć! — dodałeś bez wahania.
- Już jutro, jeśli będziesz u siebie.
- Będę z pewnością.

Syn króla Bimbisary dotrzymał słowa i od tego dnia nie było tygodnia, w którym nie złożyłby ci wizyty... Zaufał ci tak bardzo, że zaczął ci się zwierzać.

I tak pewnego dnia Adzataśiatru powiedział ci w zaufaniu, że spieszo mu objąć tron ojca.

A ty skorzystałeś z nadarzającej się okazji.

- Mógłbym ci pomóc w obmyśleniu planu, który pomoże ci jak najszybciej zrealizować twoje pragnienie. Zasługujesz na to...
- A jak mam cię do tego zachęcić?
- Dążę do tego, żeby pewnego dnia zastąpić Oświeconego na czele sanghi...
- Zatem coś za coś?

I tak pod ośnieżonym szczytem Góry Sępów doszło między wami do zawarcia przymierza na śmierć i życie, obiecaliście, że pomożecie sobie nawzajem w osiągnięciu swoich celów.

Teraz wiem, że zrobisz wszystko, by osiągnąć swój. Dlaczego, Dewadatto, zagubiłeś się w ten sposób na drodze donikąd nieprowadzącej?

Gdybyś tylko wiedział, jak mi cię żal!

Balwierz Upali

Powietrze jest tak wilgotne, że cała przyroda ocieka wodą, od liści i pni drzew po łodygi bambusów i kielichy kwiatów. Jeśli zaś chodzi o krzewy kasji, to wydaje mi się, że po deszczu wyglądają, jakby płonęły.

Siedzę w szałasie. Postarzałem się, muszę odpocząć, zanim przemówię.

Kilka kroków ode mnie balwierz Upali, ten sam, który ogolił mi głowę tuż po moim Wielkim Odejściu z Kapilawastu, a trzy lata później dołączył do sanghi, zwraca się do tłumu wiernych:

- Słuchajcie, słuchajcie, dobrzy ludzie! Chodźcie wysłuchać kazania tego, który w Uruwilwie odebrał hołd króla węży — Muczalindy, po czym doznał Oświecenia pod świętym figowcem! — krzyczy do zgromadzonych wokół niego ludzi.
- A więc straszliwy wąż Muczalinda przyszedł osobiście pokłonić się Oświeconemu? — pyta pewna matrona, ocierająca raz po raz spoconą twarz połą sari.

W ramionach trzyma wychudzone dziecko o bladej twarzyczce.

- Prawdą jest, że Muczalinda, król węży, najpierw siedem razy zwinął się wokół siebie, by Oświecony mógł na nim usiąść jak na fotelu, a potem nadął szyję, by ochronić nią jego głowę

jak kapturem... Gautama przesiedział tak siedem dni i siedem nocy bez ruchu, bez jedzenia i picia! — uściśla były balwierz. Przemawia z taką pewnością, jakby był handlarzem zachwalającym towar.

- Gautama Oświecony jest zatem silniejszy od najsilniejszych joginów! — krzyczy matrona, wytrzeszczając ze zdziwienia oczy.
- On przewyższa najbardziej doświadczonych joginów. On naucza Ścieżki Wyzwolenia.
- Czy jest odporny na ból? Czy może spać na desce nabitej gwoździami i przekłuć sobie brzuch szpilką? — pyta zaniepokojona gruba kobieta, głosem drżącym z wrażenia wywołanego myślą o tych mękach.
- On może o wiele więcej, bo zgłębił prawo cierpienia i teraz tłumaczy ludziom, jak go uniknąć!
- A co to takiego to prawo cierpienia!? Nie widać, żebyście cierpieli! Wszyscy członkowie sanghi wyglądają raczej na wesołych i szczęśliwych.
- Kiedy tak wędrujemy drogami z Siddharthą Gautama, czujemy się szczęśliwi! Kiedy widzimy dziecko śmiejące się w objęciach matki, czujemy pełnię szczęścia. Kiedy, widząc Gautamę, zdziczały pies przestaje szczerzyć kły i liże jego stopy, także jesteśmy szczęśliwi! Wesołość cechuje tych, którzy wiedzą. Od kiedy mamy świadomość, że *duhkha* rządzi światem, i obraliśmy drogę, która pozwala nam uwolnić się od niej, już się jej nie obawiamy i stąd nasza wesołość!

Po co Upali upiększa w ten sposób moje Oświecenie przed tą kobietą? Czyż Szlachetna Prawda nie jest cudowniejsza od tych zewnętrznych manifestacji, które są jednak smakowitym kąskiem dla moich uczniów?

W miarę jak opowieść o Oświeconym podawana jest z ust do ust, ulega zniekształceniu, a moi uczniowie wciąż upiększają moje uczynki i gesty.

W chwili gdy pod figowcem pipal we wsi Uruwilwa doznałem Oświecenia, wprawdzie zamknąłem oczy i modliłem

się żarliwie, ale wątpię, aby był tam ze mną bóg Muczalinda. Okazywanie mi zaś przyjaźni przez dzikiego psa uważam za całkiem normalne. Bo dlaczego jakieś zwierzę miałyby coś przeciwko człowiekowi, który ma dla jego świata tyle samo współczucia, co dla ludzi?

— Czy moje dziecko może swoją małą rączką dotknąć szaty tego świętego człowieka? — pyta matrona. — Podobno biedni mogą zbliżać się do niego bez obawy, że zdzieli ich kijem, jak to się często zdarza w przypadku braminów, których asysta zawsze żąda pieniędzy.

Na te słowa wychodzę z ukrycia.

Kiedy kobieta mnie dostrzega, jej twarz się rozjaśnia.

Jej dziecko jest śmiertelnie chore. Trawi je febra, a czoło, którego dotykam, jest rozpalone. Ma oczy szeroko otwarte, lecz wiem, że mnie nie widzi. Spod delikatnej skóry prześwitują kości czaszki.

Upali nadal namawia tłum do podejścia bliżej i wysłuchania mojego kazania.

— Wkrótce usłyszycie jego Cudowne Słowo. Opowie wam, w jakim stopniu zbawienie człowieka zależy od niego samego. Wcześniejsza religia wpajała ludziom strach przed śmiercią i obawę, że mogą nie spodobać się bogom. Robiła z nich niewolników pozbawionych własnego osądu. Dla Oświeconego Gautamy śmierć jest tylko etapem prowadzącym do Ostatecznego Wyzwolenia. Oczywiście pod warunkiem prowadzenia życia wypełnionego dobrocią, tolerancją, współczuciem i respektowaniem Pięciu Zakazów.

— Boję się, że moje dziecko umrze! Nic nie pomagają błagania zanoszone od wielu dni do boga Indry! — jęczy kobieta.

Odpowiadam jej:

— Ja nie obawiam się śmierci. Indra, który uważa się za króla bogów podobnie jak Brahma, Iśwara, Yama i wszyscy inni uchodzący za jedynych wiecznych immanentnych bogów, wszyscy oni podlegają niestałości i samsarze. Mówię to,

albowiem poznałem drogę do Wyzwolenia! Bogowie nie mają z tym nic wspólnego!

— Czyż Indra nie jest wielkim bogiem, sądząc po liczbie wyznawców tłumnie nawiedzających jego świątynie w mieście i na wsi?

Odpowiadam:

- Cały wszechświat — a składa się on z wielu wszechświatów — ma kształt cylindra o czterech piętrach. Na najwyższym, czwartym piętrze znajduje się góra Meru albo Sumeru otoczona czterema kontynentami oblanymi oceanem. Na najniższym piętrze cylindra, na poziomie żądz i chuci cielesnych, przebywają potężni, wygłodniałe duchy, zwierzęta i niewolnicy pragnień, ponad którymi żyją w niebiańskich pałacach dawni niżsi bogowie indyjskiej religii wedyjskiej, której głównym bogiem jest Indra. Między nami śmiertelnikami i tymi bogami nie istnieje żadne przerwanie ciągłości.
- Kiedy pomyślę o najniższym piętrze twojego cylindra, mistrzu Gautamo, dostaję dreszczy! — jęczy matrona, patrząc na mnie żrenicami rozszerzonymi strachem.
- Ci, którzy odkrywają Ścieżkę Zbawienia, przebywają na drugim piętrze cylindra wszechświata, piętrze form *rupa*. W porównaniu z nim piętro żądz i chuci cielesnych leży tak nisko, że ten, kto dotarł do „piętra form” nie może go widzieć, dzięki czemu unika wszelkiej pokusy i pragnienia. Właśnie na piętrze form znajdują się cztery poziomy medytacji *dhyana*, które przeszedłem, dążąc do Oświecenia!
- Czy mógłbyś pomóc mi tam dotrzeć, o Najświętszy z Ludzi!

Odpowiadam:

- Jeszcze wyżej, tuż pod ostatnim piętrzem z górą Meru, znajduje się piętro *arupja* — „świat bez form”, świat Czterech Skupień Niematerialnych, a w nim bezcielesne istoty, czyste świadomości pogrążone w tak niezwykle subtelnych stanach, że bytują na pograniczu Nicości!
- Jakież to musi być szczęście znaleźć się na piętrze

arupja, mistrzu Gautamo Oświecony! — woła kobieta łaknąca Prawdy, podczas gdy kona owoc jej trzewi.

Do tej kobiety, w ramionach której dziecko wydało właśnie ostatnie tchnienie i która oplakuje je gorzkimi łzami, mówię tak:

— Nie większe to szczęście niż nieszczęście. Szczęście istnieje tylko dzięki nieszczęściu. Oświecenie jest czymś zupełnie innym! Wiedz, że możesz zostać mniszką i wykorzystać tę okazję, by poświęcić się odtąd poszukiwaniu Świętej Ścieżki!

Tymczasem Upali bierze w objęcia matkę, która straciła dziecko.

Oto trudne do zniesienia cierpienie, chcę go oszczędzić istotom żyjącym, wskazując im Szlachetną Ścieżkę.

33

Składam wizytę mojemu ojcu

Dwa dni temu, razem z kilkoma mnichami, rozłożyłem się obozem nieopodal obszernego pustego terenu, który służy Kapilawastu za wysypisko śmieci.

Rzut kamieniem dzieli czarowne miejsca, w których spędziłem dzieciństwo, od nagromadzonej tu sterty nieczystości; w obrzydliwym smrodzie dziesięcioro sierot, rozczochranych i odzianych w łachmany, przegrzebuje odpady w poszukiwaniu choćby okruszyny pożywienia. Kiedy trafią na jakieś resztki zbyt brudne, by nadawały się do zjedzenia, palą je w ognisku, podtrzymując ogień w dzień i w nocy.

Jakiś dzieciak o oczach większych niż połowa jego wychudłej twarzyczki przytula do mojego ramienia główkę pokrytą strupami.

Ananda podaje mu banana, dziecko natychmiast chwytając owoc jak głodna małpka, po czym szybko ucieka w kierunku braci i sióstr kucających na stercie śmieci, nad którą unosi się rój much.

Serce mi się ściska z żalu na myśl o ciastkach niezjedzonych przeze mnie i Anandę, które zapewne tu wylądowały.

Lepiej rozumiem, dlaczego mój ojciec starał się za wszelką cenę ukryć przede mną taką rzeczywistość. Gdybym wiedział,

co dzieje się na tym wysypisku, z pewnością przychodziłbym tu i rozdawał żywność tym wszystkim dzieciakom.

Nadchodzi ojciec rodziny, która zmusza dzieci do żebrania. Na rękach trzyma półnagie niemowlę.

Mówię do niego:

- Nie powinienes kazać żebrać tak małym dzieciom.
- To moja córka i mogę z nią robić, co zechcę! Należy do mnie. To ja decyduję o jej życiu i śmierci! — odpowiada niegodny ojciec.
- To dziecko nie jest twoje, nawet jeśli jesteś jego ojcem!
- Jej położenie jest lepsze od położenia tych tam dzieciaków, które w każdej chwili ryzykują poparzeniem! — mówi.
- Nie jestem tego taki pewien. A ty nie masz prawa tak mówić!

W tym momencie widzę nadchodzącego pana Padani, notariusza, którego często widywałem, jak grał z moim ojcem w kości wysypywane ze srebrnego kubeczka.

— Śiuddhodana dowiedział się o twoim przybyciu, ale był zbyt wzruszony, by tutaj przyjść. Wysłał mnie do ciebie, bym cię powiadomił, że będzie szczęśliwy, jeśli go odwiedzisz — szepce do mnie pan Padani.

Ruszamy w kierunku fortecy.

— Powiedziano mi, że mój syn Siddhartha przebywa w mieście i żebrze razem ze swoim synem Rahulą! Z początku nie chciałem w to uwierzyć! — jęknął ojciec, kiedy tylko mnie zobaczył.

Cofa się, kiedy chcę go objąć.

Patrzę na niego ze smutkiem.

Nietrudno dostrzec, jak bardzo Śiuddhodana zmienił się od czasu mojego Wielkiego Odejścia.

Ciężar lat zmienił tego smukłego mężczyznę, dzielnego wojownika, w postać pochyłą, otyłą i pomarszczoną, o zmęczonym spojrzeniu — efekt zbyt obfitego pożywienia i gnuśnego trybu życia, niekorzystnych dla starzejącego się ciała.

Ojciec daje znak jednemu ze służących, żeby nalał mi soku

z owoców mango do czarki z brązu z wygrawerowanym herbem rodu Gautama.

- Siddhartho, nie mogę znieść myśli, że zebrzesz na wysypisku miejskim o kilka kroków stąd. Dlaczego nie uprzedziłeś mnie o swoim przybyciu? Mogłem przynajmniej ofiarować ci gościnę!
 - Nie chciałem ci przeszkadzać. Miałem zamiar przyjść do zamku jutro i prosić cię o audiencję.
 - Syn nigdy nie przeszkadza ojcu, Siddhartho! Ilu ludzi ci towarzyszy?
 - Sangha jest teraz bardzo liczna. Jest wśród nas dwa tysiące mnichów i liczni neofici.
 - Rozumiem.
 - Ojczy, mam wrażenie, że masz do mnie pretensję. Korzystając z okazji, chcę cię prosić o przebaczenie za to, że od ciebie odszedłem. Ale dzięki temu odnalazłem Ścieżkę Zbawienia. Teraz nazywają mnie Oświeconym.
 - Wiem o tym. Wieści o tobie docierają do mnie od czasu do czasu. Dowiedziałem się, że w miejscach, przez które przeszedłeś, ludzie cię pamiętają!
- Kładę rękę na ramieniu ojca i pytam:
- Czy chcesz usłyszeć Szlachetną Prawdę? Poznałem ją po długich medytacjach nad losem ludzi.
- Pomimo wymownego milczenia mówię dalej.
- Myślisz pewnie, że jestem szaloną głową, na podobieństwo tych niezliczonych śramanów wywodzących się z bogatych rodów, którzy opuścili domy, i zbulwersowani nędzą swoich bliźnich, głoszą teraz wyrzeczenie się dóbr materialnych...
 - Musisz przyznać, Siddhartho, że ciężko jest patrzeć, jak odchodzi najpierw syn, potem wnuk, który postanowił pójść w ślady swego ojca. Kiedy pomyślę, że udało ci się wciągnąć w tę awanturę nawet biedną Pradžapati Gautami!
 - Nie przewidywałem, że sangha otworzy się przed kobietami. Jednak po dłuższym zastanowieniu nie znalazłem powodów, aby je z niej wykluczyć.

— Obawiam się, żebyś nie ściągnął na siebie gniewu bogów, Siddhartho! Krytykować system kastowy, jak ty to robisz, to zburzyć fundamenty naszego społeczeństwa! Czy pomyślałeś, co by się stało, gdyby każdy nie zajmował miejsca ustalonego odwiecznym porządkiem rzeczy? Gdyby prości ludzie przy właszczyli sobie prawo do rozpalania świętych ogni, oczyszczający ogień przestałby istnieć, a wszystkim braminom za brakłoby zajęcia!

Mówię do ojca:

— Porządek rzeczy to dokładnie to, od czego staram się uwolnić ludzi. Porządek rzeczy to prawo cierpienia! Pragnę, by ogień nienawiści, zawiści i zaślepienia przestał trawić ludzkie serca! Wzywam wszystkich do porzucenia starych bramińskich wierzeń i do nawrócenia się na Szlachetną Prawdę!

Ojciec pochyła nisko głowę.

Moje słowa chyba wstrząsnęły nim do głębi, ale milczy.

Jest zatwardziały w swoich przekonaniach.

Dlaczego jest tak zamknięty na moje słowa, podczas gdy słuchają ich coraz liczniejsze tłumy przyłączające się do mnie! Chyba każdy niedotykalny jest bardziej światły niż któryś Śiakja.

Tymczasem cierpienie nie oszczędza żadnej ludzkiej istoty, bogatej czy biednej. Źródłem konfliktów, rozkładu życia rodzinnego i społecznego jest pragnienie i żądza, bez względu na przynależność społeczną.

Tak bym chciał, żeby ojciec przez chwilę spojrział mi w oczy, zamiast unikać mojego wzroku!

Czyż nie wyglądam na uspokojonego i szczęśliwego?

34

Śmierć Rahuli

Śmierć mojego drogiego Rahuli ugodziła mnie prosto w serce.

Wczoraj rano Ananda, który przez cały czas czuwał przy moim synu, podczas gdy ja oddawałem się medytacji, z trudem zebrał siły, by oznajmić mi tę straszną nowinę.

Zardzewiały koniec motyki, którym mój syn skaleczył się przez nieuwagę w nogę, wywołał zakażenie. W kilka tygodni stała się tak gruba i twarda, sina i pomarszczona jak noga słonia!

W dniach poprzedzających jego śmierć często przy nim siedziałem.

Jego wychudzone ciało słabło w oczach. Trzymałem jego głowę na kolanach i głaskałem ją, szepcząc kojące słowa. Miałem nadzieję, że odegnąją lęk i ukoją straszny ból, odczuwany przez tego, który stał się najgorliwszym z moich uczniów.

— Ojcze, moja noga płonie, a gorączka trawi moje wnętrze! Jeszcze trochę i zejdziesz z tego świata! — wyszeptał w przeddzień śmierci.

Potem moje dziecko przestało mówić, widzieć i słyszeć.

Kiedy zrozumiałem, że umrze, próbowałem stłumić w sobie ogromną złość i przezwyciężyć ogarniające mnie zwątpienie.

A jeśli śmierć Rahuli jest zemstą przygotowaną przez bogów, dla których Szlachetna Prawda jest zaprzeczeniem wszelkich

boskich mocy, i którzy nie mogą pogodzić się z faktem, że podważyłem nawet ich istnienie?

Szybko jednak przegnałem z mojego umysłu tę niedorzeczną myśl.

Przecież gdybym potrzebował dodatkowego dowodu na doniosłość Szlachetnych Prawd, śmierć mojego syna byłaby tego świadectwem!

Teraz muszę stoczyć walkę z samym sobą, pogodzić się i przywdziać żalobę po tej śmierci, tak trudnej do zniesienia.

Czyż jest coś bardziej wstrząsającego dla ojca niż śmierć własnego dziecka?

Mój bunt wyrażają krzykiem wszystkie kości szkieletu i pokrywające je mięśnie, wszystkie pory skóry, wszystkie włosy rosnące na mojej głowie i brodzie!

Mówię do siebie: Po tym, jak Rahula osiągnął stadium arhata drugiego stopnia, będzie musiał powrócić na ziemię tylko jeden raz. Potem stanie się bodhisattwą, którym jestem teraz ja, jego ojciec. Wówczas jego droga do Ostatecznego Wyzwolenia nie będzie już taka długa!

Będę nosił żalobę po moim synu, ale nie będę się skarżył.

W razie potrzeby będę pocieszał moich mnichów i neofitów.

Nawet jeśli kolor nieba, zapach kwiatów i śpiew ptaków wydadzą mi się mniej ważne niż zazwyczaj, bo świat bez mojego syna nie będzie już taki sam, nie powiem o tym nikomu.

Zachowam ból dla siebie.

Skryję go głęboko i złożę w ofierze światu za zbawienie istnień...

35

Zamach Dewadatty na moje życie

Idę drogą w kierunku skrzyżowania, na którym — jestem tego pewien — czekają na mnie zbiry Dewadatty i Adzataśiatru.

Nienawiść jest od zawsze najgorszym doradcą, ale czy ty kiedyś to zrozumiesz, Dewadatto?

Wczoraj mój niegodny kuzyn powiedział do trzech skap-towanych zabójców:

- Sprawa jest prosta. Kiedy tylko zobaczycie tego ascetycznego mnicha zwanego Oświeconym, jak będzie szedł na czele innych, rzucicie się na niego i przebijecie mieczami! Po wykonaniu zadania wypłacę wam należną sumę.
- A jeśli ten mnich jest uzbrojony? — zaniepokoił się najbrzydszy z nich, człowiek z nosem pokrytym pryszczami i czerwonymi plamami.
- W takim razie wypuścicie na niego słonia, który rozdepta go jak wiązkę słomy! Może sobie być Oświeconym, i tak nic nie będzie mógł zrobić... — odparł mój kuzyn, zacierając ręce.

Słoń, jakby zrozumiał, że o nim mowa, zaczął kiwać się na boki i wachlować uszami.

Pół roku wcześniej w Bambusowym Parku Rajgiru, gdzie sangha rozbiła swój obóz przed nadejściem pory deszczowej,

Dewadatta na próżno próbował wzniecić którąś z kolei rewoltą przeciwko mnie.

Insynuował, że prowadzą ich do zguby, namawiał, by przegonić mnie z sanghi i jego postawić na jej czele!

Zaślepiiony nienawiścią i żądzą władzy od miesięcy obmyślał zemstę.

Raz jeszcze Ananda pospieszył mi z pomocą.

— Jak śmiesz nastawać na Oświeconego, który poznał Szlachetną Prawdę? — krzyczał, gotów przejść do rękoczynów.

Zdrajca miał czelność tak odpowiedzieć jemu i pozostałym mnichom:

— Nic nie mam przeciwko Oświeconemu. Proponuję mu tylko, żeby przekazał pałeczkę komuś młodszemu od siebie! Spójrzcie na jego nogi! Ledwo mogą go nosić. A ramiona? Są chude i pozbawione mięśni jak trzcinowe patyki. Wierzcie mi, Gautama nie pożyje długo. Gotów jestem się założyć, że stoi na progu śmierci. Ktoś młodszy powinien kierować sanghą i jeszcze dalej znaleźć zwolenników Szlachetnej Prawdy!

— Twoje słowa są szczytem hipokryzji, Dewadatto, nadęty pychą i nienawiścią jak bukłak! Nie jesteś wiele młodszy od Oświeconego! — wykrzyknął Ananda.

— Moje nogi są mniej zmęczone od jego nóg, ja tak długo nie pościłem. Moje ciało jest o wiele sprawniejsze...

Podszedłem do nich i powiedziałem:

— Nikt nie jest niezastąpiony! Jeśli sangha zdecyduje, że może się beze mnie obejść, wróć do Kauśiambi, do świętej jaskini. Ustąpię miejsca Dewadatcie...

— Jak moglibyśmy się zgodzić, by bezprawnie stanął na czele sanghi? Dewadatta nie zna się na Dharmie! Z niewyjaśnionych powodów chce zająć twoje miejsce i źle się zachowuje wobec ciebie. Ten mnich jest niegodny! — krzyknęli naraz trzej bracia Kaśjapa, niemający ochoty dłużej wysłuchiwać gadania człowieka kierującego się nienawiścią i urazą.

— Kaśjapa mają rację! Ten zdradziecki mnich nie jest godzien zająć miejsca Oświeconego! A zresztą, o ile dobrze

pamiętam, wykluczyliśmy go z sanghi! Przepędźmy więc intruza! Taki zdrajca nie ma tu nic do roboty! — dodał skwapliwie Ananda.

Mnisi natychmiast otoczyli mnie kołem tak ciasnym, że nie mogłem się ruszyć.

Dewadatta, zmuszony w ten sposób do odwrotu, wziął nogi za pas, nie czekając na dalszy ciąg, zabierając swoją nienawiść w sercu i upokorzenie, po czym udał się do Adżataśiatru.

Przysiągł sobie, że następnym razem musi mu się udać.

Ale kiedy przedstawił księciu swój plan, ten zachował się powściągliwie.

— Czy trzeba koniecznie posunąć się do zgładzenia Oświeconego? Śmierć oznacza przegraną zarówno dla tego, kto ją zadaje, jak i dla tego, kto pada jej ofiarą! A jeśli Oświecony ma moc nadprzyrodzoną, czy nie będzie nas to drogo kosztowało? — zasugerował Adżataśiatru.

— Pomóż mi, a odpłacę ci tym samym! — odparł Dewadatta.

— Pamiętasz chyba o wiążącej nas umowie?

I tak zręcznie argumentował, że w końcu przekonał swojego sojusznika, że czas przystąpić do działania.

Przez długie miesiące opracowywali w najdrobniejszych szczegółach plan zasadzki, jaką mi gotowali.

Dla pewności, że tym razem się uda, Dewadatta znalazł w zakazanej dzielnicy Rajguru trzech płatnych morderców.

Wracając z bambusowego gaju, ledwo się poruszam, moje nogi są miękkie jak liany.

Trzej zbójce rzucają się na mnie z wrzaskiem. Ich wzniesione w górę miecze błyskają złowieszczo.

Kiedy są tuż obok mnie, wyciągam przed siebie prawą rękę zwróconą ku nim wewnętrzną stroną dłoni.

Padają od razu, jakby potknęli się o niewidoczną przeszkodę, padają na kolana przed tym, którego zamierzali zabić i błagają o przebaczenie.

— Co się dzieje? Ich zapal zgasł! — krzyczy Adżataśiatru.

— Nie rozumiem! — wrzeszczy Dewadatta.

— A ja tak. Popatrz tylko na nich! Pochylają się przed Oświeconym, jakby był ich mistrzem! Powinienem się być tego spodziewać. Gazela ujarzmiła lwy... Jeśli o ciebie chodzi, Dewadatto, twoja nienawiść raz jeszcze sprawiła, że straciłeś głowę! — stwierdza syn króla Bimbisary.

— Wychłostam mojego słonia. Kiedy zaszarżuje na Oświeconego, na ziemi zostanie tylko jego rozczłonkowany trup...
— mamrocze zdrajca, zaciskając pięści.

— Mylisz się! To nic nie da! — stwierdza Adzataśiatru.

Dewadatta rozpina pas i jak może najmocniej wali nim słonia, który ryczy z bólu i chwieje się.

Widzę, jak rusza na mnie olbrzymia masa jego cielska.

Robię ten sam gest co poprzednio: rozwścieczonemu zwierzęciu pokazuję wewnętrzną część mojej prawej dłoni.

Na oczach osłupiałego Dewadatty słoń zatrzymuje się gwałtownie u moich stóp, jakby niewidoczna siła przerwała jego szaleńczy galop.

Następnie pada przede mną, podczas gdy płatni zabójcy wydają okrzyki radości i całują szatę tego, który mocą swojego umysłu potrafił unieruchomić rozjuszone zwierzę.

— Uprzedzałem cię: Oświecony jest dla nas zbyt potężny... — mruczy oniemiały ze zdziwienia syn króla Magadhy.

Nieprzytomny ze złości i krańcowo upokorzony Dewadatta odpowiada mu jakimś grubiańskim słowem, po czym oddala się pośpiesznie.

Oświecony stał się niezwyknięty, Dewadatto.

Nie pozostaje ci nic innego, jak prosić go o przebaczenie.

36

Śmierć Śiariputry i Maudgaljajany

Gdy siedziałem w lesie Rakila, gdzie lubię medytować w cieniu wielkich drzew, dotarła do mnie straszliwa nowina.

Na dnie przepaści znaleziono rozrzucone części ciał moich dwóch uczniów — Śiariputry i Maudgaljajany. Mógł to być wypadek, ale zważywszy na ostrożność, jaką zwykle okazywali podczas wędrówki stromymi górskimi ścieżkami, był to raczej tajemniczy i ohydny mord, dokonany bez wątpienia przez wrogów sanghi.

Zanim oddali się bez reszty głoszeniu Szlachetnych Prawd, dwaj przyjaciele z czasów dzieciństwa zostali członkami sanghi po wysłuchaniu kazania mnicha Asvajita; wcześniej bez przekonania pobierali nauki u sławnego ascety o imieniu Sanjaja głoszącego sceptycyzm.

Przysłowiowa mądrość Śiariputry i moc uzdrawiania chorych Maudgaljajany sprawiły, że stali się prawdziwymi podporami naszej wspólnoty.

Kto zatem mógł żywić tak wielką nienawiść do dwóch mnichów, których bezgraniczna dobroć i współczucie dla innych były powszechnie znane?

Dlaczego zło musi zawsze towarzyszyć dobru? Jak można nienawiścią odpłacać za miłość?

Siedzę u stóp drzewa i z trudem powstrzymuję łzy.

Nadchodzi mój inny uczeń — Malunkjaputta.

- Panie, od wielu dni obserwuję, jak medytujesz, i jedna myśl prześladowuje mnie do tego stopnia, że spędza mi sen z powiek... Czy mogę zadać ci pytanie, które wprost pali moje usta? — pyta mnie mnich, który z reguły rzadko zabiera głos.
- Mów, Malunkjaputto! Nie bój się powiedzieć mi, co leży ci na sercu.
- W swoich kazaniach nie poruszasz pewnych kwestii, które wydają mi się zasadnicze. W związku z tym moja myśl czuje się w pewnym sensie osierocona.
- A jakie to problemy uważasz za niewyjaśnione do końca?
- Czy wszechświat jest wieczny? Jest skończonością czy nie jest? Czy dusza i ciało są nierozłączne? Czy po śmierci można stać się Tathagatą? Oto, o panie, pytania, jakie zadaję sobie bez przerwy i na które, jak mi się wydaje, ty nie dajesz jasnej odpowiedzi.
- Czy kiedy wstępowałeś do nurtu, obiecywałem ci Malunkjaputto, że uzyskasz odpowiedź na te pytania?
- Nie, panie!
- No właśnie. Wyobraź sobie teraz, że jakiś człowiek zraniony zatrutą strzałą i przewieziony przez rodzinę do chirurga mówi do niego tak: „Wyjmiesz mi tę strzałę dopiero wtedy, gdy poznam imię mojego napastnika, kastę, z której się wywodzi, rodzaj drewna, z którego zrobił strzałę, długość jej grota i grubość cięciwy łuku, z którego ją wystrzelił!”. Nie sądzisz, że umarłbyś, zanimbyś uzyskał odpowiedzi na te pytania?
- Masz rację... — przyznaje Malunkjaputta.
- Skoro nie odpowiedziałem na te pytania, to znaczy, iż uważam je za śmieszne w porównaniu z tym, co najistotniejsze!
- A jak, panie, odróżnić to, co najistotniejsze, od tego, co druzgottedne? Odpowiadam mu:
 - Ten, kto siada w pozycji lotosu, potem zwalnia najbardziej, jak potrafi, rytm oddechu i koncentruje się, by umieścić

siebie w samym sercu swej istoty, wyobrażając sobie jednocześnie kwiat lotosu na powierzchni jeziora, ten jest w stanie odróżnić najistotniejsze od podrzędnego, ponieważ osiągnął *ekagrata** i jest u progu nirwany! Jeśli chodzi o mnie, zapewniam cię, że bilans ostatnich lat mojego życia wskazuje, iż nauczyłem się więcej, niż nauczyłem! Ograniczyłem się w zasadzie do głoszenia Czterech Szlachetnych Prawd, ponieważ prowadzą one do wyrzeczenia, ukojenia, najwyższego zrozumienia i doskonałego Przebudzenia. Cała reszta jest dla mnie drugorzędna.

— Dzięki! Taka skromność z twojej strony jest zdumiewająca i jest na miarę twojej mądrości — odpowiada Malunkjaputta, gotując się od odejścia.

Zatrzymuję go na moment.

— To nie jest skromność, Malunkjaputto. Otrzymujemy tym więcej, im mniej żądamy. O nic nie prosząc, nasza wspólnota otrzymała ogród w Śrawasti od bogatego kupca Anathapindiki, który przedtem przekonał następcę tronu królestwa Kośiali, by mu go odprzedał! Podobnie jest z trzema bankierami, którym niczego nie sugerowałem, a którzy w zeszłym roku podarowali nam olbrzymią fortunę. Nie zapominając o pięknej Ambapali, która po nawróceniu zapisała nam wszystkie swoje dobra i ogród, gdzie kazała zbudować pomieszczenie dające mnichom możliwość przetrwania pod dachem pory monsunowej.

— Oczarowałeś zarówno biednych i słabych, jak i bogatych i możnych... tak kurtyzany, jak notariuszy!

Na koniec mówię:

— Nie powinniśmy oceniać, kto jest godny poznania Szlachetnej Prawdy, a kto nie. Każdy może ją poznać. Wystarczy być świadomym i podjąć decyzję.

* *Ekagrata* — skupienie uwagi na jednym punkcie.

Król Pasenadi

Pewnego dnia odwiedza mnie bardzo zmartwiony król krainy Kośiala — Pasenadi. Pytam go:

- Dlaczego jesteś taki smutny, Pasenadi?
- Dwa tygodnie temu straciłem żonę! Ale biorąc pod uwagę mój wiek, myślę, że sam długo nie pożyję na tej ziemi... i dlatego zapragnąłem poznać cię, Siddhartho Gautamo — odpowiada prosto z mostu.
- Wielki to dla mnie honor. Wyjaw mi chociaż powód, dla którego odwiedzasz moje biedne ciało, z którego uciekają siły witalne.
- Już dawno chciałem zbliżyć się do ciebie. Dotarły do mnie wieści o twoich licznych zaletach. Mam wrażenie, że przeszedłem obok rzeczy najistotniejszych. Byłaby wielka szkoda, gdybym opuścił ten świat, nie skontaktowawszy się z tym, którego zwą Oświeconym! — odparł król, po czym rzucił się do moich stóp.
- Co mogę dla ciebie zrobić?
- Zmęczyły mnie intrygi i nie mogę już znieść zgiełku tego świata, tym bardziej złośliwości ludzi na moim dworze, który stał się miejscem przemocy. A tutaj czuję się tak dobrze! — wzdycha stary monarcha.

Zaczynam więc objaśniać Cztery Szlachetne Prawdy temu wszechmocnemu i bogatemu człowiekowi. Dobierając starannie słowa, mówię mu o zaletach rezygnacji z władzy, statusu społecznego i dóbr materialnych.

Stwierdzam, że słucha mnie z wielką uwagą.

Ludzie, którzy mają siłę zrezygnować, muszą być szczęśliwi! — szepce w zamyśleniu król Kośiali i przed odejściem obejmuje moje kolana.

Mówię do niego:

- Jeśli chcesz zostać, będziesz tu mile widziany!
- Na drodze czeka mój szef sztabu, generał Digha Karajana. Kiedy zorientuje się, że nie wracam, może się niepokoić — odpowiada władca.

Słyszałem o tym wysokiej rangi wojskowym w mundurze szamerowanym złotem i srebrem, który cały swój wolny czas spędza na pomadowaniu wąsów.

Nalegam:

- Czy naprawdę musisz wracać?
- Król nie ma prawa opuszczać swojego ludu, nie uporządkowawszy przedtem wszystkich spraw. Najpierw muszę zadbać o sukcesję tronu. Nie zajmie mi to wiele czasu, najwyżej kilka tygodni. Potem wrócę do ciebie i jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu, zostanę pełnoprawnym członkiem sanghi — zapewnia mnie stary król.

Odchodzi, ale w chwili pożegnania mam pewność, że więcej go nie zobaczę.

Dziesięć dni później przybywa człowiek, który oznajmia mi z płaczem:

- Jestem koniakiem Jego Wysokości króla Pasenadi.
- Gdzie on teraz przebywa?
- Jego Wysokość umarł w Rajgirze jak nędzarz, w biednym przytułku! Módl się za niego!
- A co się stało?
- Podczas wizyty Jego Wysokości u ciebie rozwścieczony długim oczekiwaniem generał Digha odjechał do Śrawasti

razem z królewskim słoniem. Ja natomiast zostałem przez szacunek i lojalność dla mojego króla. Kiedy Jego Wysokość Pasenadi stwierdził nieobecność generała, był przekonany, że ten zaplanował zamach stanu, zwłaszcza że przed przybyciem do ciebie Jego Wysokość zostawił mu swój miecz i turban — atrybuty najwyższej władzy nad armią królestwa!

- Dlaczego pozbył się insygniów władzy?
- Mówił, że nie chce stawać przed tobą w pełnym królewskim rynsztunku.
- Biedny człowiek! Z pewnością był zawiedziony takim zachowaniem generała.
- Wyznał mi, że lepiej by zrobił, zabierając go ze sobą, ale było za późno. Kiedy spytałem go, co zamierza uczynić, odpowiedział, że zwróci się do księcia Magadhy z prośbą o gościnę. Chciał powiadomić go o nieczym spisku zdradzieckiego generała i miał nadzieję, że książe udzieli mu niezbędnego w tej sytuacji wsparcia wojskowego!
- Jego Wysokość Pasenadi wykazał wielką odwagę, ponieważ droga do Magadhy jest bardzo długa!
- W obawie przed rabusiami stary król starannie ukrył kilka klejnotów w jutowym worku. Wyruszyliśmy niezwłocznie w drogę. Trzeba było widzieć, z jakim trudem szedł, wsparty na moim ramieniu. W tej drodze on, potężny król Kośiali, zmienił się w ubogiego człowieka. Szliśmy przez trzy dni, w czasie których nikt nie chciał dać jałmużny dwóm nieznanym, nie odzianym w szaty mnichów. Musieliśmy zadowolić się odpadkami i pić brudną wodę. A kiedy w ulewnym monsunowym deszczu dotarliśmy wreszcie do stolicy Magadhy, bramy królewskiego pałacu były już zamknięte. Wtedy król Pasenadi postanowił, że prześpiemy się gdzieś w mieście. I tak trafiliśmy do nędznego przytułku dla bezdomnych żebraków. Gdy zapłaciliśmy, przydzielono nam maleńki wilgotny schowek z niskim sufitem, położony na końcu korytarza. Panował w nim nieopisany smród. Tam właśnie, pośród błąkających się i wylęknionych cieni, król wydał ostatnie tchnienie.

- To bardzo smutna historia!
 - Stary król umarł na skutek straszliwej biegunki. Leżał z otwartymi ustami w kałuży krwi i żółci.
 - A ty, kornaku, jak się nazywasz?
 - Hama.
 - Czy zechcesz, Hamo, wstąpić do nurtu?
 - Zrobię to z radością, o Siddhartho Gautamo — odparł wzruszony do łez Hama.
- Umarł król, ale narodził się nowy uczeń...

Wyrzuty sumienia Adzataśiatru

Adzataśiatru z bardzo zmartwioną miną bije przede mną pokłony i błaga mnie:

— Przyszedłem prosić cię o pomoc, o Oświecony. Jestem nędznym grzesznikiem. Zabiłem własnego ojca...

Nowy król Magadhy płacze rzewnymi łzami jak małe dziecko, które żałuje tego, co zrobiło, śmierci starego ojca, króla Bimbisary!

Kilka miesięcy temu ojciec przekazał mu wreszcie tron Magadhy, na który syn czekał z taką niecierpliwością.

Ale zamiast podziękować ojcu za ten wspaniałomyślny gest, za radą mojego kuzyna Dewadatty, niewdzięcznik kazał wtrącić do więzienia starca, który w ogóle mu nie zagrażał.

Wstydź się, Adzataśiatru, że pozwoliłeś swojemu ojcu umrzeć na febrę w ciemnym i cuchnącym lochu!

Jeśli będziesz nadal tkwił w tym strasznym ciągu wydarzeń, które doprowadziły do śmierci ojca, tym gorzej dla ciebie, bo sam tego chciałeś!

Adzataśiatru przypomina sobie teraz niepomierne zdumienie króla na widok syna biegnącego w jego stronę ze sztyletem w ręce przez obszerne podcienia kolumnady z różowego porfiru, prowadzącej do sali audiencyjnej pałacu.

— Co tu robisz, mój synu, z tym sztyletem w rękę?

Kiedy spozrzał na ojca, którego twarz zmieniała się w miarę, jak się do niego zbliżał, jego żołądek ścisnął się z trwogi tak mocno, że mało brakowało, a straciłby przytomność...

Sparaliżowała go myśl, że może ugodzić własnego ojca.

Jego niecny zamiar mógł spalić na panewce.

Ale kiedy postanowiło się zabić ojca, nie sposób pozwolić sobie na luksus wahania.

— Po co to wszystko, synu? — powiedział król słabnącym głosem.

Wtedy Adżataśiatru padł mu do nóg i długo błagał o przebaczenie.

Królewska straż przyboczna, zaalarmowana hałasem, wypadła zza kolumnady jak stado jastrzębi spada na zdobycz i rzuciła się na księcia. Został skępowany jak wiązka drewna i zaciągnięty przed tron, na którym usiadł stary król.

— Zapragnałem twojego królestwa! Jestem niegodnym synem! Myślałem, że jestem tygrysem, a okazałem się nędznym szczurem, nadającym się tylko na żer dla kota! — wykrzyknął Adżataśiatru.

— Jeśli uznałeś, że nadeszła właściwa chwila, byś zastąpił mnie na tronie, dlaczego po prostu nie powiedziałeś mi o tym? Jestem już stary i z trudem wypełniam swoje obowiązki. Idź odpocząć, a jutro o tym porozmawiamy! — rzekł Bimbisara, rozkazując strażom zaprowadzić syna do jego komnaty.

— Syn twój został uzbrojony przez zdradzieckiego mnicha z sanghi, którego imię jest mi znane. Chodzi o niejakiego Dewadatę. Na twoim miejscu kazałbym zabić tych wszystkich mnichów, zanim będzie ich jeszcze więcej. Ich przywódca, Gautama, głosi teorie coraz bardziej buntownicze! — wykrzyknął dowódca straży królewskiego pałacu, kiedy tylko księżę oddalił się pod eskortą.

— Człowieku małej wiary! To Gautama ma rację, podczas gdy ty nadal tkwisz w błędzie! Zostaw sanghę w spokoju! Król Bimbisara nie potrzebuje rad takiego nicponia jak ty!

Nazajutrz rano stary król wezwał swojego następcę do sali tronowej.

— Moja korona należy do ciebie, Adżatasiatru! Jako czło-
wiek oswoobodzony z wszelkich więzów i zwolniony z ciężkich
obowiązków wynikających ze sprawowania władzy, przystąpię
teraz do sanghi. Nie sądziłem, że spotka mnie takie szczęście
za życia. Zawdzięczam je właśnie tobie, Adżatasiatru, który
zechciałeś przejąć ode mnie berło.

Księżę zdumiał się na takie słowa ojca, którego nieufność i
twardość charakteru były legendarne.

Oto w jaki sposób odziedziczył królestwo Magadhy.

I pomyśleć, że kilka miesięcy wcześniej, razem z Dewadattą,
próbował zabić mnie, zrzucając z góry wielki odłam skalny na
wąską drogę, którą przechodziłem.

Gdybym wtedy zginął, jego ojciec nigdy nie przekazałby
kluczy swojego królestwa temu, który zabił Oświeconego.

Po zasięgnięciu rady astrologów w sprawie wyboru idealnej
daty, ceremonia koronacji odbyła się z wielką pompą pośród
oparów kadzideł i przy dźwięku bębnów i fletów.

Podczas gdy tłum poddanych oddawał hołd i intonował pieśni,
szambelan włożył na głowę Adżatasiatru złotą koronę wysadzaną
szmaragdami, którą jego ojciec, Bimbisara, nosił trzydzieści lat
temu, kiedy wstępował na tron.

Dlaczego jednak Adżatasiatru usłuchał rady Dewadatty, który
utrzymywał, iż niebezpiecznie byłoby pozwolić ojcu na swobodne
poruszanie się po pałacu? Adżatasiatru protestował, oczywiście,
ale niezbyt zdecydowanie.

A kiedy Dewadattą miał czelność krzyknąć, że wielki król
powinien być nieubłagany, bo w przeciwnym razie nie pozostanie
długo na tronie, Adżatasiatru więcej mu się nie sprzeciwił.

— Niech zamkną byłego króla w lochu! — ośmielił się
rozkazać strażom.

W ten sposób biedny Bimbisara został wtrącony do więzienia,
gdzie wkrótce umarł.

Ledwo szambelan przyniósł tę wiadomość, Adzataśiatru zamknął się w swojej komnacie, rzucił na łożo i zalał łzami.

Dlaczegoś tak postąpił, Adzataśiatru?

Czy nie czujesz wyrzutów sumienia, które nie dają ci spokoju, podobnie jak rana zadana lancą w samo serce?

Kiedy jeden ze służących przyszedł spytać go, czy nie zachce spędzić nocy z pewną czternastoletnią ślicznotką, która dopiero co zamieszkała w kobiecym skrzydle pałacu, pogrążony w otchłani rozpaczy krzyknął:

— Zostawcie mnie w spokoju! Nie chcę nikogo widzieć!

Nazajutrz rzekł do Dewadatty:

— Nakłoniłeś mnie do niepotrzebnej zbrodni!

— Zastanawiam się właśnie, czy ty w ogóle nadajesz się na króla — mruknął zdradziecki mnich.

— Dlaczego uparłeś się, by czynić zło? — spytał Adzataśiatru.

To pytanie spowodowało, że zły duch pochylił głowę.

W rezultacie kilka dni później Adzataśiatru przybywa do mnie z prośbą o radę i płacze rzewnymi łzami. Odpowiadam mu:

— Wiem o tobie wszystko!

— Nawet to, że spiskowałem przeciwko twojej boskiej osobie?

— Oczywiście! Ale nie żywię do ciebie nienawiści. Nie osądzam cię również. Co się stało, to się nie odstanie!

— To poruszające! Jak możesz być tak silny?

— Odniosłem zwycięstwo nad samym sobą. Teraz staram się przerwać cykl „zemsta-represja-podjudzanie”, który wciąga ludzi w szaleństwo nienawiści, wojen i destrukcji. Jednocześnie wskazuję ludziom Szlachetną Ścieżkę, która pozwoli im wydostać się z koła samsary! Nienawiść i pragnienie zemsty, a także poczucie, że jest się niesłusznie ofiarą jakiejś intrygi, zawsze prowadzą ludzi do nieszczęścia!

— Kto nauczył cię tego wszystkiego?

— Już dawno temu zrozumiałem bezsensowność zemsty. Szlachetne Prawdy nie wymagają nauki, same docierają do umysłu, który podjął medytację.

Błaga mnie:

- Ja również chciałbym poznać Szlachetne Prawdy!
- Odmień więc swoje serce i wsłuchaj się w głos świata, a pojmiesz to wszystko. Wtedy ty także zrozumiesz i zaczniesz kontrolować swój umysł.
- A czym jest kontrolowany umysł, mistrzu Gautamo Oświecony?
- Kontrolowany umysł jest podobny do kamienia czterech wschodów. Położony pośrodku podwórza, nie ulega rozmyciu przez deszcz, nagrzewa się, lecz się nie roztopia pod wpływem słońca i nie uniosą go poddmuchy wiatru. Kontrolowany umysł jest jak ten kamień.

Adzataśiatru pochyla się tak nisko, że jego czoło dotyka ziemi.

A kiedy wstaje, ma oczy pełne łez, a na jego ustach pojawia się nikły uśmiech.

To dlatego, że się nawrócił.

Teraz nie pozostaje mu nic innego, jak przekazać Dewadacie nowinę o swoim nawróceniu.

— Przekaż mu ode mnie, że moje serce stoi przed nim otworem, jeśli także pragnie nawrócenia, i że chętnie puszczę w niepamięć wszystkie jego niegodziwości.

Chęć zemsty jest mi całkowicie obca. Tego dnia czuję w ustach intensywniejszy smak przebaczenia. I mam pewność, że Dewadatta i Adzataśiatru staną się adeptami Dharmy!

39

Kowal Czunda

Najmocniej jak potrafi, kowal Czunda trzyma się pnia stuletniego kasztanowca, rosnącego pośrodku wypełnionego ludźmi miejskiego placyku.

Za wszelką cenę pragnie dostrzec chociaż głowę tego, o którym słyszy od lat jako o Świętym.

Kiedy stoję przed drzewem, na które się wspiał, woła mnie:

- Gdybyś zechciał przekroczyć moje skromne progi, przygotowałbym dla ciebie danie z grzybów.
- Kiedy chcesz, żebym do ciebie przyszedł?
- Tylko Święty potrafi wybrać odpowiedni moment!
- Daj mi nieco czasu, a postaram się przyjść.
- Jutro wieczorem po zachodzie słońca wszystko będzie gotowe. Moje dzieci i ja będziemy zaszczyceni, mogąc cię ugościć.

Dom, w którym mieszka Czunda ze swoją rodziną, góruje nad obronnymi murami miasta. Stoi pośrodku podwórza obsadzonego mnóstwem drzew zamieszkałych przez małpy.

Przybywam o zapowiedzianej porze w towarzystwie dziesięciu uczniów. Jak zwykle jest przy mnie Ananda.

— Taki nowo nawrócony jak ja ma wielkie szczęście gościć Oświeconego pod swoim ubogim dachem! — wykrzykuje na powitanie kowal.

— Nigdy nie jest za późno na poznanie Szlachetnej Prawdy. I nie ma nic złego w tym, że dopiero niedawno się nawróciłeś! Wszyscy przez to przeszli...

Jestem u kresu sił i opieram się ciężko na ramieniu Anandy, który pomaga mi się poruszać.

Czunda krząta się, podczas gdy jego żona i córki wnoszą dymiące garnki pełne pachnącego ryżu i smażonych warzyw.

Kowal, najwidoczniej polectany moimi odwiedzinami, wyjaśnia, że przygotowania trwają od poprzedniego wieczoru.

W domu jest mnóstwo jedzenia i chłodnych napojów. Zgodnie z obietnicą, przygotował potrawkę z „uszu drzewa sandałowego”, niezwykle rzadkiej odmiany grzybów rosnących tylko na aromatycznych pniach sandałowca. Całymi godzinami dusił je w glinianym naczyniu razem z cebulkami, masalą, różnymi korzeniami i przyprawami dodawanymi wyłącznie do świątecznych dań.

— Nie powinieneś tego jeść... — szepce do mnie Ananda.

To prawda, że nigdy nie jadam grzybów z powodu zakazu obowiązującego w moim rodzie, przekazywanego z pokolenia na pokolenie.

— Wiem, nie chciałbym jednak urazić tego człowieka... Zadał sobie tyle trudu!

— Moje dzieci i ja szukaliśmy tych grzybów przez całe dni, aż wreszcie znaleźliśmy je dopiero przed zapadnięciem zmroku! Zupełnie jakby wyrosły tam specjalnie dla ciebie!

— dodaje z dumą kowal, napełniając naczynie po brzegi.

Jego synowie stoją obok niego i patrząc na mnie z szacunkiem, czekają, aż skosztuję tego specjału.

Starając się, by Czunda mnie nie usłyszał, szepczę Anandzie na ucho:

— To ma dziwny smak... Zrób coś, żeby inni tego nie jedli...

— Sądzisz, że to grzyby trujące? Nie powinieneś być ich tknąć.

Ledwie je połknąłem, poczułem, że mój żołądek ich nie strawi. Chyba będę musiał powiedzieć o tym kowalowi Czundzie!

Stary mnich zbliża się do garnka i patrząc na mnie pytającym wzrokiem, rzuca się na jego zawartość.

On najwidoczniej nie obawia się jedzenia dzikich grzybów rosnących na drzewach.

- Mistrzu Gautamo, ilu jest twoim zdaniem ascetów na świecie? — pyta kowal pod koniec uczyty, kiedy zbieramy się do odejścia.
- Ich rodzaje są ważniejsze od liczby: pierwszy rodzaj — to asceta przewycięzający śmierć, który podążał Ścieżką Wyzwolenia; drugi — to ten, który dzięki swojej przykładowej dobroci godziwie zarabia na życie, opierając się na Ścieżce, a trzeci — to taki, który tę Ścieżkę kala!
- Czy ten, który kala Ścieżkę, może być ascetą? — wykrzykuje zdumiony kowal, nie dowierzając, że Święty może „kalać Ścieżkę”...
- Oczywiście, że tak! Ten, kto jest zepsuty i fałszywy w środku, podczas gdy na zewnątrz wydaje się czysty i niewinny, jest ascetą kalającym Ścieżkę. Takiego nazywa się również szalbierzem.
- Czy znasz wielu takich świętych oszustów? — pyta Czunda głosem drżącym z oburzenia.
- Zdarzyło mi się spotkać kilku na drodze mojego życia! Ale nie należy pytać mnie o ich nazwiska, nie wyjawię żadnego!

Kowal siedzi na krześle oczarowany jak małe dziecko i zdaje się spijać słowa z moich ust niczym smakowity nektar. Dokładnie w tym momencie czuję, że mój koniec jest bliski.

40

W Bambusowym Ogrodzie Rajgiru

Właśnie zapadła noc, a mnie rozboleł brzuch.

Aby ukoić ból, Ananda umieścił mnie w hamaku zawieszonym na dwóch drzewach hebanowych w Bambusowym Ogrodzie w Rajgirze.

Bambusy są w nim tak olbrzymie i tak proste, że na pierwszy rzut oka podobne są do jednolitego muru, do którego trzeba się zbliżyć, by dostrzec przerwy, przez które można się przecisnąć, oczywiście pod warunkiem że jest się szczupłym i zwinnym.

— Te bambusy pienia się jak chwasty. Mógłby się w nich ukryć tygrys i nikt by go nie zauważył! — wzdycha Ananda, który stoi i wachluje mnie przez całe popołudnie.

Nie mam siły otworzyć ust.

— Ależ jesteś zmęczony! Nigdy dotąd nie widziałem cię w takim stanie! — dodaje mój ukochany kuzyn.

Uspokajam go:

— To nic takiego. To ten upał mnie wykończył... Jestem bardzo słaby, ale nie chcę niepokoić mojego towarzysza, zwłaszcza że czuję się spokojny i ukojony.

Ograniczam się zatem do skinienia na Anandę, by pomógł mi zdjąć ubranie.

— Oświecony wygląda na chorego... Teraz, kiedy zdjął

szatę, widać, jaki jest chudy. Nie powinien był tknąć tego dania z grzybów przygotowanego przez Czundę! — szepce do Anandy mnich Subhuti, głosem zdradzającym najwyższy niepokój.

Zbliża się do mnie wiewióreczka, która zesła z drzewa.

Wystarczyłoby wyciągnąć rękę, by jej dotknąć, lecz żołądek boli mnie tak bardzo, że wszystkie zabiegi przemilego zwierzątka nie robią na mnie najmniejszego wrażenia.

Trzęsę się od gorączki.

— Jego ciało przypomina szkielet! Można by pomyśleć, że zaraz umrze! — jęczy uczeń Anirudda, który dołączył do tamtych.

Pewnie myśli, że śpię i że niczego nie słyszę. Pytam go więc:

— Gdzie są pozostali?

Również mój głos jest zmęczony.

Głód panujący w wsiach nie ułatwia zbierania jałmużny dla całej wspólnoty. Liczni mnisi udali się więc do kraju Vrji, gdzie zbiory zbóż były o wiele większe — odpowiada Jasa, dawny rozpustnik, teraz jeden z najłagodniejszych i najpobożniejszych mnichów w łonie sanghi.

— Nie byłoby dobrze, gdyby Oko Świata straciło ostrość widzenia — dodaje jeden z nowicjuszy cichym głosem, jednak na tyle głośno, że słyszę jego słowa.

— Nie obawiaj się, mój mały! Jeśli mnisi poszli zebrać gdzie indziej, to wszystko w porządku. Jakikolwiek los mnie spotka, wspólnota będzie istniała nadal.

— Pokaż mi miejsce, w którym odczuwasz ból — prosi jeden z nich.

Kładę rękę na brzuchu.

Podaje mi do wypicia wywar z ziół kojących straszliwe pieczenie w żołądku, które tak mi dokucza.

W nocy czuję się lepiej.

Nazajutrz gorączka spada i odzyskuję siły do tego stopnia, że mogę się podnieść i zrobić kilka kroków po bambusowym ogrodzie.

— Chyba lepiej się czujesz! — woła radośnie Ananda, widząc mnie na nogach.

Odpowiadam mu:

— Ziółka lekarza poskutkowały. Brzuch boli mnie o wiele mniej. Chcę ostatni raz pójść nad brzeg Gangesu pod stuletni banian, przecież wiesz... pod Drzewo Współczucia.

— Czy to nie za daleko stąd? By tam dotrzeć, potrzeba co najmniej dwóch dni marszu, a ty jesteś tak bardzo zmęczony!

— Gdyby była taka możliwość, pojechałbym na jakimś wózku... Drzewo Współczucia czeka na mnie nad brzegiem Gangesu.

Pewien bogaty wyznawca pożycza mi swój zaprzęg i wyruszam.

Jadąc po wyboistej drodze, wyobrażam sobie delfiny, święte ognie i płynące rzeką żałobne stopy. Widzę pielgrzymów odzianych w białe szaty, jak dokonują ablucji, by oczyścić w ten sposób swoje ciała i umysły w cuchnącej wodzie. Widzę korzenie stuletniego banyana, pełzające ku wodom Gangesu jak węże. Wyobrażam sobie dziecko, które do mnie podejździe, ponieważ moja medytacja w pozycji siedzącej ogromnie je zadziwi i nie widziało nigdy starca, który tak jak ja wytrwałby całe godziny bez ruchu, siedząc w pozycji lotosu.

Myślę o spokoju, jakiego doznam, kiedy oprę się o majestatyczny prążkowany pień drzewa.

Obojętnym wzrokiem patrzę na cudowne pejzaże, które mijam.

Jest bardzo gorąco, ale ten upał mnie nie męczy.

Jestem szczęśliwy.

Mam wrażenie, że jedną nogą jestem już w nirwanie!

Pod Drzewem Współczucia

Siedzę pod Drzewem Współczucia. Wygląda na to, że upał będzie jeszcze większy.

Lubię patrzeć na płataninę lian biegnących w górę i w dół tego drzewa, które nagle przypomina mi dziwne zwierzę, obdarzone nadzwyczajną witalnością.

Spoglądam w górę.

Teraz gałęzie figowca banian, splecione na tle nieba, przypominają niemożliwy do rozplatania kłąb ogromnych węży.

Zresztą zawsze byłem przekonany, że zwierzęta i ludzie mogą odrodzić się pod postaciami roślin.

Gęstwina gałęzi tworzy skuteczną ochronę przed palącymi promieniami słońca i czyni z mojego figowca wprost idealne schronisko dla zmęczonych wędrowców, którzy po ochłodzeniu obolałych nóg w wodach królewskiej rzeki siadają oparci o jego pień.

Ale tego ranka pod Drzewem Współczucia nie ma nikogo poza mną.

Przed sobą dostrzegam tylko jakieś dziecko, ledwo widoczne przez zasłonę z drzew.

Najpierw patrzy w prawo i w lewo, potem zbliża się ukradkiem do starca, którym jestem.

Jego oczy błyszczą intensywnym blaskiem.

Są czarne i ogromne.

Jest teraz tak blisko mnie, że mógłbym dotknąć jego twarzyczki.

To zdarza się zawsze, kiedy medytuję, zastygły w pozycji lotosu. Czynię w sobie taką pustkę, że ludzie, którzy mnie nie znają, sądzą, że śpię, choć wcale tak nie jest.

Mimo przymkniętych powiek wszystko widzę.

— Jak się nazywasz, panie? — pyta dziecko cieniutkim głosem.

Nie mogę przecież odpowiedzieć, że wkrótce moi ukochani uczniowie będą mnie nazywali Szczęśliwym Buddą!

Zaledwie mam czas na znalezienie właściwej odpowiedzi, a już dziecko powtarza pytanie.

Staje się nawet śmielsze, skoro odważa się dotknąć koka w jaki upięte są na czubku mojej głowy włosy białe jak sznur konopny.

— Jestem starym medytującym człowiekiem.

Chłopczyk ma na sobie lachmany. Jego głowę pokrywa gęsta kręcona czupryna, leciutko falująca pod wpływem wiatru. Pomimo nędznego wyglądu i szarego kurzu okrywającego go od stóp do głów malec prezentuje się jak mały dumny wojownik.

— Ponieważ wyglądałeś na trochę zasmuconego, pomyślałem sobie, że masz może jakiś kłopot! Czy potrzebujesz czegoś, panie?

— Nie, ale dziękuję ci, chłopcze...

— Co to właściwie znaczy „medytować”?

— Uczynić Pustkę w swojej głowie. O niczym nie myśleć. Pozwolić Prawdzie zagłębić się w swoje serce.

— Prawdę mówiąc, obserwuję cię od dłuższej chwili. Byłeś taki nieruchomy! Bałem się, żeby nie zaatakowały cię sępy krążące na niebie.

Spoglądam w górę i widzę złowieszcze kręgi zataczane przez te ptaki, które martwe ciała i padlinę zamieniają w szkielety o kościach białych jak najbielsza sól.

- To bardzo miłe z twojej strony, że troszczysz się o taki stary szkielet jak ja!
- To dlatego, że wiem, jak to jest być samotnym. Od kiedy nauczyłem się chodzić, jestem zmuszony radzić sobie sam.
- Nie masz rodziców?
- Jestem sierotą.
- Co robisz, żeby przeżyć?
- Grzebię w śmietnikach, najczęściej w nocy, żeby mnie nikt nie przeganiał...
- Masz więc wielkie zasługi! Nawet zebrzący mnisi bywają przeganiani!

Sępy przestały krążyć.

W ich miejsce klucz bocianów przecina delikatny muślin nieba, tak błękitny, że prawie namacalny, wiszący nad wielką świętą rzeką.

Naprzeciwko, na drugim brzegu rzeki, przyczajony dotąd w błocie gawiał ześlizguje się do miękkiej wody z głośnym plaśnięciem ogona, by wzbudzić strach i siać śmierć wśród niezliczonych gatunków ryb i żab.

- Dziękuję ci, że tak się mną interesujesz. To naprawdę bardzo miłe z twojej strony.
- Ależ ta rzeka jest brudna! A właściwie dlaczego ta święta rzeka jest taka brudna?

Z wartkim prądem spływa cała zgnilizna unoszona błotnistymi wodami Gangesu. Martwe drzewa, truchła zwierząt i ludzkie ciała zawinięte w białe całuny, których nie strawił ogień pogrzebowych stosów, przepływają przede mną w porządku, który wydaje się nienaruszony, jakby Ganges był tylko wierzchem ogromnego koła wodnego, obracającego się nieustannie wokół własnej osi i niezmiennie powracającego do punktu wyjścia.

- Docieram do kresu mojego życia, mój mały... Wczoraj, kiedy byłem jeszcze młody, odpowiedziałbym ci: jest tak, bo cała przyroda jest brudna.
- A dzisiaj?

- W górnym biegu jest wiele miast, a w nich tysiące i dziesiątki tysięcy ludzkich istot. Większość z nich żyje w skrajnej biedzie na brzegu tej rzeki i siłą rzeczy ją zanieczyszczają. Nie można mieć im tego za złe!
- Niektórzy mówią, że w tych błotnistych wodach mieszkają bogowie. Ale czy można im wierzyć?
- Nie mam pojęcia! Może tak, a może nie. Zresztą, to mało ważne!
- Ty zdaje się, nie wierzysz w bogów...
- Przez jakiś czas, kiedy byłem mały, wierzyłem w nich. Jak wszyscy nauczyłem się kłaniać braminom składającym ofiary bogu ognia i bogom wody, i utrzymującym, że to jedyna droga, by ich przebłagać. Potem zrozumiałem, że dla braminów był to skuteczny sposób wywierania wpływu na innych...

Wielki płonący stos dryfuje teraz otoczony mniejszymi, unoszonymi na powierzchni pociemniałej wody, w której odbijają się i załamują tysiące światełek.

Kremacja zmarłych odbywa się również na małych tratwach, popychanych przez rodziny na świętej rzece. Zanim oczyszczający ogień zamieni je w popiół, leżące na marach zwłoki rozpoczynają swoją powolną podróż ku wieczności, ku ostatecznemu zmieszaniu dwóch przeciwstawnych pierwiastków — wody i ognia.

Dziecko spojrzało w stronę rzeki.

— Pięknie to wygląda! — wzdycha.

Wokół pływających stosów pokazują się lśniące i obłe kształty.

To delfiny żyjące w wodach Gangesu.

Zaintrygowane obecnością na wodzie ludzkich szczątków, pochłanianych nurtem rzeki, zgromadziły się, wirując i podskakując wokół, jakby zamierzały zjeść trupy, których nie zdążyły rozszarpać gawiale...

Nadpływa okazałych rozmiarów barkas i ukazuje swój długi pysk, ozdobiony parą wymalowanych niebieskich oczu. Podłużny i spiczasty jak rogal księżycy statek, najeżony jest z obu

stron wiosłami, które rytmicznie zagarniają wzburzone wody wielkiej świętej rzeki.

— Panie medytujący, spójrz, jaki to wielki statek! — wykrzykuje na jego widok dziecko, klaszcząc.

Jak wszystkie dzieci w jego wieku jest zafascynowany widokiem świętych statków, budowanych przez pobożnych ludzi, pragnących przebłągać Gangę — straszliwą boginię rzeki. Kiedy opuszcza swoje łóże, zabiera z sobą wszystko, pozostawiając na swej drodze nędzę tysięcy już i tak bardzo biednych rodzin.

Znaki dawane przez dziecko i jego radosne okrzyki zwracają w końcu uwagę załogi statku.

Marynarze odpowiadają mu, unosząc równocześnie wszystkie wiosła, podczas gdy rozpędzony statek mija nas jak strzała i niebawem znika za kępą drzew.

— Ile ty masz lat, moje dziecko?

— W zeszyłym tygodniu skończyłem dziesięć! — odpowiada z dumą.

— Dziesięć lat! W takim razie jesteś już prawdziwym małym mężczyzną!

Podchodzi bliżej zdecydowanym krokiem, staje przede mną i się uśmiecha.

— Kiedy tłumaczyłeś mi, na czym polega medytacja, nie wszystko zrozumiałem — oznajmia.

— Medytować to znaczy być jednocześnie tutaj i gdzie indziej, lub jeśli wolisz, uczynić Pustkę w głowie i powstrzymać się od myślenia o tym wszystkim, co uniemożliwia ukazanie się Prawdy.

— Co to jest Prawda?

— To jest to, czego bardzo długo szukamy!

Chłopiec wydaje się zadowolony z mojej odpowiedzi, bo nie pytając o nic więcej, podchodzi i siada obok mnie.

Przypatrując się uważnie, jak krzyżuję nogi, po kilku karkołomnych próbach przyjmuje taką samą pozycję, i robi to tak dobrze, że coraz liczniejsi przechodnie przybyli nad rzekę

ze zdziwieniem przyglądają się starcowi i małemu chłopcu, siedzącym obok siebie pod Drzewem Współczucia jak dwa posągi różniące się tylko wielkością.

- Jakie jest twoje nazwisko rodowe?
- Siddhartha Gautama! Siddhartha to imię, a Gautama — co znaczy „najlepszy pośród wołów” — jest nazwiskiem mojego rodu.
- A do jakiej kasty należy twój ród?
- Ród, z którego się wywodzę, należy do kasty kszatri-jów — kasty wojowników.
- Nie jesteś więc braminem?
- Nie!
- A mówią, że tylko bramini mogą poświęcać się bogom!
- Tak się rzeczywiście mówi, ale to nie ma znaczenia. Bóg Agni i bóg Soma* nie potrzebują żadnych poświęceń.
- Nie boisz się, że ich rozgniewasz?
- Nie bardzo. Jeśli bogowie istnieją, nie mają takich samych odruchów i zachowań jak ludzie. Gdyby mieli okazać się małoduszni, nie byłiby bogami.
- Skoro wywodzisz się z kasty wojowników, byłeś zapewne żołnierzem, czyż nie tak?
- To prawda, że w naszej kście przeznaczeniem chłopców jest wojenne rzemiosło. Na moje szczęście nie stało się tak w moim przypadku!
- Dlaczego?
- Pewnego dnia postanowiłem sam zdecydować o własnym życiu i opuściłem swoją kastę.
- Ja bardzo bym chciał zostać żołnierzem! Nosiłbym miecz i miałbym łuk oraz kołczan.
- Nie oznacza to, że byłbyś niezwyciężony!
- To nic, ale przynajmniej byłbym silny! Nikt by mnie nie

/

* Soma był bogiem świeżości, Księżycą i wszystkich pierwiastków płynnych, a także uniesienia, stąd słynny napój *soma*, pozwalający na osiągnięcie ekstazy i wkroczenie w „odmienne stany świadomości”.

przeganiał i nie bił. Kiedy jestem głodny, a żaden miły człowiek nie da mi banana albo miski zupy, muszę szukać jedzenia w śmieciach.

- Siła nie znajduje się tam, gdzie myślimy, moje dziecko...
- To gdzie jest?
- W duszy ludzi i wyłącznie tam. Trochę później będziesz miał okazję przekonać się o tym, jeśli będziesz tego chciał!
- Tak bardzo bym chciał, żeby już było później! Jestem pewien, że wtedy będzie lepiej niż teraz... — wzdycha dziecko.

Nie odpowiadam, bo nie chciałem go rozczarować.

Jest jeszcze za młody, by zrozumieć, że świat jest tylko cierpieniem, które zniewala dusze, i na podobieństwo imadła wiąże wszystkich ludzi, zarówno bogatych, jak i biednych.

Jaka byłaby jego reakcja, gdybym mu powiedział, że właśnie „później” odkryje smutną egzystencję swoich bliźnich, niewolników pracujących dla bogaczy za niskie wynagrodzenie w kuźniach i składach, wieśniaków o plecach zgarbionych od ciągłego schylania się i orania jałowej gleby, która nie gwarantuje, że zasiane w niej ziarno wszędzie, niewinnych ofiar wojen wypowiedanych przez różnych królów, wmawiających swoim poddanym, że od nich zależy ich życie, matek, których wyschnięte piersi nie mogą wykarmić ostatniego nowo narodzonego dziecka...

Wydoroślałby wówczas.

Tylko że drogę wiodącą od dzieciństwa do wieku dorastania, a potem do dorosłości każdy przebywa we własnym tempie.

Czasami mówię sobie, że zachowałem duszę dziecka, a innym razem myślę, że osiągnąłem stadium, w którym nic mnie już nie dziwi.

Myśl ludzka zawsze balansuje między tymi skrajnościami.

Dziecko wstało. Jest teraz nad brzegiem rzeki i wrzuca do niej kamienie.

Ja też wstaję, choć z większym niż zazwyczaj trudem. Kiedy długo medytuję w pozycji siedzącej, moje kolana sztywnieją,

ale tym razem jest jeszcze gorzej, bo drzę cały z powodu wysokiej gorączki. Jakoś udaje mi się dojść do chłopca stojącego nad rzeką w miejscu, w którym korzenie Drzewa Współczucia sięgają wody.

— Czy pamiętasz żałobny stos i delfiny?

— O tak, pamiętam!

— No więc były tu „przedtem”... a teraz nie ma nic!

— Wiem: zawsze jest „przedtem” i „potem”! — odpowiada dziecko, biorąc duży płaski kamień i wachając go, jak wacha się kwiat. Następnie rzuca go w pomarańczowe nurty rzeki, gdzie kamień natychmiast znika bez śladu.

— To się nazywa nietrwałość. Myślisz, że coś trzymasz, a w rzeczywistości nie trzymasz niczego. Podobnie jak woda i piasek, których nie zatrzymasz w dłoni, choćbyś mocno zacisnął pięść!

— Jak ty to robisz, że się z tym godzisz? Mnie się to nie udaje. Kiedy wezmę w dłoń garść ziemi, chciałbym ją w niej zatrzymać!

— Łatwiej jest pogodzić się człowiekowi, który sam o tym zdecydował! Dlaczego zniknięcie w nurcie Gangesu nie miałyby być najpiękniejszym końcem dla gałązki drzewa?

Dziecko zamilkło.

Widocznie zastanawia się nad tym, co ode mnie usłyszało.

Para kormoranów spada na powierzchnię wody. Ptaki zanurzają w niej swoje dzioby — czasem nawet całe ciało — po czym wyławiają z rzeki mieniące się srebrzyście ryby.

Teraz chłopiec wchodzi do wody i kąpie się.

Płynie ku środkowi rzeki, macha do mnie, potem wydostaje się na brzeg.

Lśniący od wody przypomina mi mojego małego Rahulę, kiedy wychodził z basenu w naszym ogrodzie, w którym kąpał się nago ku zgorszeniu opiekunki.

Zauważyli mnie dwaj mnisi odziani w pomarańczowe łachmany i podchodzą do nas. Ananda, który nie oddał się na krok, daje im znaki, żeby zostawili mnie w spokoju.

— Wyglądają tak nędznie, że nikt nie ma odwagi odmówić im jałmużny! — woła dziecko.

— Moi uczniowie nie mają prawa pracować! Ich życie polega na modlitwie. Żyją z żebrania, ich los zależy od dobrej woli innych.

Spod szaty wyjmuję miseczkę na jałmużnę, którą długie lata służby tak wypolerowały, że lśni jak miedziana lampa.

— Czy ty również żebrzesz? — pyta dziecko nieco zdziwione.

Kiwam głową.

— To dziwne — dodaje. — Zdarzyło mi się widzieć, jak bramini i jogini przeganiają ze swoich świątyn ludzi ubranych na żółto!

— Wolność przeszkadza często tym, którzy się boją.

Kucający obok mnie chłopiec zamyśla się.

Jego spojrzenie mówi, że zrozumiał sens moich słów.

— Chce mi się pić. Czy możesz mi pożyczyć swoją miseczkę?

Podaję ją mu.

— Jest taka wysłużona... — wzdycha chłopczyk.

— Długo mi służyła. Poza tym pokryła się patyną przez częsty kontakt z materiałem. A ile dostała jałmużny!

Chłopiec idzie nad rzekę, zanurza w niej miseczkę i gasi pragnienie.

— Chcesz się napić? — pyta mnie w chwili, gdy podchodzi do mnie Ananda.

Wody królewskiej rzeki są teraz dziwnie puste i gładkie.

— Anando, przedstawiam ci małego człowieczka, który nie zapomina języka w gębie, ale mówi rzeczy słuszne i prawdziwe — informuję mojego kuzyna.

— Powinieneś odpocząć, Siddhartho! Wyglądasz jak duch! — szepce mi do ucha Ananda.

— No dobrze, czas już na mnie! — mówi chłopiec.

— A gdzie mieszkasz?

— Wszędzie!

— To tak jak ja, czyli nigdzie. Ty i ja jesteśmy z tej samej gliny!

Podskakując radośnie w cieniu wielkiego figowca banian, dziecko wykonuje kilka tanecznych kroków.

Są to taneczne kroki lwa.

Taniec zaobserwowany przez chłopca podczas niektórych świąt w miasteczku.

To taniec szlachetny.

Przypomina mi taniec wykonywany przez mężczyzn z mojego rodu. Taniec kszatrijów, od których tak bardzo się oddaliłem.

Z całą pewnością nic nigdy nie było temu chłopcu dane, chyba tylko ta niezwykła dojrzałość świadcząca o tym, że samo życie wiele go nauczyło.

Zastanawiam się tylko, dlaczego zaczął tańczyć jak Śiakja, skoro należy do kasty niedotykalnych?

— Chciałbym zostać przy tobie i pójść tam, dokąd ty pójdziesz! Mógłbyś opierać się na moim ramieniu. Jestem pewien, że ty i ja moglibyśmy zajść daleko... — mówi do mnie.

— Dokąd miałbym, twoim zdaniem, pójść, moje biedne dziecko? Czy nie widzisz, że jestem starcem i że ledwo trzymam się na nogach? Ty jesteś młody. Idź w świat! Ja przemierzyłem go już wzdłuż i wszerz.

Chłopczyk podchodzi i całuje mnie w czoło.

— Dziękuję ci, że ze mną porozmawiałeś! Jestem zadowolony! — odpowiada mały człowiek.

Patrzę, jak się oddala.

Kiedy mnie tu nie będzie, Ganges nie przestanie toczyć swoich wód, a pod Drzewo Współczucia przybędą inne dzieci...

Ogród Jadhu

Drobnymi krokami wychodzimy z miasta Bhumi, by udać się do miasta Pawa, stolicy arystokratycznej republiki Maila.

Mój brzuch, zazwyczaj płaski jak deska, jest teraz nadęty niby buklak. Wiem, że mój koniec się zbliża, ale biorę to za dobrą wróżbę.

Tego ranka powiedziałem do Anandy:

- Musimy stąd odejść. Moja chwila nadchodzi, lecz nie nastąpi tutaj.
- Tylko Mędrzec wie kiedy, mówiąc słowami kowala Czundy — szepnął wtedy Ananda.

Kiedy docieramy do bram Pawy, oczekuje nas tam ogromny tłum, tworzący honorowy szpaler. Jest mnóstwo biedaków i żebraków, którzy przybyli mnie powitać. Są ciekawi, jak wygląda szaleniec, który utrzymuje, że dostęp do Szlachetnych Prawd ma każdy, bez względu na to, czy jest bogaty czy biedny, czy wywodzi się z kasty wyższej czy niższej, czy jest wielki czy mały, głupi czy uczony.

Tłum domaga się kazania.

Zbieram w sobie resztki sił niezbędnych do głoszenia Szlachetnej Prawdy tym mężczyznom i kobietom, którzy czekali przez długie godziny w palącym słońcu.

W niczym niezmaconej ciszy opowiadam im o cierpieniu, uczę, jak je analizować, przekazuję, jak położyć cierpieniu kres, jak się go pozbyć.

Śluchają mnie z otwartymi ustami i z uśmiechem. Teraz już wiedzą, że Zbawienie jest w zasięgu ich rąk.

Gdy kończę, pytam Anandę:

— Czy mógłbyś zaprowadzić mnie do ogrodu Jadhu?

Park jest cudowny po obfitych monsunowych deszczach, które padały tu jeszcze przed kilkoma dniami.

Najrzadsze orchidee rosną w nim pośród lian, mchy, delikatne w dotyku jak aksamit, pokrywają pnie mangowców i drzew cynamonowych, jaśminy i róże napełniają powietrze zapachem, żywoploty zostały przez wprawnych ogrodników przycięte w kształt wazonów i kolumn.

Po drugiej stronie rzeki Hirangawati, płynącej przez ten niezwykły ogród, dostrzegam lasek drzew sala, położony w pobliżu terenu, na którym młodzi Mallowie ćwiczą się we władaniu bronią.

Mówię do Anandy:

- Tam w dali widzę dwa bliźniacze drzewa sala, pod którymi pragnę odpocząć. Chodźmy tam, jeśli nie masz nic przeciwko temu!
- Chcesz przejść przez rzekę?
- Przeniesie mnie przez nią na plecach któryś z młodych mnichów.

Ananda przywołuje jednego z neofitów.

Czuję ogromną radość, kiedy trzymając się jego pleców, przekraczam chłodną wodę. To radość człowieka u kresu życia.

W towarzystwie dziesięciu mnichów dochodzimy do dwóch skrzyconych drzew. Przywodzą na myśl starego mężczyznę i starą kobietę, stojących naprzeciwko siebie od samego początku do końca życia.

Lasek przylega do miasteczka Kuśinagara.

— Czy chcesz, byśmy rozwiesili hamak? — pyta Ananda z zatroskanym wyrazem twarzy.

Tak bardzo bołą mnie plecy, że wspięcie się do hamaka byłoby ponad moje siły. Lepsze będzie posłanie na samej ziemi, tam, między drzewami... Tak będzie dobrze...

Kładę się na prawym boku z głową zwróconą na północ i ze skrzyżowanymi nogami.

Nagle, w jednej chwili, obydwie drzewa okrywają się kwiatami, mimo że nie jest to pora ich kwitnienia. Widok ten wywołuje wśród stojących przy mnie uczniów okrzyki podziwu.

— Co mu jest, że chce tak leżeć na gołej ziemi? — pyta balwierz Upali i wybucha płaczem.

— Widzieliście te kwiaty? Czy to nie jest prawdziwy cud? — krzyczy z entuzjazmem Aswadžit.

Zewsząd docierają do mnie okrzyki pełne podziwu i zarazem niepokoju.

Ale najbardziej zdenerwowany ze wszystkich jest Ananda.

Zrozumiał, że siły opuszczają mnie ostatecznie. W kącikach moich bladych ust zauważył strużkę białawej śliny — oznakę konania. Od razu pospieszył do pobliskiego źródła, zanurzył w nim miskę i wróciwszy, przysunął ją do moich spierzchniętych warg.

Za nim widzę nagiego mężczyznę, którego potargane i szare włosy świadczą o tym, że posypuje sobie głowę popiołem na znak pokuty.

— Gdzie jest Oświecony? — pyta mojego drogiego kuzyna.

— Odpoczywa tam, między dwoma drzewami sala. Czego od niego chcesz?

— Słyszałem, że tej nocy podczas trzeciej kwadry osiągnie nirwanę. Chciałbym go przedtem pozdrowić, jeśli to możliwe.

— Jak się nazywasz?

— Subhadra.

— Kto ci o tym powiedział, Subhadro? — pyta go Ananda.

— Najmądrzejsi z ascetów wspólnoty, do której należę, od tygodni twierdzą, że pewien Oświecony wkrótce opuści ten świat... Chciałbym tylko zająrzeć w jego źrenice! To dla mnie bardzo ważne.

— Jest zbyt zmęczony i musi odpoczywać! Nie zapominaj, że od prawie czterdziestu pięciu lat wędruje po drogach i wygłasza swoje kazania do tłumów. Mogłeś postarać się wcześniej go spotkać.

Ananda najwidoczniej postanowił oszczędzić mi wszelkiej zbędnej fatygi i teraz stoi między mną i ascetą niczym parawan.

Szepeczę do niego, by pozwolił mężczyźnie zbliżyć się do mnie.

— Szanowny Oświecony, zanim opuścisz ten świat, pozwól mi poznać Prawdę! — mówi asceta, kłaniając się przede mną trzykrotnie.

Mówię więc do swoich mnichów:

— Zostawcie mnie samego z Subhadrą.

Szeptem i resztką sił objaśniam mu, czym są Cztery Szlachetne Prawdy, Pięć Zakazów i Szlachetna Ośmioraka Ścieżka.

— Wy tłumacz mi, jak burzą się i jak powstają światy? — pyta mnie, kiedy skończyłem.

Mówię:

— Wszystkie światy, jakiegokolwiek by były, po okresie wielkiego pokoju i stabilizacji są burzone przez wiatry wiejące na czterech lądach i osiemdziesięciu tysiącach wysp rozsianych na morzu. Wszystkie światy, jakiegokolwiek by były, po okresie wielkiego spokoju są w końcu burzone przez morską wodę, która wzbiera i zatapia swymi falami wszystkie piętra świata. Wszystkie światy, jakiegokolwiek by były, po okresie wielkiego spokoju niszczone są ogniem, którego płomienia podsyca wiatr. Po zburzeniu światy powstają na nowo, po czym znowu są burzone, i tak bez końca. Ten, który osiąga nirwanę, wyzwala się z cyklu budowania i destrukcji.

— Twoje słowa są cudowne, prostujesz to, co pochylone, odsłaniasz to, co zakryte, wskazujesz drogę zbłąkanym. Ja też pragnę zostać mnichem sanghi! — wykrzykuje z entuzjazmem asceta.

Mówię do swoich uczniów:

- Zajmijcie się niezwłocznym przyjęciem Subhadry do sanghi, z pominięciem czteromiesięcznego okresu próbnego. Ten asceta jest już jedną nogą w jej łonie!
- Dobrze zrobiłem, ośmielając się przyjść tu i zakłócić twój spokój, o Oświecony! Gdybym cię nie spotkał, nadal tkwiłbym w błędzie! — mówi nagi asceta.

Uśmiecham się do swoich uczniów. To moje z nimi pożegnanie.

43

Parinirwana

Mój dzisiejszy *kalpa* * jest ostatnim.

Czuję, że wielka i tak bardzo oczekiwana **chwila wreszcie** nadeszła.

Sądzicie, że śpię, ale wcale tak nie jest.

Czuwam.

Po prostu jestem tak zmęczony, że nie mogę utrzymać uniesionych powiek. Gdybyście je podnieśli, w głębi czarnych oczodołów zobaczylibyście moje żarzące się oczy, nietknięte i błyszczące jak diamenty.

Stoję w przedsionku Wyzwolenia.

Już wkrótce wejdę w pierwszą medytację *dhyana*, potem w drugą i dalej, aż do czwartej i ostatniej.

Potem pogrążę się najpierw w skupieniu, w którym ustaje świadomość, potem w skupieniu, w którym nie ma już nic namacalnego, następnie w skupieniu nieskończoności świadomości i na koniec w skupieniu nieskończoności przestrzeni.

* *Kalpa* (sansk.) — dosł. era, epoka, wiek, cykl; w hinduizmie i buddyzmie jeden z czterech wielkich cykli kosmicznych, następujących po sobie i obejmujących dzieje świata od jego narodzin aż po kres; tutaj określenie to jest przenośnią, na ogół w Indiach niestosowaną — jako czas, życie.

Mruczę do siebie:

— Niech wszystkie istoty żyjące, ruchome i nieruchome, bez względu na to, czy są długie i wielkie, czy średnie i małe, chude czy grube, widoczne i niewidoczne, dalekie i bliskie, narodzone i mające dopiero przyjść na świat, niech wszystkie będą szczęśliwe!

Oto najgorętsze życzenie, jakie wypowiadam w chwili poprzedzającej śmierć.

Odchodzę, ale zostaję pośród was, a moje Współczucie będzie wam towarzyszyć do końca.

Widzę was, moi ukochani uczniowie. Stoicie tu wszyscy blisko mnie, pomiędzy drzewami.

Dobrze, że ty także tu jesteś, Anando.

Na znak wdzięczności za to, co dla mnie uczyniłeś, zostawiam ci swoją miskę na jałmużnę. Byłeś mi bratem, niezawodnym pomocnikiem, cudownym towarzyszem drogi i wcieloną dobrocią. Zgodziłeś się poświęcić swoje cele celom, które ja sobie wytyczyłem! Jesteś dobrym człowiekiem, Anando. Zawsze byłeś pokorny. Nigdy nie wykorzystywałeś pokrewieństwa ze mną ani starszeństwa, bo ze wszystkich moich uczniów ty byłeś najpierwszy z pierwszych.

Bez ciebie nie wyrwałbym się z domu. To ty dodałeś mi odwagi. Nigdy tego nie zapomnę.

Zawsze będę cię kochał! A kiedy mnie już tu nie będzie, zachowam wspomnienie twojej twarzy o łagodnych oczach!

Trzej bracia Kaśjapowie, też tu jesteście, tak samo jak Subhuti, Maudgaljajana i Śiariputra!

Obserwuję was przez półprzymknięte powieki.

Ledwie macie odwagę patrzeć na moje sterczące kości. Mój fizyczny upadek musi być dla was szokiem. Cieleśna powłoka Oświeconego niczym nie różni się od ciał pozostałych istot ludzkich. Wiem, że to was martwi... Wiem, że trudno to pogodzić z cudami, których dokonałem na waszych oczach. Na przykład, kiedy w misce do zbierania jałmużny zamknąłem tego strasznego plującego jadem węża pilnującego świętego

ognia w Uruwilwa, albo kiedy dziki słoń przyniósł mi wodę w trąbie, albo kiedy drzewa, pod którymi się modliłem, okrywały się nagle kwiatami.

Tak już jednak jest: nawet jeśli stałem się Tathagatą, jestem tylko człowiekiem między ludźmi, któremu nikt z bliźnich żyjących do późnego wieku nie zazdrości teraz wyglądu.

Gdybyście wiedzieli, moi kochani uczniowie, jak bardzo was kocham i szanuję, wszystkich bez wyjątku!

Czasami mówiłem sobie, że moje wymagania są zbyt wygórowane jeśli chodzi o ascezę i wyrzeczenia, zwłaszcza kiedy patrzyłem, jak zadowalacie się miską zupy z soczewicy po dwóch dniach wymuszonego postu, albo kiedy widziałem wasze stopy krwawiące po długim marszu kamienistymi drogami.

Wam przypadnie przekazywanie Dharmy wszystkim tym, którzy dołączą do nurtu po mojej śmierci. Bo Dharma przeżyje mnie, to pewne. Sprawiedliwe idee są niezwyciężone.

Na tobie zaś, Anando, spocznie obowiązek pocieszania innych uczniów, którzy będą mnie oplakiwali po śmierci, choć dobrze wiedzą, że jest ona dla mnie ostatnim nieuniknionym etapem przed wkroczeniem do Ostatecznego Wyzwolenia i przedśionkiem Najwyższego Zgaśnięcia, którego wreszcie dostąpię.

Nie wątpię, że za moim przykładem wielu ludzi będzie chciało wyrwać się z nieprzerwanego cyklu śmierci i odradzania się.

Nadejdzie dzień, moi drodzy przyjaciele, kiedy pismo zastąpi pamięć, ponieważ zabraknie na tym świecie naocznych świadków tego, co wspólnie przeżyliśmy.

Już wkrótce opuszczę ten świat, to tylko kwestia godzin, ale im bliższa jest nirwana, tym jestem spokojniejszy i szczęśliwszy.

Nie stoję nad przepaścią, jestem na progu terytorium, gdzie indywidualna świadomość rozplywa się w Świecie, do Którego Nie Można Się Przywiązać.

Czuję, jak Ananda całuje mnie w czoło.

Tak bardzo bym chciał wyrazić szacunek, jaki **dla** niego żywię, ale **nie** mogę otworzyć ust.

Odtąd jestem tam, gdzie panuje spokój, bo nic nie jest tam ani czarne, ani białe, bo nic nie jest tam ani wklęsłe, ani wypukłe, bo nic nie jest tam ani dobre, ani złe, bo nic nie jest tam piękne ani brzydkie, bo nic nie jest tam ani gorące, ani zimne.

W takim stanie nie ma już miejsca na ból, człowiek jest ostatecznie uwolniony od wszelkiego cierpienia.

Mój umysł znajduje się na zewnątrz ciała.

Widzę własne zwłoki tak, jakbym stał obok.

Przy nich stoi pięciu książąt Maila, przybyłych zasięgnąć o mnie wieści, zamiast oddawać się ćwiczeniom w sztuce wojennej. Mają świadomość niezwykłego wydarzenia dziejącego się między dwoma bliźniaczymi drzewami, podobnie jak Subhadra — ostatni nawrócony.

Pochylają się nade mną i szepcą zdławionymi bólem i wzruszeniem głosami:

— Płomień świecy zgasł...

Teraz podchodzi do mnie Ananda i naciera moje ciało pachnącą szmatką, mówiąc:

— Podobnie jak płomień zgaszony przez wiatr wchodzi w stan spoczynku i nie pozwala się już podziwiać, tak wolny od egoizmu człowiek Oświecony, kiedy zgaśnie, staje się niewidzialny. Niemożliwy do opisanego, umyka wszelkim wyobrażeniom. Wymyka się mocy słów! Wieść, że asceta Siddhartha Gautama, Tathagata lub Oświecony dostąpił nirwany, niebawem rozniesie się po mieście jak potok zalewający ulice po burzy. Nie możemy go tu zostawić!

Przenoszą mnie do szałasów i układają na łożu z gałęzi.

Niebawem nadchodzą pobożni ludzie. Zatraskani mężczyźni i płaczące kobiety, często najbiedniejsi z biednych, a każdy niesie prosty bukiet anemonów lub parę grudek kadzidła.

Żarliwość tych pokornych, pozbawionych wszystkiego ludzi, jest tak wielka, jak prąd wód Gangesu.

Rozpacz Anandy, płaczącego na uboczu, jest dla mnie nie do zniesienia.

Postanawiam zatem dać mu znak.

Na samym czubku drzewa Ananda dostrzega nagle kwiat.

Jakże jest piękny!

Jest to złoty kwiat, błyszczący jak słońce, a jego blask jest tak silny, że nie można na niego patrzeć dłużej niż przez kilka sekund.

Wydziela cudowny zapach.

Cudowny i niezapomniany.

Wtedy, mimo wielkiego bólu, jaki go przygniata, Ananda czuje się nagle ukojony.

Po raz drugi bowiem widzi, jak rozkwita cudowny kwiat udumbara!

Epilog

Mówi do ciebie Budda, drogi czytelniku.

Teraz, kiedy znasz trochę lepiej moje życie, potrafisz słuchać
mojego milczenia.

Podдай się temu i przestań się bać!

Otwórz się na Prawdę.

Ona należy do wszystkich ludzi.

Ona pogodzi cię z tobą samym.

Ona uczyni z ciebie człowieka, który potrafi dostosować życie
do swoich oczekiwań i aspiracji.

Uczyni z ciebie istotę ukojoną.

Nie rozpaczaj! Każda istota ludzka, kimkolwiek by była,
wezwana została do budowania swojej przyszłości. Zbawienie
planety nie zależy od dobrych chęci lub od kapryśnej ręki
niewidzialnego boga, obcego człowiekowi, ponieważ całkowicie
go przewyższa.

Jeśli każdy o tym zdecyduje, jutro będzie lepsze.

Pozwól nadziei wejść w siebie, jakbyś zanurzał się w wody
rzeki i kosztował tej wspaniałej rzeźkości pochodzącej z płynnego
pierwiastka za przyczyną prądu i wiatru o wiele zimniej-szego od
rozpalonego powietrza tego popołudnia.

Czyż fakt rozpoczęcia nowego życia w wodach świętej rzeki nie jest jednym z najpiękniejszych stanów samsary?

Wówczas, na podobieństwo całej zgnilizny oczyszczonej wodami Gangesu, uzdatnionej jego siłą, rozdrobnionej w najmniejsze cząsteczki dzięki potędze jego prądu, ujednocionej niewyczerpaną energią jego wirów, trawionej przez ławice najróżniejszych ryb, od najmniejszych do najstraszliwszych, które ją pożerają;

Wówczas, na podobieństwo gigantycznego mechanizmu sterującego światem — Koła Przemiany zaczynającej się od ziarenka piasku i kończącej się pośród gwiazd po przejściu przez ludzki rozum; Koła Odwiecznego Cyklu istnień; Koła Fortuny i Koła Nieszczęścia; i koła zawierającego wszystkie poprzednie: Koła Prawa, które ja — Gautama Oświecony, Gautama brat ludzi — chciałem wprawić w ruch dla dobra całej ludzkości, a w szczególności dla twojego dobra;

Wówczas, powiadam, twój umysł odzyska siły do życia.

A Koło Prawa, które udało mi się przesunąć z pola cierpienia na pole zbawienia, będzie należeć do ciebie.

Spójrz teraz, co dzieje się w twoim sercu, a znajdziesz tam prawdziwą twarz Buddy.

Budda uśmiecha się do ciebie i wyciąga rękę.

To Budda, który jest w tobie.

Dla ciebie.

Bo nawet jeśli go nie widzisz, on stoi obok ciebie. Jest tym, któremu udało się „poruszyć rzeczy”; tym, którego celem było dać nadzieję ofiarom życia, bez różnicy, bogatym czy biednym, tym, który udowodnił, że bez miłości nic nie jest możliwe, tym, który powiedział ludziom, że nie są skazani na wieczną niewolę swojego stanu i swoich potrzeb, tym, który zdjął ciężar z ramion każdej istoty, tym, który ośmielił się wyjaśnić świat, nie opierając go na istnieniu bogów, tych dobrych i tych złych, jednakowo niepojętych dla człowieka i przytłaczających go swoją potęgą. Tym, który zaproponował, aby szczęście ludzkie wyrazić wartościami duchowymi o wiele bardziej subtelnymi

od wartości materialnych: zanikaniem, medytacją, pustką i negacją siebie. Tym, który pierwszy ogłosił światu, w którym prawo silniejszego jest tak mocno zakorzenione, że współczucie jest więcej warte niż nienawiść i że lepiej, żeby tolerancja odniosła zwycięstwo nad wykluczeniem i pohańbieniem.

Jest więc tym, którego wszyscy potrzebujemy, bo przemawia do nas inaczej.

Budda wczorajszy, Budda dzisiejszy i Budda jutra.

Budda, którym ty będziesz pewnego dnia... Kto wie? I jak ci tego nie życzyć?

Nie zdając sobie z tego sprawy i bez wysiłku, wszedłeś, mój czytelniku, w pierwsze stadium medytacji *dhyana*, a ja jestem teraz blisko ciebie.

Jeśli poddasz się jej jeszcze bardziej, ujrzysz moją prawdziwą twarz.

Zobaczysz moją ogoloną głowę i wysokie, doskonale gładkie czoło, lekko wypukłe.

Zobaczysz wydłużony nos, rozdzielający na dwie symetryczne połowy wychudzoną twarz o lekko wystających kościach policzkowych.

Powyżej podbródka, okrągłego jak kopyto konia, zobaczysz usta o wargach nadal wydatnych, pomimo skąpego pożywienia, jakie przyjmowały.

Ale przede wszystkim zobaczysz moje oczy.

Oczy patrzące na ciebie z miłością.

Czarne oczy, które wydadzą ci się podobne do drogocennych diamentów.

Intensywnie błyszczące oczy, które będą się do ciebie uśmiechać.

Oczy przepelnione Współczuciem.

Jestem tu, z tobą!

Ponieważ ty tu jesteś, ze mną!

Posłowie

Kto nie słyszał o Buddzie?

Ale kto zna go naprawdę?

Budda i buddyzm są nam znane od dawna, lecz często powierzchownie i czasami błędnie.

Sprowadzona tylko do braku przemocy, czasami ubarwiona egzotyką — często tandetną — przekazywanych nam obrazów, jego doktryna jest tymczasem jedną z najbardziej ambitnych i wnikliwych prób objaśnienia świata, a zwłaszcza sensu, jaki ludzie powinni przypisywać swojemu w nim miejscu, swojemu przeznaczeniu i życiu.

Jako filozofia i religia, buddyzm w swoich licznych odłamach, które w owych czasach z niewyjaśnionych powodów, lecz także dlatego, że zawsze ucieleśnione były w wyjątkowych postaciach, burzyły tradycyjne wierzenia społeczeństwa i przyczyniały się do rozwoju cywilizacji — podobnie jak myśli ludzkiej — zmierzał w kierunku uniwersalnych wartości tolerancji i pokoju, które dzisiaj wydają się nam całkiem oczywiste, lecz które w czasach, gdy były głoszone, stanowiły prawdziwą rewolucję intelektualną i moralną.

Poza aspektami filozoficznymi i moralnymi tej doktryny, którą w tym opowiadaniu staraliśmy się wyjaśnić prostymi słowami, chcieliśmy zaprosić czytelników jeszcze niezbyt dobrze znających

Budę, do poznania jego życia, odkrycia jego słów i dróg, które przemierzył.

Ale czy Budda rzeczywiście istniał?

Jedyna odpowiedź na to pytanie brzmi „tak”.

Zresztą z jakiego powodu ludzie mieliby odczuwać potrzebę wymyślenia takiej osoby?

Z całą pewnością około połowy VI wieku przed Chrystusem żył na północy Indii człowiek, który wyjątkową charyzmą i darem wymowy zyskał sobie posłuch mu współczesnych.

Głoszona przez niego doktryna była tylekroć badana i klasyfikowana, że studia nad dawnymi tekstami umożliwiły dość dokładne jej poznanie.

Oprócz niezliczonych tekstów jego kazań, które rozpowszechniły się stopniowo w Azji i uczyniły z Chin, a następnie w początkach naszej ery z Japonii dwa główne państwa buddyjskie w chwili, gdy w Indiach, gdzie narodziła się ta religia, nastąpił jej schyłek, to człowiek zwany Buddą powinien przede wszystkim zwrócić naszą uwagę.

Kim był?

Fizycznie był z pewnością bardziej podobny do ascetycznego mieszkańca Indii o kręconych włosach, delikatnych rysach i czarnych oczach niż do posągów przedstawiających go pod postacią brzuchatego i tłustego mnicha, czczonego w złotych świątyniach Tajlandii, Wietnamu, Chin czy Japonii.

To właśnie dzięki temu poznanie go staje się pasjonujące.

Ponieważ z całą pewnością nigdy żaden człowiek nie będzie miał tylu tak różnych od siebie wyobrażeń.

Ponieważ jego słowo bardzo prędko zyskało zasięg uniwersalny i ponadczasowy.

To powód, dla którego najlepszym sposobem odkrycia, kim był, jest odbycie podróży do źródeł.

Podobnie jak inni ludzie jego pokroju (np. Chrystus, święty Franciszek z Asyżu czy Gandhi) zdolni zerwać z ustalonym porządkiem moralnym czy religijnym, Budda był bez wątpienia osobistością paradoksalną.

Zwracał się do biednych, ale słuchali go liczni książęta.

Po jego śmierci potężne dynastie cesarskie w Indiach, a następnie w Chinach, broniły jego doktryny.

Budda nie wierzył w immanentność najwyższego boga.

Wprost przeciwnie, wierzył w człowieka i w jego zbawienie.

Oto dlatego najlepszym sposobem zrozumienia buddyzmu jest odkrycie, kim rzeczywiście był Siddhartha Gautama, ten, który po śmierci stał się Buddą.

Stopniowo buddyzm stanie się religią z prawdziwego zdarzenia, złożoną z dwóch wielkich szkół: Małego i Wielkiego Wozu. Pierwsza z nich zapewnia zbawienie wyłącznie mnichom, a druga umożliwia je wierzącym, nawet tym, którzy nie wyrazili szczególnych życzeń.

Sprowadzenie tej duchowości do rytuału wiąże się — o ile pragniemy ją dobrze zrozumieć — z koniecznością powrotu do buddyzmu pierwotnego, to znaczy do samych słów Siddharthy i jego tak szczególnego i poetyckiego wyrażania myśli, co starano się uszanować i przekazać w niniejszej opowieści zatytułowanej *Ja, Budda*.

Aneks 1

Buddyzm to coś więcej niż religia, to „postawa życiowa wobec śmierci i wobec innych”...

Bardziej niż religią buddyzm jest filozofią, ale jeszcze bardziej postawą życiową, moralną — a także fizyczną! — która jest ogromnym wyzwaniem dla istot z krwi i kości, jakimi jesteśmy, podobnych do gąbek chłonących sensacje, żadnych przyjemności i szczęścia, obawiających się cierpienia i nieszczęścia. Budda nakłania nas do wyrzeczenia się dóbr materialnych i do udania się w świat duchowy, w którym człowiek może wreszcie uciec od swych ludzkich ograniczeń.

W miejsce pojęć takich jak szczęście — nieszczęście, przyjemność — cierpienie, bogactwo — ubóstwo, to znaczy zamiast dualnej rzeczywistości (ciepło — zimno, światło — ciemność, życie — śmierć), w której żyjemy, Budda proponuje nirwanę, ten idealny stan, kiedy to znika wszelkie odczuwanie i w którym panuje pokój i pustka.

Nawet jeśli fakt, że cierpienie jest wszechobecne, wydaje się przesadzony w naszych oczach, oczach ludzi Zachodu, należy stwierdzić, że ta wizja jest coraz bardziej adekwatna do sytuacji większości istot ludzkich żyjących na naszej planecie, tak wiele jest problemów natury demograficznej i ekologicznej oraz pogłębiająca się nieustannie od pięćdziesięciu lat nierówność społeczna.

Buddyzm zrodził się z chęci zerwania z tradycyjnymi religiami indyjskimi w społeczeństwie Indii VI wieku przed naszą erą, w którym większość mężczyzn i kobiet żyła w wielkiej nędzy i była praktycznie niewolnikami.

Jednak sprowadzenie nauki Buddy do teorii nastawionej na ulżenie cierpieniu jego współpracownicy byłoby zbyt dużym uproszczeniem.

U podstaw nauki Buddy leży wola wyzwolenia ludzi spod duchowego i materialnego jarzma, które „ściąga ich w dół”, jak worek piachu uniemożliwiający wzniesienie się balonu w powietrze.

Buddyjska teoria zerwania, głoszona później w różnych formach przez takich wybitnych następców Buddy, jak Chrystus czy święty Franciszek z Asyżu, skierowana była do wyznawców tradycyjnej religii Indii, hinduizmu, w której bramini wzywali nieustannie do składania, kosztem największych wyrzeczeń, ofiar panteonowi indyjskich bogów stanowiących pierwowzór bogów greckich i rzymskich, starających się utrzymać ich w niewiedzy i poddaństwie.

Zamiast przywoływać jedyne boga, działającego w interesie ludzi lub przeciw nim, w zależności od ich zachowania i stopnia uzależnienia, zgodnie z nieubłaganym kontraktem: uwielbiam mnie, rób to, co nakazuję, a zbawię cię, mogącym doprowadzić do wszystkiego, ponieważ bóg tak chciał, Budda umieszcza człowieka w centrum wszechświata.

Jego zbawienie zależy od niego samego.

Największym zwycięstwem, jakie powinien odnieść, to zwycięstwo nad sobą samym, stopniowe wyzbycie się wszystkiego, na przykład ubrań uważanych za cenne, podczas gdy są jedynie łańcuchami i krępującymi nas łańcuchami.

W tym znaczeniu buddyzm jest filozofią religijną najdalszą od monoteizmu, ponieważ proponuje ludziom diametralnie odmienną drogę. Ludzie nie są osamotnieni w obliczu cierpienia, mają za sobą miliardy poprzedników, a przed sobą miliardy następców. Wszystko, co przydarza się nam, przydarzyło się już innym i przydarzy się tym, którzy narodzą się po nas.

To stwierdzenie wprowadza pojęcie współczucia, które jest w centrum stosunków międzyludzkich takich, jak pojmują je Budda. Ludzie są względem siebie solidarni, ponieważ powołani zostali do przeżycia takiego samego cyklu istnienia, z którym Budda zaleca zerwać przez wyzwolenie.

Ten głęboki humanizm, oparty na bezwzględny poszanowaniu drugiego, tłumaczy olbrzymi sukces buddyzmu, pomimo braku woli gorliwego nawracania u jego adeptów, preferujących dawanie dobrego przykładu.

Pod tym względem buddyzm jest jedynym prądem religijnym, który zawsze odmawiał uciekania się do przemocy.

Niektóre pojęcia myśli buddyjskiej, takie jak dotyczące czasoprzestrzeni, jedolitości stworzenia i mnogości światów czy struktury materii, zostały potwierdzone ostatnimi odkryciami naukowymi — teorią względności Einsteina czy mechaniką kwantową.

Buddyzm stanowi kwintesencję spirytualizmu.

To dzięki medytacji, tej gimnastyce umysłu, udanej dzięki długiej praktyce, umysł znajduje wreszcie drogę do wyzwolenia z dotychczasowej egzystencji. Buddysta poszukuje pustki w bardzo złożonej refleksji natury ontologicznej, prowadzonej wokół pojęcia atmana, tej najgłębszej istoty osobowości ludzkiej, jaźni niezmieniającej się w cyklu reinkarnacji.

Nawet jeśli niektórzy widzieli w buddyzmie filozofię prowadzącą ludzi do akceptacji swojego losu — a więc „religię wyalienowaną” w marksistowskim znaczeniu tego słowa — Budda chciał swoich bliźnich uczyć wyzwolenia.

I jak tu nie podziwiać jego intuicji, kiedy widzi się losy narodów rzekomo „wyzwolonych” przez rewolucje, które doprowadziły je do zniewolenia i nędzy?

Buddyzm jest jednak prawdziwą fenomenologią analityczną postrzegania rzeczywistości, w której pojmowanie świata podzielone jest na fazy. Uczeń jest więc prowadzony krok po kroku

coraz wyżej, aż do ostatniego stopnia — do nirwany. Nie jest ona ani niebem, ani zaświatami, gdzie wszystko jest cudowne, tylko zwyczajnym „gdzie indziej”, w którym wreszcie wolna od wszystkiego istota nie cierpi, ponieważ po prostu nie posiada już "ja.

Aneks 2

Wielkie Kazanie z Benares

To w Jelenim Parku, w pobliżu Benares, Budda wygłosił swoje pierwsze wielkie kazanie, które w tej opowieści starano się przedstawić w języku najbardziej zbliżonym do języka i sposobu wypowiedzania się Błogosławionego.

Położenie wszystkich istot uwidacznia się w Czterech Szlachetnych Prawdach: Szlachetnej Prawdzie o Cierpieniu, Szlachetnej Prawdzie o Pochodzeniu Cierpienia, Szlachetnej Prawdzie o zniweczeniu Cierpienia i wreszcie w Szlachetnej Prawdzie o Drodze do Zniweczenia Cierpienia.

Powiadam:

Życie jest wyłącznie cierpieniem, od narodzin aż do śmierci — oto Pierwsza Prawda. Pragnienie i żądza posiadania są przyczyną cierpienia — oto Druga Prawda. Tylko zerwanie, rezygnacja z tego pragnienia i tej żądz mogą położyć kres cierpieniu — oto Trzecia Prawda. Czwartą Prawdę, tę, która daje dostęp do środków umożliwiających osiągnięcie poprzednich celów, ja nazywam Szlachetną Ośmioraką Ścieżką, Świętą Drogą o Ośmiu Członach, Ośmioma Drogami do Wiedzy i Prawdy, Uświęconą Drogą o Ośmiu Odnogach!

Powiadam:

Nazywam ją również Środkową Ścieżką — ścieżką prowadzącą do zniweczenia cierpienia i do ostatecznego wyzwolenia, to jest do

wyjścia z samsary. Pomiedzy dwiema skrajnymi drogami, drogą kuszenia, rozkoszy i przyjemności doczesnych, tak materialnych jak cielesnych, a drogą umartwienia, cierpien i pokuty, które człowiek postanowi sobie zadać, wierząc, że doprowadzą go do prawdy, podczas gdy doprowadzają do obrzydzenia siebie, ja wzywam was do wybrania Środkowej Ścieżki.

Powiadam:

Tak, w ten sposób nazywam właściwy pogląd, właściwe myślenie, właściwą mowę, właściwe postępowanie, właściwy sposób zarabkowania, właściwy wysiłek, właściwą uważność, właściwą koncentrację. Oto lekarstwo prowadzące do zniesienia niewiedzy, do zniweczenia cierpienia ponownych narodzin, to znaczy do nirwany...

Powiadam:

Istnieje, moi drodzy przyjaciele, taki obszar, w którym nie ma ani ziemi, ani wody, ani ognia, ani wiatru, ani przestrzeni, ani świadomości, ani nicości, ani postrzegania, ani braku postrzegania, ani tutaj, ani tam, ani słońca, ani księżyca. W obszarze tym ani się nie odchodzi, ani nie powraca, nie rodzi się i nie umiera; obszar ten nie ma fundamentów ani podpory. To obszar, który nazywam „kresem cierpienia”; nazywam go „nirwana”. Zapraszam was, abyście tam właśnie ze mną podążyli.

Powiadam:

U podstaw *dukkhy* — cierpienia — leży pragnienie; pożądliwość i poszukiwanie rozkoszy; pragnienie istnienia i życia; pragnienie nieistnienia i śmierci!

Powiadam:

U podstaw *dukkhy* leży także współzależne powstawanie wywodzące się z cierpienia i prowadzące do niewiedzy.

Powiadam:

U podstaw niewiedzy znajduje się działanie, to znaczy różne postęпки dobre lub złe, popełnione ciałem, głosem i myślą. Działanie warunkuje świadomość. Świadomość warunkuje kolejne ogniwo: nazwę i formę. Nazwa odnosi się do skupisk odczucia, rozróżniania, tego, co zależy od naszej woli i świadomości.

Forma to skupisko formy. U podstaw nazwy i formy leży sześć źródeł — to zdolności zmysłowe oczu, uszu, nosa, języka, ciała i umysłu. U podstaw sześciu dziedzin zmysłowych jest odczuwanie, u podstaw odczuwania leży przywiązanie; u podstaw przywiązania leży lgnięcie. One stwarzają podstawę istnienia. U podstaw istnienia leżą narodziny, które prowadzą do ostatecznego ogniwa — starości i śmierci.

Powiadam:

Taki jest ciąg skutków i przyczyn, które nauczę was zniszczyć.

Powiadam:

Narodzić się, oznacza poddać się cierpieniu.

Powiadam:

Istnieć oznacza „stać się”, albowiem istnienie jest odwiecznym ruchem, ponieważ nic nie bierze się z niczego; ponieważ narodziny są możliwe tylko wtedy, gdy jest poprzednie życie.

Powiadam:

Przywiązanie oznacza lgnięcie; bo nasze życie składa się z lgnięcia do osób, które kochamy, i do rzeczy, które pragniemy posiadać i zatrzymać.

Powiadam:

Myli się ten, kto mówi: „Jestem, a więc chcę”.

Powiadam:

Istnieją cztery rodzaje przywiązania, jedno szkodliwsze od drugich: pożądanie, które popycha nas ku kobietom, smakołykom i temu wszystkiemu, co dostarcza nam przyjemności; przekonania, które czynią z nas dyktatorów myśli i pozbawiają tolerancji; przesady dotyczące rytualnych praktyk i pobożność, którą usiłujemy kupić sobie za zbawienie. Ale przywiązaniem najgorszym ze wszystkich jest wiara we własne "ja, która czyni nas nieludzkimi tyranami.

Powiadam:

Mieć pragnienia — to znaczy być niewolnikiem swoich zmysłów i dążeń pchających nas do posiadania osób i rzeczy.

Powiadam:

Odczuwać — to pozwolić wniknąć w siebie kolorom, zapachom, smakom, dotykom, dźwiękom i myślom.

Powiadam:

Wejść w kontakt — to znaczy dać się prowadzić swoim oczom, uszom, nosowi, językowi, rękom oraz myślom.

Powiadam:

Nazywać i opisywać — to poddać się wszechświatowi takiemu, jaki jest.

Powiadam:

Mieć świadomość — to posiadać umiejętność poznawania tego, co nazywamy, i tego, co opisujemy.

Powiadam:

Nie wiedzieć — oznacza dać się wciągnąć w cykl przyczyn i skutków prowadzących do narodzin i cierpienia, oznacza nie znać początku i nie znać końca, nie znać tego, co stanowi wnętrze istot, i tego, co jest na zewnątrz. Nie znać drzewa i jego owocu; nie wiedzieć, co jest czarne, a co białe; nie znać cierpienia i nie znać narodzin.

Niewiedza jest ogniem podsycanym brakiem panowania nad zmysłami, nieświadomością odbieranych wrażeń, źle skierowaną uwagą, odmową akceptacji Czterech Szlachetnych Prawd, nieznajomością Dharmy i niewłaściwą dyspozycją umysłu.

Powiadam:

Przyczyną wszystkiego jest niewiedza, a następstwem wszystkiego — cierpienie.

Aby wystrzelił w górę płomień, potrzebne jest powietrze podsycające jego żar, ale nie wiąże się ani z jednym, ani z drugim. Nasze żywoty podlegające ciągłej przemianie podobne są do tego płomienia: błędzą w przestrzeni i w czasie, jak płomień ulegający wiatrowi, który może go wzniecić albo go ugasić...

Powiadam:

Wyobraźcie sobie w lesie, u stóp wysokiej góry, głębokie jezioro, na którego brzegu żyje stado dzikich zwierząt. Przybywa tam człowiek życzący im nieszczęścia i cierpienia. Zagradza drogę, którą mogą bezpiecznie przechodzić i otwiera inną, prowadzącą na bagna. Stado zginie tam niechybnie. Ale jeśli dotrze tam człowiek, który dobrze mu życzy, otworzy bezpieczną drogę

i zagrozi tę prowadzącą na bagna, wówczas stado rozmnoży się i przetrwa.

Powiadam:

Drodzy moi przyjaciele, to głębokie jezioro — to przyjemność, stadem są ludzie; człowiekiem, który źle stada życzy, jest Mara —• bóg zła, a drogą prowadząca na bagna jest droga rozkoszy, pragnienia i niewiedzy. Człowiekiem, który dobrze życzy, jest człowiek, który pewnego dnia zostanie Buddą! Bezpieczna droga jest Szlachetną Ośmioraką Ścieżką, drogą prowadzącą do właściwego myślenia, właściwej mowy, właściwego postępowania, właściwego sposobu zarabkowania, właściwego wysiłku, właściwej uważności i właściwej koncentracji. Oto lekarstwo prowadzące do zniesienia niewiedzy, do zniweczenia cierpienia ponownych narodzin, to znaczy do nirwany.

Powiadam:

Jeśli wszystko jest tylko cierpieniem, wszystko jest również tylko niestałością i wszystko jest również niebytem.

Powiadam:

Wszystkie istoty, wszystkie rzeczy i zjawiska są wynikiem chwilowych i ulotnych wyobrażeń, które stopniowo powstają i znikają. Przeciekają nam przez palce jak woda i piasek, kiedy chcemy pochwycić je w ręce. Czas nigdy nie zaprzestaje swojego lotu.

Powiadam:

Przywiązać się do tego, co z natury rzeczy jest nietrwałe, prowadzi nieuchronnie do cierpienia, ponieważ zdaje ci się, że trzymasz coś, czego nigdy nie posiadziesz.

Powiadam:

Nic nie istnieje samo z siebie, ponieważ wszystko jest wytworem myśli! Istoty żyjące i przedmioty pozbawione są elementu trwałego, który dla człowieka stanowiłby punkt zaczepienia. Człowiek nie jest jedyną istotą pozbawioną "ja, również rzeczy są tego pozbawione! W rzeczywistości nic z tego, co widzimy, co kochamy lub czego nienawidzimy, co odczuwamy — nie jest trwałe. Świat, w którym żyjemy, jest nietrwałością. Rzeczywistość jest wynikiem

tymczasowego połączenia czterech elementów. To dlatego że wszystkie rzeczy i wszystkie istoty są jakby puste, pozbawione trwałego pierwiastka, a świat, w którym żyjemy, jest pełen cierpienia!

Powiadam:

Odmawiam atmanowi prawa istnienia, ponieważ istoty i rzeczy są zbyt złożone, by ująć je za pomocą jednego tylko słowa!

Powiadam:

Anatman — nie "ja — nakazuje ludziom wyrzucić z umysłu wszelkie formy egoizmu. Bo nie ma racji bytu pojęcie „mój”, skoro wiadomo już, że nie istnieje "ja!

Anatman czyni z ludzi sprzymierzeńców, a nie rywali.

Anatman oznacza współczucie i solidarność między ludźmi.

Na koniec mówię:

W obliczu cierpienia, nietrwałości i niebytu czy anatmana, tylko nirwana jest dla człowieka ratunkiem!

Aneks 3

Pojęcie skupisk

Buddyzm jest złożoną doktryną. Niektóre jej aspekty próbują opisać i wyjaśnić otaczający nas świat.

Dotyczy to również skupisk.

Wszystko to, co widzą twoje oczy, składa się z pięciu skupisk, dwunastu dziedzin i osiemnastu pierwiastków zmysłowych.

Pierwsze skupisko — forma, która odnosi się do rzeczy tworzących świat. Pojęcie to obejmuje organy zmysłów (oko, ucho, nos, język, ciało i umysł) oraz ich obiekty.

Obiekty materialne to rzeczy złożone z czterech elementów: ziemi, wody, ognia i powietrza.

Mówię:

Nad brzegiem jeziora para dzikich kaczek wygląda pióra. Wyszły właśnie z wody po tym, jak dopiero co wylądowały na jej powierzchni z łopotem skrzydeł mającym wyhamować pęd.

Proszę Anandę, by usiadł pod mangowcem, którego majestatyczne gałęzie odbijają się w przejrzystej tafli wody.

Te ptaki zbudowane są z nieskończenie małych cząsteczek materii sprawiających, że piękne kolory zachwycają twoje oczy, a pióra wydają ci się tak miękkie, że chciałbyś ich dotknąć!

Dругie skupisko to uczucia, na które składa się wiele najróżniej-

szych doznań... dobrych, przyjemnych, złych, nieprzyjemnych i oczywiście neutralnych!

Podobnie jest z trzecim skupiskiem — poznaniem. Za to dwa ostatnie skupiska są bardziej złożone, ponieważ czwarte to formacje wolicjonalne, a piąte to świadomość.

Mówię:

Czwarte skupisko jest zbiorem funkcji myślowych: porozumienia, zrozumienia, chęci, zastanowienia, obojętności, pamięci, gnuśności, koncentracji i tak dalej. W tym skupisku umysł lubi błądzić. Jeśli chodzi o piąte skupisko — świadomość, to obejmuje sześć aspektów: świadomość oka, ucha, nosa, języka, ciała, i umysłu.

Dwanaście dziedzin zmysłowych, to te związane z pięcioma narządami zmysłów i pięcioma przedmiotami ich zainteresowania oraz rozum i wreszcie idee, w których odnajdujemy zresztą słowo Dharma, ponieważ tak właśnie zwykło się je określać. Dziesięć pierwszych dziedzin zalicza się do skupiska materii, podczas gdy umysł jest przypisywany skupisku świadomości. Jeśli chodzi o domenę idei, zalicza się do niej skupisko doznań, percepcji i komponentów psychicznych, a zwłaszcza to, co nazywamy rzeczami „uwarunkowanymi” lub też „niezłożonymi”, takimi jak nirwana. Mógłbym ponadto wspomnieć o osiemnastu elementach *dhatu* i dwudziestu dwóch zdolnościach *indrija*, a wśród tych ostatnich o pamięci — *smrti*, koncentracji — *samadhi* i mądrości. Wszystkie zostały stworzone po to, by móc podążać drogą wiodącą do wyzwolenia!

Posłowie od wydawcy polskiego

On, Budda (między snem a historią)

To ciekawe i ważne, iż żaden z twórców wielkich religii światowych — Zaratustra, Mojżesz, Jezus, Mahomet, Dżina, Konfucjusz, Lao-tsy — nie ma „prawdziwej biografii”. Nie ma „życiorysu” czy historycznego „żywota” w tym znaczeniu, w jakim dzisiaj na Zachodzie go rozumiemy: jako udokumentowanej i uporządkowanej opowieści o zdarzeniach, o losie, o faktach.

Takiego życiorysu nie ma oczywiście i Budda. No i rzecz jasna, on także nie pozostawił po sobie żadnej autobiografii, żadnego pamiętnika, żadnych świadectw swoich najgłębszych przeżyć. Fascynująca powieść, którą Czytelnik ma już za sobą, śmiało może zatem wkroczyć w ten nieznany nikomu świat wewnętrzny, śmiało może śledzić i odsłaniać najskrytsze uczucia i najskrytsze motywy działalności jednego z największych bohaterów ludzkich dziejów. Śmiało może również igrać — nie stroniąc od dowolności, od przekształceń i domysłów — z materią jego losu, z jego życiorysem, z historią. Niewiele bowiem o tym wszystkim wiemy. A i to, co wiemy, jest pomieszaniem legend i wizji, snów i symboli, przypowieści i baśni, wyobrażeń i stereotypów. Pomieszaniem, w którym z rzadka tylko pojawia się jakiś okrucz rzeczywistej biografii, jakiś okrucz autentycznych zdarzeń w ich współczesnym zachodnim pojęciu.

Ale wszystkie te zamglone i cudowne, tajemnicze i legendarne opowieści o Buddzie od dawna przybrały już postać utrwaloną i jakby „kanoniczną”, złożoną w pewien pouczający i najeżony symbolami schemat, który z wielkim trudem i na różne sposoby starają się rozszyfrować badacze religii. Tyle tylko, że ich wysiłki, choć przynoszą wyniki, zawsze w końcu okazują się bezradne wobec legendy, zawsze w końcu muszą przed nią ustąpić. I wśród historyków jednak, i w legendach panuje mimo wszystko pewna zgodność co do podstawowych zdarzeń z życia Buddy oraz ich chronologii.

Lecz pamiętać trzeba zarazem, że legenda owa — ów półbaśniowy i wizyjny zapis żywota Buddy — jest dziełem późnym, zrodzonym aż prawie pięćset lat po jego śmierci z zespolenia różnych, swobodnie krążących i swobodnie ubarwianych opowieści. Z tym jednak, warto dodać, że pewien zbiór informacji na jego temat przetrwał również w jedynym zachowanym w całości wczesnym przekazie nauk buddyjskich, *Kanonie Palijskim*, spisany na Cejlonie (dzisiejsza Sri Lanka) w połowie I wieku p.n.e. Warto także dodać przy okazji, że nie znamy wcale oblicza Buddy: pierwsze bowiem jego portrety zaczęły powstawać dopiero w II stuleciu n.e. (wcześniej, podobnie jak Chrystus, był on w sztuce przedstawiany jedynie poprzez symbole — drzewa, parasola czy koła).

Budda Śiakjamuni — Mędrzec z rodu Śiakjów — urodził się około roku 560 p.n.e., zmarł zaś około roku 480 p.n.e. Są to jednakże daty przybliżone, umowne, które uściśla się niekiedy, powiadając na przykład o latach 566—486, a niekiedy znacznie przesuwa (zdaniem niektórych dzisiejszych historyków Budda zmarł zatem, przeżywszy lat osiemdziesiąt, dopiero około roku 410 p.n.e.).

To zresztą — te daty, te wszystkie historyczne uściślenia — dla indyjskiej świadomości, także świadomości buddyjskiej, są w ogóle nieistotne. Nie tylko dlatego, że aż do XII wieku n.e. cała kultura pisana tego kraju powstawała na nietrwałej brzoźowej korze, podlegając zniszczeniu i — przy konieczności ciągłego przepisy-

wania — poważnym przeróbkom. Chodzi o coś znacznie ważniejszego: o stosunek do czasu, do historii, które w Indiach zdają się zupełnym złudzeniem, zdają się dziwnym koszmarem olbrzymia, śnionym nieprzytomnie.

Tak więc Carl Gustav Jung w swojej *Podróży na Wschód* (przeł. Wojciech Chelmiński, wstęp i oprac. Leszek Kolankiewicz, Warszawa 1989, Wydawnictwo Pusty Obłok) zauważył, że w Indiach „człowiek uświadamia sobie istnienie ahistorycznego trwania” i że nie odczuwa się tam wcale braku dziejów — „W każdym razie pierwotna wielkość Indii jest anonimowa i bezosobowa, jak wielkość Babilonii albo Egiptu. Historia ma sens w krajach europejskich, gdzie na tle świeżej jeszcze, barbarzyńskiej, ahistorycznej przeszłości rzeczy zaczęły nabierać kształtów”. I, zdaniem Junga, dlatego jedynie w obrębie tej europejskiej, świeżej cywilizacyjnie i duchowo barbarii, mogło powstać „wrażenie, że wszystko ku czemuś dąży”, że należy oczekiwać z nadzieją „spełnienia niebywałych możliwości i rozwoju w przyszłości, tak w dziedzinie religijnej, jak i świeckiej”. Powieść *Ja, Budda* — znakomita, lecz spisana przecież w kręgu zachodniej kultury — siłą rzeczy podtrzymywać musi w Czytelniku takie wrażenie.

Tymczasem w Indiach jest zupełnie inaczej. „Wydaje się — pisał Jung — jakby w Indiach nie było niczego takiego, co nie istniałoby już po stokroć wcześniej. Każdy, kto żyje dzisiaj, żył też już niezliczone razy w czasach przeszłych. Świat sam nie jest niczym innym jak ponowieniem istnienia, które przedtem wielokrotnie już się dokonywało. Nawet największą postać Indii — samego wielkiego Gautamę Buddę — poprzedzały tuziny innych Buddów, a i on wcale nie jest ostatni. [...] Na cóż więc w takich okolicznościach historia? Ponadto czas jest względny. Jogin widzi zarówno przeszłość, jak przyszłość. Kiedy postępuje się »szlachetną ośmioraką ścieżką«, można sobie przypomnieć, czym się było dziesięć tysięcy istnień wstecz. Przestrzeń też jest względna — jogin lotem myśli przemierza kraje, morza i nieba. To, co nazywamy »rzeczywistym«, wszystko, co dobre i złe w życiu ludzkim — jest ułudą”.

Ale ta ułuda jest zarazem groteskowo przeludniona, owładnięta jakby niebywałym, monstualnym lękiem przed pustką, choć niby to owa pustka, nirwana, jest jedyną niekłamaną tęsknotą. Louis Renau (*Cywilizacja dawnych Indii według tekstów sanskryckich*, Paryż 1950) pisał zatem, że „klasyczna kosmogonia [indyjska — Z.M.] wytworzyła koncepcję jaja Brahmy i kolejnych wykluwających się zeń stworzeń”. Stworzeń, nie zaś jednego stworzenia, jak chcą choćby wielkie religie Abrahamowe — judaizm, chrześcijaństwo czy islam. I w związku z tym — dodawał Renau — „Trwanie całego wszechświata, od początku aż po ostateczne zniszczenie, jest jedną dobą u Brahmy. Poprzedziła go nieskończona ilość innych stworzeń i nieskończenie wiele będzie też przyszłych zniszczeń”.

A wybitny pisarz meksykański i eseista, Octavio Paz, potęgował jeszcze bardziej to koszarne — z zachodniego punktu widzenia — indyjskie odczuwanie czasu i historii, materii i nicości: „Wszechświat trwa tyle, ile trwa sen Brahmy; gdy Brahma się budzi, wszechświat ulega unicestwieniu, lecz odradza się, gdy bóg znów zaśnie. Brahma jest skazany na śnienie świata, a my na bycie jego snem. Wiemy, jak długo trwają te powtarzające się sny: 2 190 000 000 lat (inne wersje mówią o 4 320 000 000 lat). Każdy cykl (*kalpa*) składa się z wieków (*juga*). W każdej *kalpie* są cztery wieki: my żyjemy w czwartym — ostatnim — wieku tego cyklu, *kalijudze* [mrocznej epoce bogini Kali, Erze Wilka — Z.M.]. Jest to wiek błędów, pomieszania się kast oraz degeneracji kosmicznego i społecznego ładu. Jego koniec jest bliski: świat zostanie zniszczony przez ogień i wodę. Później nastąpi okres kosmicznego letargu, aż wreszcie wszechświat rozpocznie nowy cykl. Tak więc czas ma swój kres, ale później odradza się w kolejnym cyklu: ma nieskończoną ilość końców. W buddyzmie i dżinizmie cykle i cyfry są podobne. [...] Hinduska kosmologia — włączając w nią buddyjską i dżinijską — podobnie jak Giordano Bruno i hipotezy współczesnych uczonych, dopuszcza wielość światów zamieszkałych przez istoty rozumne. Każdy z tych światów ma własnych Buddów i Mahawirów [Wardhamana Maha-

wira, żyjący mniej więcej w latach 549—477, wywodził się podobnie jak Budda z rycerskiej kasty kszatrijów i podobnie jak Budda, buntując się przeciw ofiarniczej religii braminów, dał początek innej „herezji”, to znaczy religii dżinijskiej — Z.M.J. Teksty buddyjskie mówią nam nawet, że przyszły Budda pokaże niewdzięcznym ludziom najprostszą drogę do nirwany. Znamy jego imię: Majtreja" (*Podpatrywanie Indii*, przeł. Krzysztof Mroziewicz, Kraków 1997, Wydawnictwo Literackie).

„Złożoność hinduskiej kosmogonii oraz długość kosmicznych cykli — pisał następnie Paz — przypominają logikę sennych koszmarów: w końcu systemy te znikają, otwieramy oczy i zdajemy sobie sprawę, że żyliśmy wśród złudzeń. Sen Brahmy — to, co nazywamy rzeczywistością — jest urojeniem, nocną zmorą. Przebudzenie się jest odkryciem nierealności tego świata. Negatywny charakter czasu nie jest konsekwencją grzechu pierworodnego, lecz wprost przeciwnie: ów grzech, czyli też podstawowa ułomność człowieka, wziął się stąd, że wszyscy jesteśmy dziećmi czasu. Zło tkwi w samym czasie. Dlaczego czas jest zły? Bo jest nietrwały, złudny, nierzeczywisty. Czasowi brakuje substancji: jest snem, kłamstwem, *maja*. [...] *Maja* jest iluzją, a zarazem mocą stwarzania złudzeń. Jedyna prawdziwa rzeczywistość nie jest ani stworzona, ani złudna: jest nią niezmienny i niemający początku Byt. Dla buddysty będzie ona pustką. *Maja* jest czasem, ale nie w znaczeniu zachodnim, które czas ujmuje jako dynamiczny proces: jest czymś i fałszywym powtarzaniem się fałszywej i pozornej rzeczywistości. Wszystko to, co się zmienia, skazane jest na nierealność; rzeczywiste jest tylko to, co trwa: absolutny byt (*brahman*). Człowiek jest przemijający jak cały kosmos, ale na jego dnie kryje się byt (*atman*) tożsamy z uniwersalnym bytem. Oba te byty są poza czasem, poza dzianiem się. Byt nie myśli, nie czuje, nie zmienia się — jest. Buddyizm ze swojej strony zanegował byt i widział w *ego* zbiór niesubstancjalnych elementów, które medytacja powinna rozłączyć, a później unicestwić. Hinduizm i buddyzm są radykalną krytyką czasu. Dla hinduizmu czas płynie bez celu, lub raczej jego celem jest zniknąć w pełnym bycie, tak jak mówi

[w słynnej *Bhagawatgicie*, „Pieśni Czcigodnego Pana” — Z.M.] Kryszna do Ardżuny. [...] Wśród hinduskich sposobów na zanegowanie czasu dwa miały istotne znaczenie: negacja metafizyczna i negacja społeczna. Pierwsza przeszkodziła narodzeniu się tego gatunku literackiego, naukowego i filozoficznego, który nazywamy historią; druga — instytucja kast — unieruchomiła społeczeństwo”.

Budda — także jako bohater tej powieści — od początku swego istnienia (lecz gdzież jest ten początek, jeśli przyjąć hinduskie miary?) uwikłany został w tę powszechną i porażającą zarazem grę snu i historii, bytu i nicości, pustki i rzeczywistego życia, życia również w jego strasznym społecznym wymiarze. W świecie owładniętym przez nienaruszalne kastowe podziały, druzgotanym przez przemoc możnych i poprzez nędzę ludu, rujnowanym przez powszechne cierpienie.

Budda Śiakjamuni, czyli, zgodnie z imieniem rodowym, Siddhartha Gautama (Siddhatta Gotama) — by przywołać najpierw podstawowe fakty historyczne — urodził się w rodzinie książęcej Kapilawastu, jednego z małych państw plemiennych leżących w północnych Indiach, poniżej podgórze Himalajów, na pograniczu dzisiejszych Indii i Nepalu (ściślej: nepalskiego Teraju). Wbrew późniejszym legendom nie przyszedł jednak na świat w przepyszonym, czarodziejskim pałacu, który przypominałby nieziemskie, cudowne budowle z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. W owym czasie bowiem północne Indie podzielone były na niewielkie krainy, nieustannie ze sobą zresztą wojujące. Jedne z nich były księstwami o utrwalonej władzy dziedzicznej, inne natomiast przypominały po trosze republiki, zarządzane przez wybieralnych książąt, zwanych radżami. I takim właśnie skromnym, elekcyjnym radżą był ojciec Siddharthy Gautamy — Śiuddohana z rodu Śiakjów (prawie nic zresztą o nim nie wiemy, nie wiemy nawet tego, czy był władcą złym czy dobrym, sprawnym czy niesprawnym; i czy w jego państewku, choć sam należał do stanu kszatrijów, rycerzy, obowiązywał rozbudowany już wówczas niepomiernie system *warn*, system kast; podzielał jednak zapewne osławioną pychę rodową, przysłowiową w ówczesnych Indiach „dumę Śiakjów”).

Do takiego rodzaju rządów aspirować miał również, zgodnie z pragnieniem ojca, i Siddhartha Gautama.

We wszystko jednak od zaraz, jak to w Indiach, wdarł się sen. Sen matki Buddy, „szlachetnej królowej Mai: „Czterech wielkich królów — mówi o tym śnie powstała około pięćsetnego roku naszej ery *Nadanakatha* (ale są i inne, bardzo się różniące od siebie opowieści na ten temat) — uniosło ją wraz z jej łóżem w Himalaje; pozostawili ją na rozciągającej się na sześćdziesiąt mil równinie Manosila pod rozpościerającą się na siedem mil koroną drzewa *sala*, a następnie odeszli. Wtedy przybyły ich małżonki, które przeniosły Maję nad jezioro Anotatta; tu wykąpały królową, aby usunąć z niej wszelką ludzką nieczystość, przystroili w niebiańskie szaty, spryskały wonnościami i posypały niebiańskim kwieciami. Niedaleko od tego miejsca znajdowała się Srebrna Góra, na której szczycie stał Dom ze Złota; przygotowały tam skierowane ku wschodowi posłanie i złożyły na nim królową. Wówczas z sąsiedniej Złotej Góry zstąpił przebywający tam pod postacią wspaniałego białego słonia *bodhisattwa*. Wspiął się na Srebrną Górę, wybierając w tym celu jej północne zbocze, i pochwycając swą przypominającą taśmę ze srebra trąbą biały kwiat lotosu, głośno zaryczał. Wszedłszy do Domu ze Złota, po trzykroć okrążył, zaczynając od prawej strony, łożę swej matki, dotknął jej prawego boku i wniknął do jej łona. W taki oto sposób w ostatni dzień święta Asalhi Nakkhatta przyjął on swoje wcielenie" (cyt. za: Helmut Uhlig, *Budda. Ścieżki Oświeconego*, przeł. Andrzej Guzek, Warszawa 2002, Państwowy Instytut Wydawniczy).

Według tej opowieści król wezwał aż sześćdziesięciu czterech braminów, smacznie ich nakarmił i suto obdarował, a następnie poprosił o objaśnienie snu. Kapłani owi i mędrcy orzekli zaś natychmiast jednogłośnie, że król będzie miał syna: „Gdy ten wybierze życie domowe, królem zostanie, jednym z władców świata; jeśli jednak dom twój opuści i zostanie mnichem, stanie się Buddą, przed którym ustąpią wszystkie ciemności świata" (tamże).

Bardziej kanoniczna jednak opowieść chce, aby przepowiednia owa nastąpiła dopiero po urodzeniu Siddharthy Gautamy i aby

wygłosił ją mąż o nadprzyrodzonych talentach — mędrzec Asita. I on to właśnie miał orzec, że książę stanie się albo przywódcą świata, albo wielkim nauczycielem religijnym.

Warto jednak dodać, nie wnikając już w autorstwo i moment przepowiedni, że — jak mówią legendy — poczęciu dziecka towarzyszyły wydarzenia cudowne i wstrząsające, przemieniające postać świata. Wedle owych legend dziecko uczyniło tuż po urodzeniu siedem kroków i obwieściło światu, że jest już ostatnim swym wcieleniem. I dlatego nazwano je ponoć Siddhartha — „ten, który osiągnął cel” — z przydomkiem Gautama, danym mu na cześć pewnego starożytnego mędrca.

Lecz gdzie naprawdę urodził się przyszły Budda? Aż do roku 1896 trwały na ten temat spory. Wtedy to bowiem odnaleziono jedną ze słynnych kolumn cesarza Aśioki (panował w latach 268—239 p.n.e.), ustawionych przezeń w roku 245 p.n.e. w Gaju Lumbini. Napis na niej potwierdził nie tylko legendarną opowieść o tym, że Oświecony przyszedł na świat w owym lesie drzew sala (królowa Maja urodziła go w pozycji stojącej, opierając się o pień jednego z nich), położonym w połowie drogi między miastami Kapilawastu i Dewadaha, ale również i samo jego historyczne istnienie, co do którego uczeni żywili dotąd spore wątpliwości. Przepowiednia mędrca Asity tak przeraziła ojca, że zorganizował synowi wspaniałe *splendid isolation* — osobliwe więzienie w luksusie. Legendy prześcigają się w opisach tych wspaniałości: mówią o komnatach pełnych złota, srebra i klejnotów, o niebывалych szatach i wyszukanych potrawach, o niezwykłych wonnościach i o łagodnej muzyce, o cudownych parkach i stawach. Ale to przepych jedynie baśniowy, choć oczywiście młody książę żył zapewne w dobrobycie bardzo dalekim od ubóstwa — wręcz nędzy — poddanych jego ojca. I tylko jedno w tym wszystkim jest niezbite: nie wolno mu było opuszczać granic trzech ojcowskich pałaców i otaczających ich parków. Nie był z mocy tego zakazu szczęśliwy, skłaniał się raczej ku samotności i marzycielstwu, gardząc rozrywkami typowymi dla młodego księcia swoich czasów — wojną i polowaniem. Trudno orzec jednakże, czy usposo-

bienie takie wynikało z jego sieroctwa — matka Buddy umarła ledwie w siedem dni po urodzeniu syna — skoro Padżapati (Mahapadżapati), druga żona Śiuddhodany i młodsza siostra swej poprzedniczki, zajmowała się nim bardzo czule.

Żyjąc tak, poślubił w wieku szesnastu lat piękną krewniaczkę (wedle jednej tradycji miała ona na imię Bhaddakaczcza, wedle innej, bardziej dziś przyjętej — Jaśiodara), z którą miał jedyne go syna: Rahulę. Niektóre jednak źródła kwestionują jego małżeństwo, choć nie kwestionują jego ojcostwa (dziecko Buddy miałoby się wtedy urodzić w konkubinacie, ze związku z jakąś pałacową tancerką albo nałożnicą).

Z czasem jednak Siddhartha uwolnił się mentalnie od pałacowej niewoli i zainteresował się życiem zewnętrznym. Wedle opowieści ojciec, pragnąc utrzymać go w świecie złudzeń, nakazał, aby w czasie pierwszych wypraw syna poza pałac ulice pobliskiego osiedla stały się czymś w rodzaju „potiomkinowskiej wioski”: miały być specjalnie oczyszczone i wypełnione ludźmi dostatnimi, zdrowymi, wolnymi od wszelkich ułomności. Ale te wysiłki spełzyły na niczym, ponieważ już w trakcie swych pierwszych trzech wycieczek Siddhartha odbył przyspieszone wtajemniczenie w cierpienie — w chorobę, starość i śmierć. Ujrzał bowiem najpierw — wedle legend miały być to wcielenia któregoś z bóstw — zniedołężniałego starca, człowieka obłożnie chorego, rozkładające się zwłoki ludzkie, niesione na miejsce kremacji. Podczas zaś kolejnej z takich wypraw spotkał wreszcie *sadhu*, ascetycznego mędrca, który zawarł już spokojną ugodę z chorobą, starością i śmiercią. Były to owe słynne „cztery znaki”, o których zgodnie mówi tradycja. Znaki, które sprawiły, że potajemnie, nocą — rzuciwszy jedynie pożegnalne spojrzenie na śpiącą Jaśiodarę i dopiero co urodzonego syna — młody książę opuścił pałac. Miał wtedy około dwudziestu dziewięciu lat. A pognąła go w drogę niepojęta tajemnica cierpienia.

Wędrował szybko, nie chcąc, by dogonili go słudzy ojca i sprowadzili na powrót do pałacu. Już zatem po kilku godzinach przekroczył granice swego niewielkiego kraju i dotarł, idąc

w kierunku południowo-wschodnim, do miasta Radżagaha. Napotkał tam króla Bimbisarę, władcę ościennej Magadhy, który zapragnął mieć go u swego boku i podzielić się z nim rządami.

Jednak — mimo iż królestwo Bimbisary było państwem zamożniejszym i lepiej rządzonym od rodzimego państewka Siddharthy — ten odmówił grzecznie i ruszył dalej, pragnąc coraz mocniej uwolnienia świata od ciemności, wyzwolenia życia od cierpienia. Obciął też swe kruczoczarne włosy, narzucił na siebie ceglasy łachman i wziął do ręki żebraczą miseczkę na jałmużnę.

Na drogach roilo się już od podobnych wędrowców — pobożnych mędrców, gnanych jakimś duchowym niepokojem tułaczy, nawiedzonych żebraków, ascetów wyglądzonych aż do szkieletu i poddających ciała najbardziej wyszukanyemu torturom. Nie brakowało też rozmaitych szalbierzy i kuglarzy, czarowników, uzdrowicieli i magów, żerujących na ludzkiej głupocie i ludzkiej litości. A wielu z nich opuściło dostatnie domy i swe rodzimy, porzuciło dotychczasową kondycję, nawet jeśli zdarzało im się należeć do stanu rycerskiego, do kasty kszatrijów (z której zresztą wywodził się sam Siddhartha).

Wszyscy oni — bez różnicy — zwiastowali jednak czas duchowego przełomu, czas, w którym przemijała dramatycznie religijna postać świata.

Przeżywała oto bowiem głęboki kryzys stara wedyjska religia Ariów, czyli „szlachetnie wiernych”, którzy w połowie drugiego tysiąclecia p.n.e. wtargnęli na Półwysep Indyjski. Zdobywcy ci przynieśli ze sobą cztery Wedy, cztery zbiory (*sanhity*) świętych hymnów, stanowiące zresztą punkt wyjścia dla całych dziejów myśli i kultury indyjskiej. Owe Wedy — na ogół przyjmuje się, że powstały one gdzieś między 1500 a 1200 p.n.e. — to Rygweda (wiedza hymnów), Samaweda (wiedza melodii albo świętych śpiewów), Jadźurweda (wiedza formuł ofiarnych), Atharwaweda (wiedza zaklęć magicznych).

Koncentrując się na obrzędach ofiarnych, wyrażały one jednak wiarę żywiolową i pierwotną, przepojoną „świętą” trwogą wobec ślepych, a potężnych sił przyrody, które uosabiało trzydziestu

trzech bogów (*dewów*). Bogów takich jak Agni (boski kapłan i mistrz obrzędów, pan ognia, przede wszystkim ofiarnego, ale też ogniska ofiarnego, kremacji, pożądania seksualnego i — przeciwnie— skrajnej ascezy, „wewnętrzne światło wieszczów i poetów”), Indra (bóg-wojownik i pogromca okrutnego demona suszy, bóg burz i deszczów), Waruna, Mitra i Soma (bóg ekstazy i uniesienia, ofiarowania i oczyszczenia), wreszcie Jama (pierwszy człowiek i pierwszy śmiertelnik, a zarazem pan świata zmarłych, nadziemnego „świata ojców”, do którego pójdą nasze dusze po śmierci). Bardzo ważny był tutaj rygwedyjski hymn *Purusza*. Purusza bowiem to jednocześnie boski ofiarnik i boska ofiara, a także odpowiednik późniejszego „Pana Stworzeń”, Pradžapatiego. Z ciała zatem Puruszy — na mocy rytualnego aktu (został on bowiem ofiarowany przez bogów samemu sobie) — powstały strony świata, przestrzeń podniebna, niebo i ziemia oraz to wszystko, co ją zamieszkuje. Ale tylko jedna z jego części jest tym, co stworzone — pozostałe natomiast trzy są tym, „co jest nieśmiertelne w niebie”. Mít o podziale ciała Puruszy uzasadnia zarazem i uświęca sztywną, nienaruszalną hierarchię społeczną: z różnych jego części powstały wszak cztery różne stany czy kasty (*warny*) — bramini (uczeni i kapłani), kszatrijowie (rządcy i rycerze), wajsjowie (kupcy i rzemieślnicy), śiudrowie (słudzy, robotnicy).

Wedyzm jednak stracił z czasem swą żywiołowość, znieruchomiał w skorupie obrzędów i sformalizowanej religii braminów, religii kapłańskiej. Stało się to w epoce tzw. Brahmanów, obejmującej mniej więcej lata 1100—800 p.n.e. Brahmany to dodatki i komentarze do *sanhit*; które z czasem stały się samodzielne. Idea jest tu taka: obrzęd ofiarny — coraz bardziej złożony i coraz bardziej monopolizowany przez stan kapłański — ma być rzekomo nasycony świętą mocą, przypominając jednocześnie, że to przecież z ofiary Puruszy zrodził się i wszechświat, i nieruchomy ład społeczny. Tym samym kapłani, „bogowie na ziemi”, stali się strażnikami istnienia i ładu, a co ważniejsze — samych bogów, chwytając ich jakby w sieć swoich rytuałów (ofiara bowiem, jak

twierdzili, miała być od nich potężniejsza). Dharma—jako całość praw ofiarniczych — zakładała też ściśle powiązanie między porządkiem obrzędu a porządkiem kosmicznym oraz między makrokosmosem (wszechświatem) a mikrokosmosem (człowiekiem). Wszystko zatem zdawało się zależeć od mamrotanych czy też śpiewanych przez *udgatarę* (kantora) i *hotarę* (recytatora — przyzywacza) hymnów oraz gestów oficjanta (*adhwarju*), a także od przedmiotów używanych w kulcie. Starsi bogowie zostali wyparci z tego krajobrazu religijnego gdzieś w jego głąb, a pierwsze miejsce zajął teraz Pradžapati, „pan stworzeń”, utożsamiany z Puruszą i ucieleśniony w kosmicznej ofierze bóg-rodzic.

Nie trzeba tłumaczyć, że tym sposobem rytualizm Brahma-nów — wykwit religii stanu bramińskiego — sparaliżował wszelką myśl żywą, a chyba i wszelką zmianę. Nie dawał on też żadnej powszechniejszej nadziei na wyzwolenie z cierpienia ani nie stanowił odpowiedzi moralnej na okrucieństwo świata społecznego, opanowanego przez — drobiazgowy już wówczas — system kastowych podziałów, przez korupcję, przemoc i nędzę. Reakcją na tę jego niewrażliwość i formalność stała się najpierw „upanisadzowa religia ducha”, czyli rozwinięcie sekretnych nauk z pustelniczych, tajemnych „traktatów leśnych”, zwanych Aranjakami.

Upaniszady tyle więc mniej więcej znaczą, co „tajemna nauka, najwyższa tajemnica, najwyższa tajemnica końca Wed”. Są one zatem kresem Wed, ale także ich spełnieniem i zwieńczeniem, są Wedantą, objaśnieniem rzeczy najgłębiej ukrytych w Wedach.

Upaniszady — jak pisała Maria Kudelska w świetnym wstępie do polskiego ich wydania (*Upaniszady*, tłum. Maria Kudelska, Kraków 1998, Oficyna Literacka) — koncentrują się więc na wewnętrznej, duchowej stronie czynności ofiarnych, na świętej, bezosobowej i pozbawionej postaci mocy, mocy skrytej za wielością i różnorodnością doświadczanego przez nas świata. Zwana jest ona brahmanem i zakłada się, że z niej właśnie wypływają wszystkie byty konkretne i określone, że właśnie w tej nieprzemijającej mocy są one zakorzenione. A skoro ofiara opiera się na równoważności między makrokosmosem a mikrokosmosem, to

oczywiste i naturalne musi stać się odszukiwanie odpowiednika owego brahmana w mikrokosmosie, w świecie człowieczym, w ludzkim wnętrzu, w tym, co człowiekowi dane jest w samowiednym i „czystym” doświadczeniu. Początkowo za tę wewnątrzludzką zasadę uznano tchnienie, siłę życia związaną z oddechem, czyli *prane*. Potem zaś stała się nią dusza jednostkowa jako zasada życia, atman. I zaczął on znaczyć tyle, co metafizyczny i uniwersalny wymiar każdego „ja, stapiając się w jedno z *brahmanem*. Mówi o tym zresztą wiele wyrażeń: „atman i brahman to jedno”, „ja jestem brahmanem”, „to jesteś ty” (*tat twam asi*, czyli słynne „wielkie słowo”). Brahman zatem stanowi absolutną zasadę w całości świata, atman — tę samą zasadę w ludzkim wnętrzu. Spotykają się one w człowieku, objawiając się w medytacji, która jest zarazem aktem poznania. Stąd biorą się następnie ważne rozstrzygnięcia dotyczące zbawienia. Skoro bowiem wieczna i nieskończona zasada boska mieszka we wnętrzu człowieka i jest tożsama z atmanem, najbardziej wewnętrznym ludzkim „ja, to doznając w mistycznym wejrzeniu tej naszej absolutnej istoty, przekraczamy własne słabości i granice i odzyskujemy boską tożsamość. Ostatecznym przeznaczeniem człowieka jest więc odnalezienie i rozpoznanie *atmana*, a zatem — w konsekwencji — oddzielenie własnego najgłębszego „ja” od niewolących go *upadhi*, jednostkowych uwikłań psychicznych i cielesnych. Rozpoznanie takie ma charakter zbawczy — jest nieuniknionym warunkiem wyzwolenia z samsary, z bolesnego kołowrotu narodzin i śmierci. Tym samym byt doczesny utracił dla autorów Upaniszad swe powaby i stał się „mrocznym królestwem cierpienia”, przeciwstawnym wyniesionemu ponad cierpienie i ból oraz stanowiącemu pełnię szczęśliwości i świętości brahmanowi. I to właśnie w Upaniszadach po raz pierwszy zarysowane zostało pojęcie ponownych narodzin, złej i niechcianej nieśmiertelności czy raczej złych i niechcianych pozorów nieśmiertelności, która widzi przymus owych odrodzeń w ludzkim interesownym i złym karmanie. Wyzwolenie z karmicznego łańcucha wcieleń osiąga się tu zatem przez mistyczne poznanie. Tyle mniej więcej Kudelska.

Jednak duchowość Upaniszad nie była jedyną, a tym bardziej ostateczną odpowiedzią na bramiński rytualizm. Drugim i późniejszym typem reakcji stała się bowiem myśl — niejako „heretycka” i niepokorna — zrodzona w kręgu mędrców ze stanu wojowników, kszatrijów, mająca źródła w dziedzictwie jeszcze niearyjskim i kulminująca w dwóch ucieleśnieniach: ascetycznym i wielce surowym — jak stało się to w naukach Dżiny Mahawiry, twórcy dżinizmu, oraz łagodnym i przyjaznym światu — jak stało się to właśnie w naukach Gautamy Buddy, twórcy buddyzmu.

Pierwsze sześć lat swojej buntowniczej, dobrowolnej tułaczki spędził Budda na poszukiwaniach duchowych. Jednak ani upaniszadowe nauki o tożsamości brahmana i atmana, duszy człowieka i duszy świata, ani też techniki właściwe jodze, zmierzające do okiełznania psychofizycznej natury człowieka, nie okazały się — jego zdaniem — odpowiednie i wystarczające dla rozpoznania prawdy, nade wszystko prawdy ludzkiego istnienia — bez tego zaś niemożliwa była pewność oświecenia. Porzucił więc najpierw swoich mistrzów medytacji (Alarę Kalamę i Uddakę Ramaputę), a także zaniechał jogicznych ćwiczeń nad oddechem. I udał się wraz z pięcioma ascetami do ich pustelni. Tam zaś prześcignął ich w umartwieniach — jedząc ledwie łyżkę fasoli dziennie, śpiąc na ciernistym pośłaniu, doświadczając skwaru i chłodu, popadł w stan bliski śmierci. Nie mógł nawet z wycieńczenia zachować pozycji siedzącej i zaczęły wypadać mu włosy. Oświecenia wszelako nie osiągnął. Zawiedziony, przyjął zatem od córki pasterza miskę polewki ryżowej — na znak rozczarowania oraz z chęci odzyskania sił dla dalszego poszukiwania prawdy. Podziwiający go przedtem ascetyczni towarzysze, których prześcignął w umartwieniach, opuścili go więc ze wzgardą i powędrowali do Benares.

Ale Siddhartha wiedział już doskonale, co należy zrobić. Wiedział, że odpowiedzią, jakiej szukał w sprawach cierpienia, nie może być ani życie w pałacowych luksusach, ani też ekstremalna asceza — odpowiedzią mogła stać się jedynie „droga środkowa”. „Najwłaściwszym stylem życia — napisał o takim rozstrzygnięciu Damien Keown {*Buddyzm. Bardzo krótkie wprowadzenie*, przeł.

Tomasz Jurewicz, Warszawa 1997, Prószyński i S-ka) — byłoby więc zachowywanie umiarkowania bez negowania pragnień czy nadmiernego ulegania im".

Wychodząc od tego założenia, zaczął zatem przyjmować posiłki i powrócił do praktyk medytacyjnych. Postępy, jakie osiągał na tej drodze, skłoniły go, by dostąpić oświecenia samoistnie. Pewnej nocy zasiadł zatem w miejscu zwanym Boghgaja pod drzewem pipal (święty figowiec określany potem jako Drzewo *Bodhi*) i przyrzekł sobie, że nie ruszy się stąd, choćby jego ciało i krew miały doszczętnie wyschnąć, dopóki nie osiągnie absolutnej mądrości i nie rozwiąże kwestii cierpienia. Przez siedem dni (albo i tygodni) pogrążał się tedy krok po kroku w coraz to głębszej medytacji. Ostatniej nocy, gdy odstąpił odeń kusiciel Mara — który próbował go zatrwożyć oraz skusić cielesnymi powabami swoich rozpustnych córek — rozbłysła wiedza: podczas pierwszej „straży nocnej” poznał więc i przypomniał sobie w całej ich pełni wszystkie swoje poprzednie wcielenia, podczas drugiej odkrył związek życia i śmierci oraz nieustanne odradzanie się w dobrych i złych stanach wszystkich stworzeń, stosownie do ich zasług i win; podczas trzeciej uwolnił się od „duchowych plugastw”, od niewiedzy i żądz; zrozumiał też mechanizmy kołowrotu narodzin i umierania: wejrzał w prawo „zależnego powstawania”, rozpoznał trzy podstawowe „korzenie zła” oraz odkrył cztery „szlachetne prawdy”, wyłożone później w słynnym Kazaniu z Benares. A co ważniejsze, stał się właśnie Buddą — Oświeconym albo Przebudzonym z nierzeczywistego snu — tym, który uczynił to, „co powinno zostać zrobione”, czyli osiągnął nirwanę, kładąc kres, jak to zapowiedział przy urodzeniu, swoim następnym wcieleniom.

I już jako Budda przez następne siedem tygodni nasycił swój umysł, siedząc pod figowcem, wyzwoliciejskimi prawdami. Miał jednak wątpliwości, czy powinien głosić zdobytą wiedzę — nie wiedział bowiem, w jaki sposób mógłby nauczać „głębokiego wglądu”. Po wahaniach współczucie dla świata oraz interwencja jednego z bóstw sprawiły, że odrzucił obawy przed głoszeniem swych prawd i ruszył w misjonarską drogę. Wzrokiem duszy —

prorocy, nawet ślepi, mają wzrok doskonały — ujrzał najpierw, iż nie żyją już dwaj jego nauczyciele medytacji. Powędrował zatem na przedmieścia Benares, gdzie w Jelenim Parku umartwiała się nadal pięciu jego dawnych towarzyszy ascetów. Początkowo przyjęli go oni chłodno, choć oznajmił im, że stał się już tathagatą, „tym, który osiągnął to, co jest prawdą”. Ale, dostrzegłszy zmianę w swoim dawnym współbracie, dali się przekonać i zostali pierwszymi jego uczniami, mnichami pierwszej buddyjskiej wspólnoty, sanghi. Zwrot spowodowało tu jednak przede wszystkim jego najsłynniejsze i najważniejsze kazanie — „kazanie o puszczeniu w ruch Koła Prawa (Koła Dharmy)”.

Zachowało się ono w formie pouczenia (w sanskrycie — *sutra*, w palijskim — *sutta*):

„To są, o mnisi, cztery szlachetne prawdy. Jakie cztery? O cierpieniu, o powstawaniu cierpienia, o zniszczeniu cierpienia, i o drodze wiodącej do unicestwienia cierpienia. A co jest cierpieniem? Narodziny są cierpieniem, starość jest cierpieniem, choroba jest cierpieniem, śmierć jest cierpieniem, obcowanie z tym, czego nie lubimy, jest cierpieniem, rozłąka z tym, co miłujemy, jest cierpieniem, niespełnienie życzeń jest cierpieniem — słowem, pięć zmysłów chwywania. To właśnie jest cierpieniem. Co jest powstawaniem cierpienia? Jest to pragnienie, które prowadzi do ponownych narodzin, któremu towarzyszy upodobanie i pożądanie, które zaspokojone bywa to tu, to tam. To właśnie nazywa się powstawaniem cierpienia. Co to jest zniszczenie cierpienia? Jest to całkowite odrzucenie i zniszczenie pragnienia, które prowadzi do ponownych narodzin, któremu towarzyszy upodobanie i pożądanie, które zaspokojone bywa to tu, to tam, jego (całkowite) usunięcie i unicestwienie. To właśnie nazywa się zniszczeniem cierpienia. A co to jest droga wiodąca do zniweczenia cierpienia? Jest to szlachetna ośmiostopniowa ścieżka, a mianowicie słuszny pogląd, słuszne postanowienie, słuszna mowa, słuszne postępowanie, słuszny żywot, słuszne dążenie, słuszne czuwanie, słuszne skupienie. To jest właśnie droga wiodąca do zniweczenia cierpienia. To są, o mnisi, cztery szlachetne prawdy”.

Pierwszych zwolenników Buddy nazywa się arhatami („świętymi”), a nazwa ta odnosi się zarówno do owych pierwszych pięciu mnichów (*bhiksu*), jak i do następnych kilkudziesięciu członków wspólnoty w jej pierwszym pokoleniu (wczesne źródła buddyjskie mówią o sześćdziesięciu *bhiksu* w ceglanych szatach i z ogolonymi głowami, którzy oddali się zadaniom misyjnym). Byli oni w zasadzie wędrownymi ascetami, naśladowującymi wiernie swego mistrza. Jednak po pewnym czasie — wpraw na okres pory deszczowej, później zaś na stałe — zaczęli tworzyć też *vihary*, czyli coś w rodzaju klasztornych schronisk, fundowanych przez książąt oraz możnych. Zwolennikami Buddy byli początkowo tylko mężczyźni, ale po pięciu latach — z oporami — zgodził się on również na tworzenie wspólnoty mniszek, wobec której jednak nie używano określenia *sangha* (żyły one w klasztorach o regule znacznie surowszej niż męska).

Było to już w ostatnim, trwającym aż lat czterdzieści okresie jego życia, o którym jednak mamy bardzo skąpe informacje. Wiadomo jedynie, że przez ów czas Budda wędrował nieustannie przez równinę Gangesu, jakkolwiek obszar jego wypraw nie był tak wcale rozległy, jak sądzono niegdyś — dziś przypuszcza się zatem, że osobiste misje Buddy objęły kraj nie większy od Irlandii. Istotą tego nauczania były idee wyłożone w Kazaniu z Benares, które Budda wzbogacił o rozmaite szczegóły. Sukces tego nauczania brał się zaś zarówno z osobistej charyzmy, jak i z tego, że Budda —jakkolwiek na swój sposób obojętny na losy świata — niósł mu pomoc duchową.

Budda zmarł w chwili krytycznej: w północnych Indiach rozpoczął się dramatyczny upadek małych państweczek plemiennych, a w samej sandze trwały klótnie. Również jego kuzyn intrygant, Dewadatta, parokrotnie próbował dokonać nań zamachu.

Według starszych przekazów Przebudzony zmarł podczas podróży — miał wędrować zresztą prawie samotnie, w towarzystwie tylko jednego mnicha — zjadłszy najpierw zgubny posiłek (złożony z wieprzowiny albo truflి) u kowala Czundy. Wedle owej wersji, wycieńczony przez wędrowną i potworną biegunkę, miał skonać

gdzieś z dala od ludzkich siedzib, w gaju drzew sala, o jakieś dwieście kilometrów na południe od Benares. Ostatnimi jego zaś słowami miały być dwa zdania, urwane nagle: „Nietrwałe są wszystkie rzeczy stworzone. Dążcie do świadomości...”.

Dziś jednak na ogół przyjmuje się wersję przedstawioną w *Kazaniu o Wielkim Zaśnięciu*. Budda zatem miał przeżyć ów nieszczęsny posiłek i zmarł w jakiś czas później, z przyczyn najzupełniej naturalnych, nie zaś w wyniku zatrucia. Stało się to w mieście Kuśinara, między dwoma drzewami sala, które — jak chce opowieść — pokryły się wówczas cudownym, obfitym kwieciami, choć nie była to ich pora. Budda, leżąc na ziemi, rozporządził jeszcze, aby pochowano go „jak króla”, a po kremacji prochy umieszczono w stupie, małej świątyni-kurhanie o kształcie dzwonu czy też kopca, który mógłby służyć jako miejsce kultu oraz składania ofiar. Przywołał także do siebie mnichów i poprosił ich o zadanie mu ostatnich pytań. A kiedy nikt z wezwanych nie zabrał głosu, wygłosił cytowane tu już zdania. A następnie, w spokoju i milczeniu, nie dając żadnych oznak cierpienia czy lęku, skonał.

Zwłoki jego spalono na stosie, prochy (chodziło w końcu o relikwie) podzielono jednak po równo — wbrew życzeniu zmarłego — między ród Mallów (na których terytorium nastąpiła śmierć) oraz siedmiu posłów ościennych krain. Nad szczątkami wzniesiono oczywiście stupy.

Zdążył jednak tuż przed śmiercią uporządkować w znamienny dla siebie sposób sprawę wspólnoty. Najpierw więc, w rozmowie z Anandą, swym kuzynem i najwierniejszym przyjacielem, stwierdził, że nie może wyznaczyć swego następcy, ponieważ nigdy nie uważał się za przywódcę. Przewodnikiem w działaniu powinna tedy stać się *Dharma*, a w kwestiach szczegółowych — spisana przezeń *Dyscyplina* (kodeks czy też zespół reguł obejmujących życie mnisze). Orzekł też ponadto, że każdy z mnichów musi sam przemyśleć zasady nauki i przemyślenia swoje rozważyć w świetle „świętych tekstów”.

Wybrana bibliografia

Wszystkim, którzy chcieliby lepiej poznać tę fascynującą doktrynę, polecamy lekturę niżej wymienionych książek:

Amstrong Karen, *Le Bouddha*, Fides, Quebec, 2003.

Bareau Andre, *La Voix de Bouddha*, Philippe Lebaud, Paryż, 2001.

Bareau Andre, *Les Religions de l'Inde, bouddhisme, jainisme, religions archaïques*, Payot, Paryż, 1966. Brosse Jacques, *Le Bouddha, J'ai lu*, Paryż, 2001. Conze E., *Le Bouddhisme*, Payot, Paryż, 1971. Grousset René, *Sur le traces du Bouddha*, L'Asiatheque, Paryż, 1991. *Dictionnaire du Bouddhisme*, Encyclopaedia Universalis/Albin Michel,

Paryż, 1999. John Powers — *Wprowadzenie do buddyzmu tybetańskiego*, Wyd „a”

wnictwo, Kraków 1999. Nauka Buddy — Wyd „a”
wnictwo, Kraków 1999.

Spis treści

Przedmowa.....	7
21. Jestem tu.....	9
22. Moje dzieciństwo.....	11
23. Ananda.....	24
24. Moje jedenaste urodziny.....	30
25. Świat ludzi ubogich i niskiego stanu.....	38
26. Polowanie na tygrysa.....	44
27. Być i mieć.....	51
28. Staję się buntownikiem.....	57
29. Moje piętnaste urodziny.....	69
30. Jaśiodara.....	77
31. Powrót Anandy.....	83
32. Odchodzę.....	90
33. Jak podniebne ptaki.....	100
34. Choroba Anandy.....	105
35. Pustelnik Kalama.....	109
36. Bramin Udraka.....	116
37. Drzewo Prawdy.....	122
38. Moi pierwsi uczniowie.....	128
39. Poznają Trzy Nauki.....	132
40. Tysiące moich poprzednich wcieleń.....	139

41. Powrót Anandy.....	144
42. Wprawiam w ruch Koło Prawa.....	153
43. Jasa i Ambapali.....	158
44. Banda wesołych nicponi.....	167
45. Narodziny sanghi.....	172
46. Arhat.....	180
47. Dewadatta	183
48. Dołączają do mnie Rahula i Mahapradżapati.....	188
49. Król Bimbisara i jego medyk.....	194
50. Cień i mur.....	199
51. Prześladowuje mnie nienawiść Dewadatty.....	206
52. Balwierz Upali.....	210
53. Składam wizytę mojemu ojcu	215
54. Śmierć Rahuli.....	219
55. Zamach Dewadatty na moje życie.....	221
56. Śmierć Śiariputry i Maudgaljajany.....	225
57. Król Pasenadi.....	228
58. Wyrzuty sumienia Adzataśiatru.....	232
59. Kowal Czunda.....	237
60. W Bambusowym Ogrodzie Rajgiru.....	240
61. Pod Drzewem Współczucia.....	243
62. Ogród Jadhu.....	253
63. Parinirwana.....	258
Epilog.....	263
Posłowie.....	267
Aneksy	
Buddyzm to coś więcej niż religia, to „postawa życiowa wobec śmierci i wobec innych”.....	271
Wielkie Kazanie z Benares.....	275
Pojęcie skupisk.....	281
Posłowie od wydawcy polskiego	
On, Budda (między snem a historią).....	283
Wybrana bibliografia.....	301